

**CHARLES BUKOWSKI**

**LISTONOSZ**



*To jest powieść  
Nie jest nikomu dedykowana.*

Biuro Nadzorcze  
Do wiadomości  
Zarząd Poczt Stanów Zjednoczonych

Los Angeles, Kalifornia  
1 stycznia 1970  
742

*ZASADY MORALNE PRACOWNIKÓW POCZTY*  
*- ETOS PRACY*

Wszyscy zatrudnieni zobowiązani są do przestrzegania zasad moralnych (patrz § 742 regulaminu pracy) określających postępowanie pracowników Poczty (patrz § 744 tego samego regulaminu pracy). W ciągu wielu lat ciężkiej pracy urzędów pocztowych ich pracownicy udowodnili swoją gotowość do wiernej służby Narodowi tworząc wyjątkową i bezprecedensową atmosferę wokół pełnej poświęcenia pracy. Każdy pracownik Poczty może być dumny z tego, że jego osobisty wkład pracy nawiązuje do wielowiekowej tradycji służb publicznych. Każdy z nas powinien pamiętać, że uczestnicząc w tym wielkim dziele powinien się także przyczynić do stałego rozwoju i ekspansji potencjału Poczty.

Od wszystkich pracowników oczekuje się pełnej poświęcenia i oddania pracy na rzecz wszystkich obywateli naszego państwa, pracy niezłomnej i rzetelnej.

Personel służb pocztowych jest zobowiązany do przestrzegania najwyższych wartości etycznych i działania na podstawie ustawy o obyczajach i moralności, respektowania prawa Stanów Zjednoczonych, a także szczegółowych instrukcji prawnych regulujących zadania i obowiązki. Na wszystkich szczeblach organizacyjnych Poczty żąda się nieskazitelnej i wyjątkowej uczciwości w wypełnianiu ustawowo określonych obowiązków. Przekazane Poczcie zadania muszą być wypełniane sumiennie i należycie. To właśnie ta Organizacja cieszy się przywilejem codziennego kontaktu z obywatelami naszego kraju, a w wielu przypadkach jest jedynym narzędziem stanowienia bliskich kontaktów między mieszkańcami a Rządem Federalnym. Dlatego każdy urzędnik tej publicznej służby musi zyskać sobie zaufanie i szacunek pracodawcy, a także klientów korzystających z usług służb pocztowych, pracując tym samym dla ciągłego polepszania reputacji wszystkich służb publicznych i Rządu Federalnego. Wszyscy urzędnicy wszystkich szczebli służb pocztowych są niniejszym zobowiązani do wnikliwego przestudiowania paragrafu 742 regulaminu pracy służb publicznych, który w przypisach reguluje podstawowe normy w zakresie osobistej odpowiedzialności za wykonywaną pracę, moralne i etyczne strony tego zagadnienia, a także ograniczenia w zakresie wszelkiej działalności politycznej każdego z pracowników Poczty.

Inspektor Odpowiedzialny

## ROZDZIAŁ I

### 1

Wszystko zaczęło się od... ręki w nocniku, a krótko przed świętami Bożego Narodzenia.

Ten pijaczyna, mieszkający na stoku góry, trochę wyżej ode mnie, pracujący dorywczo dla nich, powiedział mi, że oni bardzo często mają kłopoty z pracownikami, i że zatrudniają prawie każdego. Więc poszedłem tam. I zanim mogłem się naprawdę zorientować, o co chodzi i jak to wszystko wygląda, ta skórzana torba objęła mi już biodra, a ja, prawie szczęśliwy, wyruszyłem w trasę. Ale robota - pomyślałem sobie. Przyjemniusieńko. Dali mi jedną, albo może dwie ulice, a jeśli już je obleciałeś, to kolega na pełnym etacie mógł, ale nie musiał, przydzielić ci coś dodatkowego, albo też wracałeś do Centrali, spokojnie i całkiem rozluźnionym krokiem, i oczekiwałeś nowych, bardzo odpowiedzialnych zadań.

Myślę, że było to drugiego dnia mojej pracy jako pomocniczego listonosza, w gorącym dla poczty okresie, jakim zawsze i wszędzie są święta Bożonarodzeniowe. Wtedy właśnie zobaczyłem tę tłąstą damę wychodzącą z własnego ogródka. Mówiąc „tłusta” mam na myśli jej bardzo tłuste dupiszcze i worowate cyce, a także te wszystkie inne bardzo ważne miejsca na ciele każdej kobiety. Wydawała mi się lekko zwariowana i po zlustrowaniu tych jej wszystkich „tłuszczów” oddałem się zupełnie i beznamiętnie mojej pracy.

A ona szła. I to nie za mną. Obok mnie! I gadała, i gadała, i gadała. Okazało się, że jej mąż był oficerem, stacjonującym gdzieś na niezwykle odległej wyspie, więc ona czuła się bardzo samotna. Byłem w stanic to zrozumieć, tym bardziej, że mieszkała zupełnie sama w małym domku, na ulicy leżącej gdzieś na uboczu wszystkiego.

- W którym małym domku? - zapytałem.

Niezwykle pośpiesznie napisała mi adres na niewielkim strzępie papieru.

- Też czuję się bardzo samotnie - powiedziałem. - Wpadnę dziś wieczorem, to sobie pogadamy.

Tak zupełnie sam to nie byłem. Moja obecna dupencja gdzieś się tam szwendała, rzadko się widywaliśmy. Problem samotności powoli stawał się więc także i moim problemem. A tym bardziej przecież, że to tłuste dupiszcze nadawało mi cały czas do ucha.

- Cudownie - powiedziała. - Więc do wieczora.

Zła to ona nie była. Nawet dobra. W łóżku. Ale jak to już zwykle bywa, po trzeciej czy czwartej nocy traci się zainteresowanie. Nagle. Nie odwiedzałem jej już więcej.

O mój Boże! - myślałem sobie coraz częściej - pracując na poczcie musisz tylko roznieść swoją działkę i figlować z gospodyniami domowymi. Zajęcie w sam raz dla mnie. Tak! Tak!

Nie!?

## 2

Przystąpiłem więc do egzaminów. I zdałem je. Badania u lekarza.

Niczego się nie doszukał. I po wszystkim.

Byłem pomocnikiem listonosza. Dorywczo.

Na początku było lekko i łatwo. Zostałem przeniesiony do urzędu w West - Avon. I było tam dokładnie tak samo, jak w okresie przed świętami Bożego Narodzenia. Brakowało tylko tego tłustego dupiszcza. Ciągle jednak myślałem, że ktoś będzie chciał mi jakoś przysrać. Tak się jednak nie stało. Szef, kapo, był znośny, a ja łąziłem prawie bez celu, a to miałem ulicę, a potem nic. Nawet uniformu nie miałem, tylko czapkę, Chodziłem w trasę w moich zwykłych łachach. A ponieważ chleliśmy z moją dupencją Betty ogromniaście, to i na ubranie nigdy nie starczało forsy.

A potem przeniesienie do Oakford.

Kapo, czyli szef, to był taki byczy kark z nazwiskiem Jonstone. Nie dawali sobie rady. Od razu wiedziałem, dlaczego Jonstone z lubością paradował w ciemnoczerwonych koszulach - więc musiało zajeżdżać krwią i rozróbą! Było nas siedmiu pomocników listonoszy. Tom Moto, Nick Pelligrini, Herman Stratford, Rosey Anderson, Bobby Hansen, Harold Wiley i ja, Henry Chinaski. Zaczynaliśmy zawsze o piątej nad ranem, a ja byłem jedynym pijącym w tej całej kompanii. Chlałem zawsze do północy, a potem, od piątej rano siedzieliśmy wszyscy w urzędzie, czekając na jakąś robotę, a może raczej na telefon od kogoś z tych etatowych, co to właśnie zachorowali. Chorowali zawsze wtedy, kiedy padało albo żar walił z nieba, albo w następnym dniu po jakimś tam urzędowo - państwowym święcie. Wtedy zalewała nas podwójna porcja poczty.

Musieliśmy obsłużyć czterdzieści albo pięćdziesiąt tras, u może nawet i więcej. System rozdziału nadchodzącej do urzędu poczty ciągle się zmieniał, niczego nie można było się nauczyć, do niczego nawet przyzwyczać. Wyszukiwało się z tych ton przesyłek listy i paczki do własnego rewiru; posortowane łądowały w torbie, która nie przestawała obijać miednicy. O ósmej odjeżdżał samochód odstawiający nas na nasze trasy.

Jonstone zawsze dbał, żeby odbywało się to bardzo punktualnie. Chłopaki musieli więc kończyć sortowanie na ulicy, nie mieli czasu, żeby coś przegryźć, zdychali z pośpiechu i tej pierdolonej nerwicy. Dziś mieliśmy opróżniać skrzynki pocztowe. Ten byczy kark opóźnił nasz wyjazd w trasę o trzydzieści minut. „Chinaski, trasa 539!” - ryczał w tej swojej ciemnoczerwonej koszuli i machał rękoma, kręcąc się w krześle. Zaczęliśmy pół godziny później, ale skończyć musieliśmy w normalnym, regulaminowym terminie. Musiało zawsze być punktualnie.

Raz czy może dwa razy w tym tygodniu kazano nam zaszuwać także w nocy, nawet i wtedy, kiedy już przed południem zdychaliśmy ze zmęczenia. I mimo że wszyscy dobrze wiedzieli, że samochód nie może tak szybko rozwieźć nas po rewirach, a potem pozbierać wszystkich do kupy, byczy kark upierał się jednak zawsze przy tym niemożliwym do wykonania rozkładzie jazdy. Opuszczaliśmy więc niektóre skrzynki, które jednak opróżniane następnego dnia, wypełnione były po brzegi; pot lał się z nas, a my, cuchnąc nim i klnąc, upychaliśmy te pierdolone przesyłki do pocztowych worków.

Te nocne wyprawy zawsze kończyły się nagniotkami na palcach rąk i nóg i jazgotliwym trzeszczeniem kręgosłupa. Ten Jonstone już wiedział, co robi.

### 3

Pomocnicy listonoszy byli dla Jonstone'a takimi frajerami, co to mieli wykonywać jego niemożliwe do wykonania polecenia. Nigdy nie mogłem tego pojąć, kto mógł postawić takiego człowieka na tym stanowisku, człowieka, z którego wszystkimi otworami ciekła bezduszość, a nawet okrucieństwo. Pełnoetatowym nic to nie robiło, człowiek ze związków był na to nieczuły. Długo się więc zastanawiałem. W wolnym dniu machnąłem trzydziestostronicowy raport na ten temat. Kopia dla byczego karku, a ja poszedłem z oryginałem do przedstawiciela Rządu Stanowego. Tam też jedna z tych licznych sił biurowych kazała mi czekać. Więc czekałem i czekałem. Czekałem godzinę, godzinę i pół, aż wreszcie zostałem wprowadzony do niskiego, szaro owłosionego przedstawiciela, z oczkami koloru popiołu papierosowego.

Nawet nie zaproponował mi krzesła. Zaczął się wydzierać. I nie skończył.

- Pan to taki jeden z tych upierdliwych przemądrzałych, co?

- Wolałbym, żeby mnie pan nie obrażał, Sir.

- Pierdolona mądrala, elegancki w gestach z wielkimi słowami na wardze?

Wywijał moim raportem w powietrzu. I darł się dalej.

- MR JONSTONE JEST DELIKATNYM I WYKWINTNYM MĘŻCZYZNĄ.

- Niech się pan już nie wygłupia, bo wszystko wskazuje na to, że jest tylko pospolitym sadystą - powiedziałem.

- Jak długo pracuje pan na poczcie?

- Trzy tygodnie.

- MR JONSTONE PRACUJE JUŻ TRZYDZIEŚCI LAT W TYM RESORCIE.

- A co ma jedno z drugim wspólnego?

- Powiedziałem już: MR JONSTONE JEST DELIKATNYM I WYKWINTNYM MĘŻCZYZNĄ.

Myślałem już, że ten drący się przedstawiciel Rządu Stanowego chce mnie zamordować. Na pewno spał z Jonstonem.

- No już dobrze - powiedziałem. - Jonstone jest delikatny i wykwinny. Pan to musi lepiej wiedzieć. Zapomnijmy o wszystkim.

Wyszedłem. Następnego dnia wziąłem wolny dzień, ma się rozumieć, niepłatny.

#### 4

Jak Jonstone zobaczył mnie dwa dni później o piątej nad ranem, zaszamotał się w swoim fotelu, a jego twarz nabrała koloru koszuli, albo odwrotnie. Nic nie powiedział. Na mnie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Do drugiej nad ranem poddaliśmy z Betty, lekko, i nie tylko.

Oparłem się więc o ścianę urzędu i przymknąłem oczy. Koło siódmej zaszamotał się Jonstone znowu. Wszyscy dostali już pracę albo zostali odesłani do innych urzędów, nie mogących dać sobie rady z nawałem roboty.

- To już wszystko, Chinaski. Dla pana nic dzisiaj nie ma.

Popatrzył mi głęboko w oczy.

Kurwa chcesz se popatrzeć, to se patrz! Bo ja chciałem już leżeć w łóżku i spać.

- Okay, Stone powiedziałem. Pełnoetatowi tak go też przezywali, Stone, ale tylko między sobą. Ja byłem jedyny, który tak się do niego zwracał. Wyszedłem. Stary, mocno już zrujnowany samochód zaskoczył od pierwszego razu.

Szybko wylądowałem w łóżku, koło Betty.

- Hank! Jak to ładnie!

- Tak, grzechotko - i mocno wtuliłem się w jej rozgrzany jeszcze tyłeczek. Po czterdziestu pięciu sekundach zasnąłem.

#### 5

Następnego dnia wszystko odbyło się dokładnie tak samo.

- To już wszystko, Chinaski. Dla pana znowu nic dzisiaj nie ma.

Siedem następnych dni też to samo. Siedziałem każdego ranka od piątej do siódmej i nic nie zarabiałem. Wykreślono mnie nawet z listy tych, którzy nocą opróżniali skrzynki pocztowe.

Bobby Hansen, jeden z najstarszych wiekiem i stażem pomocników, powiedział mi wtedy:

- Mnie też chciał wrobić. Chciał mnie zagłodzić!

- Mnie to wisi. Nie będę mu wlaził w dupę. Nawet jeśli miałbym to czynić w głodowych majakach. W każdej chwili mogę rzucić tę cholerną robotę.

- Nic nie musisz rzucać - zamelduj się tylko wieczorem w Prell. Powiedz szefowi, że tu nie możesz dostać roboty, a on na pewno przydzieli ci roznoszenie poczty ekspresowej.

- Tak? - zapytałem - i nie będzie to wbrew jakimś tam przepisom?

- Ja, co dwa tygodnie, regularnie i punktualnie dostawałem swoje pieniądze! A ty też nic

więcej nie chcesz?

- Dziękuję, Bobby!

## 6

Nie wiem już dokładnie, o której należało się tam zameldować. O szóstej czy o siódmej wieczorem. Ale coś koło tego.

Siedziało się z łapą pełną listów i przy pomocy planu miast układało się trasy. To nie było bardzo skomplikowane. Ale pozwalało dowolnie rozplanować czas. Rozplanować czas znaczyło wykombinować dużo wolnego, a płatnego przecież czasu. Wszyscy to robili. W te gierki ja też musiałem się wprawić. Wszyscy opuszczaliśmy urząd pocztowy razem, i umawialiśmy się, kiedy wracamy. W ten sposób znajdowało się czas i na wypicie kawy, i na przeczytanie gazety, a i na to, że wreszcie mogłeś poczuć, że i ty jesteś człowiekiem.

A wtedy, kiedy chciałeś mieć wolny dzień, brałeś go sobie.

Proste to wszystko i jakże demokratyczne.

Bardzo często odwiedzałem taką jedną, dość przysadzistą i krępą, która codziennie otrzymywała jakiś ekspresowy list. Przyodziwała się, świadomie, suka, w takie lekkie i przewiewne sexy - coś i obnosiła się w tym od samego rana. Koło jedenastej wieczorem wbiegało się po dość stromych schodach do jej drzwi, dzwoniło i oddawało list. Łapała wtedy powietrze, gwałtownie, nawet bardzo gwałtownie, o tak mniej więcej:

„OOOOOOOOhhhhhhHHHHH” i stawała bardzo blisko, prawie ocierając się o klamerkę spodni, nie pozwalając odejść aż nie skończyła czytania listu, a potem znowu dość gwałtownie łapała powietrze do swoich płuc:

- OOOOOOOOooooohhhhh... dobranoc... BARDZO dziękuję.

- Proszę bardzo.

Na nic więcej nie można było się zdobyć, skoro narząd stanął dęba, a ty sam zbiegając kłusem, musiałeś pokonać jeszcze drogę w dół po schodach. Wysoki współczynnik tarcia, więc i oporu także. Niestety. To trwało bardzo krótko. Po tygodniu wolności nadszedł list:

*Bardzo Szanowny Panie Chinaski.*

*Proszę o natychmiastowe zameldowanie się w urzędzie pocztowym w Oakford. Niewykonanie tego polecenia może spowodować konieczność zastosowania kar regulaminowych, łącznie z wymówieniem Panu pracy.*

*A.E. Jonstone Inspektor U.P. Oakford*

I znowu musiałem wrócić do jamy chama.



Chinaski - trasa 539.

Najgorsza w całym obwodzie. Stare czynszowe kamienice ze zniszczonymi skrzynkami pocztowymi, na których albo nie było żadnych nazwisk, albo były tak zamalowane lub wydrapane, że nic już na nich nie pozostało. I te wąskie korytarze, oświetlone małymi, matowymi żarówkami. Szeregami stały w nich jakieś nadszarpnięte wiekiem stare ciotki, ciągle pytające o to samo i w ten sam sposób, jakby była to jedna i ta sama osoba, ale w wielu egzemplarzach. „Listonoszu, czy macie coś dla mnie”. Najchętniej wydarłbym się wtedy: „A skąd ja mam wiedzieć, kim pani jest, a kim ta obok, kim ja jestem, a w ogóle po co tak tu od lat sterczycie?”.

Z wywalonym językiem, opływający potem, z poszarpanymi już pewnie mięśniami, pod nieludzkim ciśnieniem czasu i w wiecznym pośpiechu, bez przerwy miałem przed oczami portret zadowolonego Jonstone'a w ciemnoczerwonej koszuli, zawsze wszystkowiedzącego, zacierającego paluchy. A wszystko najprawdopodobniej tylko dlatego, żeby cisnąć w dół koszty działania urzędu, którego był głową i „byczym karkiem”. Wszyscy wiedzieli jednak, że tak naprawdę to chodziło mu o coś zupełnie innego. No, a cóż to był za delikatny i wykwinny mężczyzna!

O, ludzie! Ludzie! Ludzie! I psy!!!

A skoro już jesteśmy przy psach:

Było to dnia, kiedy z nieba walił żar czterdziestu stopni w cieniu! Prawie na kolanach, oślepiany przez nieustanne przyływy słonych fal potu, lepiący się wszędzie, na wpół już, w obłędzie, z ostrym bólem w okolicy miednicy, zatrzymałem się przed niskim domkiem. Skrzynka wisiała na płocie. Wetknąłem kluczyk, skrzynka otworzyła się. Blaszący szmelc jakoś dziś nie stawiał żadnego oporu! I wtedy poczułem, jak coś wpycha się między moje nogi. Odwróciłem się i zobaczyłem wyrosniętego niemieckiego owczarka, nachalnie wciskającego swój czarny nos w mój tyłek, Jednym kłapnięciem swoich nieobliczalnych przecież szczęk mógłby wyrwać mi jaja z korzeniami!!! Postanowiłem, że ci ludzie nie dostaną dziś swojej korespondencji. Więcej że oni już nigdy nie będą jej dostawać! Przynajmniej ode mnie. O rany - jak on wwiercał mi się w dupę! A wachał, a węszył! Włożyłem więc listy do torby, a potem, powoli i ostrożnie, odważyłem się zrobić pół kroku do przodu. Pies nie odstępował. Więc zrobiłem, tym razem drugą nogą, też pół kroku do przodu. Owczarek niuchał dniej! Powoli, bardzo powoli udało mi się zrobić pełen krok. A potem następny. Zatrzymałem się. Mój wróg pobiegł na ulicę i przekrzywiwszy łeb, zaczął mi się bacznie przyglądać. Przyglądał się i przyglądał! A ja jak stałem, tak stałem dalej. Może nic podobnego jeszcze nie wachał i nie

wiedział, jak się wobec czegoś tak specjalnego zachować. Ciągle jeszcze patrzył, jak jednym susem zacząłem dawać chodu!

## 8

I to nie była moja ostatnia przygoda z owczarkiem niemieckim. Inna miała miejsce latem, a to zwierzę, olbrzymimi susami nadbiegło z podwórka i zaczęło SKAKAĆ na mnie, celując w podbródek.

- BOŻE! BOŻE! - zacząłem wrzeszczeć. - O PANIE! BOŻE W NIEBIE!

MORDERSTWO! POMOCY! MORDERSTWO!

To bydlę zakręciło się wokół własnego ogona i ponawiało ataki. Udało mi się go silnie uderzyć torbą tak, że wszystkie gazety i listy zaczęły fruwać w powietrzu. A ten nic. I jak gotował się do kolejnego skoku, pojawiły się dwa maślaki, właściciele, i uczepili się jego obroży. W towarzystwie grzmotów dobiegających z jego pyska, udało mi się pozbierać rozrzucone przesyłki. Musiałem je i tak sortować jeszcze raz na werandzie sąsiedniego domu.

- Wy, kurwa, gówniarze, zupełnie wam już z tym psem odbiło, nie? - krzychałem do nich. - Ten pies to morderca. Albo się go pozbędziecie, albo trzymajcie go przynajmniej na grubym łańcuchu!

Miałem ochotę im dowalić, nie za dużo, ale między nimi szalało to krowiaste bydlę. Na kolanach, przycupnięty na obcej werandzie, dokończyłem sortowanie przesyłek. I jak zwykle, zabrakło mi czasu na obiad i na kawę, a mimo że sam się już popędzałem, wróciłem do urzędu z czterdziestominutowym opóźnieniem. Stone oczywiście spojrzał na zegarek.

- Chinaski, pan wraca z czterdziestominutowym opóźnieniem.

- A panu nigdy się coś takiego nie przytrafiło?

- Udzielam panu ostrzeżenia.

- No, jasne, Stone.

Szybko zaczął walić w maszynę do pisania, w której już tkwił odpowiedni formularz. Pojawił się, jak zwykle, cicho i nieoczekiwanie, w pokoju, w którym sortowałem listy i zmieniałem kody pocztowe na źle zaadresowanych kopertach - i rzucił mi przed nos papier. Ten rodzaj korespondencji już mnie nie interesował, a po odwiedzinach u przedstawiciela Rządu Stanowego wiedziałem i to, że jakiegokolwiek protesty są i pozostaną bezcelowe. Nie spojrzawszy nawet wyrzuciłem ten szpargał do kosza.

## 9

Każda trasa miała swoje ciemne strony i zagadki. I tylko całoetatowi znali je wszystkie. Nie było więc ani jednego dnia bez bzdurnych kłótni z odbiorcami przesyłek, bez obscenicznych

gestów, ciągle można było stać się ofiarą zabójstwa, gwałtu czy tych zajebanych już do końca psów, nie licząc innych kretynizmów, których tak dużo w ludzkich łbach.

Oczywiście, że caoetatowi nie zdradzali nikomu tych swoich małych tajemnic. I tylko na tym polegała ich przewaga nad nami no może ważne było jeszcze i to, że po dziesiątkach lat pracy dokładnie znali, na pamięć!, rozmieszczenie wszystkich skrzynek pocztowych we wszystkich rejonach.

Jako nowy pracownik urzędu pocztowego musiałem liczyć się z tym, że czaiły się wokół tej pracy niezliczone niespodzianki na trasie, ale i w samym urzędzie, a tym bardziej na mnie, czyli na tego, który ostro tankował cały wieczór, szedł o drugiej spać, a o wpół do piątej rano, po nocy pełnej cielesnych cudowności i sprośnych piosenek, niestrudzenie laźł do swego miejsca pracy.

Kiedyś tak mi się udało, że starczyło nawet czasu na obiad, co przy zupełnie nowej trasie jest wyczynem co najmniej mistrzowskim. Mój Boże - myślałem - czym sobie zasłużyłem, że po raz pierwszy od dwóch lat w miarę spokojnie mogę zjeść coś ciepłego, i w dodatku w czasie godzin pracy!.

Po obiedzie niewiele już mi zostało, mała kupka listów adresowanych do kościoła. Niestety, brakowało numeru posesji, na kopertach widniało tylko jakieś święte imię i nazwa ulicy, przy której jakoby miał stać ten kościół.

Znalazłem go. I dopiero teraz poczułem kaca i zawroty głowy. Szukanie skrzynki na listy kosztowało mnie dużo wysiłku. Nie znalazłem jej. Znalazłem za to jakieś drzwi wejściowe. Otworzyłem je i wszedłem do środka. Ani jednej skrzynki, ani jednego człowieka, przepicie coraz mocniej dawało mi się we znaki. W dali dostrzegłem parę palących się świec, a także małe pojemniczki na święconą wodę. Nagle, nad głową pojawiła się ambona. Sprawiała wrażenie jakby wytrzeszczała na mnie swoje święte gały, a głębiej stały statuy, jasnoczerwone, bladoniebieskie i wytarto - żółtawe, skapane wszystkie w świetle cuchnącego i gorącego przedpołudnia.

No, i czy ty się w to wczuwasz, Boże?

I szybko wyszedłem na zewnątrz. Obszedłem kościół dokoła, ściskając list w dłoni. Po prawej stronie, schodząc schodami w dół, dostrzegłem przymknięte drzwi.

I jak myślicie, co ja zobaczyłem za tymi drzwiami?

Rzędy kiblów! I natryski. Zmrok. Światła były pogaszone. Jak miałem w takim zmroku dostrzec te jebane skrzynki? Po chwili walki z ciemnością zobaczyłem kontakt! Przekręciłem go - cały kościół i wszystko wokół niego rozświetliło się rześścicie. Idąc dalej wlałem do jakiegoś pomieszczenia, w którym stał stół, a na nim porozkładane różnokolorowe kapłańskie szaty. Przy nodze stała butelka wina.

Do kurwy nędzy - pomyślałem sobie - dlaczego muszę zawsze wdepnąć w taki grząski teren?

Przechyliłem butelkę, i to chyba nieraz, rzuciłem listy na te kolorowe szmatki i wróciłem do tych znajomych mi już kibłów i natrysków. Zgasilem światło i w ciemności ulokowałem się na jednym ze sraczy. Czerwone wino przyspiesza przemianę materii - to nie było odkrywczе, ale za to zgodne z chwilowymi potrzebami mojej ciasnej powłoki. Zapaliłem papierosa i pomyślałem sobie o przyjemności i rozkoszy stania pod prysznicem. I dopiero wtedy odkryłem napis na podłodze, pod moimi stopami: LISTONOSZU! - TARGNIJ SIĘ NA KREW PAŃSKĄ I ZMYJ SZYBKO TEN GRZECH KĄPIĄC SIĘ NAGO W RZYMSKOKATOLICKIM KOŚCIELE.

Propozycja została przyjęta z zadowoleniem, ale dwudziestominutowe spóźnienie zostało oczywiście zarejestrowane przez Jonstone'a. Kolejne ostrzeżenie wylądowało w koszu na śmieci.

Dopiero później wyniuchałem, że pocztę oddaje się proboszczowi mieszkającemu za rogiem. Jedyna korzyść z tego wszystkiego ta, że już wiem, gdzie mogę się wysrać i wykąpać, jeśli nagle poczuję się przyciśnięty do muru. W plenerze.

## 10

No, a jednak łać zaczęło.

Pieniądze zostały już dawno w większości przechlane, w podeszwach pojawiły się nowe dziury, a stary płaszcz przeciwdeszczowy nie dawał się już w żaden sposób pocerować. Nawet po krótkim deszczu byłem przemoczony do suchej nitki, tak mokry, że można było wyzymać nie tylko skarpetki, ale i własne gacie. Całonetatowi dzwonili i informowali spokojnymi głosami, że są bardzo chorzy. I tak było we wszystkich urzędach całego miasta. Roboty więc było po pachy! Także pomocnicy padali rażeni nagłą niemocą! A ja nie. Chyba tylko dlatego, że byłem zbyt zmęczony, aby jeszcze móc rozsądnie myśleć.

Pewnego razu zostałem oddelegowany do urzędu w Wently. To było wtedy, kiedy nad miastem oberwała się chmura i sikało co najmniej przez pięć dni bez przerwy. System kanalizacyjny nie mógł dać sobie rady z taką ilością wody, fale przelewały się chodnikami i zalewały piwnice i garaże. Wszystko stało w wodzie.

Chcą tam tylko dobrego pracownika - ryczał za mną Stone, kiedy bohatercko wchodziłem już w potok rwącej wody. Drzwi zamknęły się za mną. Byłem już kompletnie mokry. Samochód zapalił. Ale to i tak było mało ważne. Gdyby bowiem nie zapalił, wsadziliby mnie do autobusu i kazali jechać.

W Wently postawiono mnie przed rozdzielczymi skrzyniami do sortowania listów. Wszystkie były już wypchane, kiedy ja z pomocnikiem dopychaliśmy je do końca. Czegoś podobnego nie widziałem jeszcze w życiu. W każdej z tych rozdzielczych skrzyń mieściło się dwanaście dużych pęków przesyłek. Wyglądało to tak, jakby ten jeden urząd obsługiwał więcej

niż połowę naszego miasta.

Monstrualna ilość!

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że trasy w tym obwodzie, to wyłącznie ulice, ostro i stromo pnące się do góry.

Padąłem już na pysk, kiedy przyszedł czas wyruszenia w teren. Zapakowaliśmy wszystko w skórzane torby i kiedy strwożeni, ja i mój pomocnik, zbieraliśmy odwagę, żeby wyjść na zewnątrz, usłyszałem głos szefa, kapo tego urzędu:

- Niestety, nie mogę dać panu pomocnika w trasę.
- Ach, nic nie szkodzi - odpowiedziałem.

I właśnie to mi zaszkodziło. Dopiero później dowiedziałem się, że szef urzędu w Wently był najlepszym kumplem Jonstone'a. Trasa zaczynała się za rogiem, po wyjściu z urzędu. Pierwsza z dwunastu ulic miała kształt pętli wznoszących się ku górze. Dzielnica najuboższych w mieście, gęsto zabudowana małymi domkami, liczne podwórza i zakamarki, skrzynki pełne pajaków i innego robactwa, wiszące na jednym gwoździu, stare kobiety w oknach, skręcające papierosy lub żujące tabakę, nucące kołysanki kanarkom w klatkach i bacznie mnie obserwujące, tego jedynego kretyna zagubionego w strugach wody.

Kiedy gacie są mokre, zsuwają się, nieustannie zsuwają się z tyłka, taka mokra zrolowana szmata, cudem trzymająca się gdzieś tam między nogawkami spodni a kroczem i nielitościwie uwierająca. Deszcz rozmazywał adresy, papieros zamieniał się po pierwszym sztachu w miękką masę. I cały czas ten sam monotony ruch - kłapa torby do góry, deszcz do środka, list do skrzynki, krople wody z nosa. I tak bez końca. Po pierwszej pętli byłem już u kresu sił. Buty pełne były błota i zeszywniały pod wpływem wilgoci. Co chwila potykałem się o coś - cudem nie rozkwaśiłem sobie nawet nosa.

I ciągle te same zaczepki starych bab:

- A co się stało z tym co tu zawsze przychodził?
- Kochana - BŁAGAM - skąd ja to mam też wiedzieć? Do diabła, ja wiem tyle samo co i pani!

Jeśli ja jestem tu dzisiaj, to on musi być gdzieś indziej, nie!

- Nie jest pan zbyt szarmancki, wie pan!
- Szarmancki?
- Tak jest!

Usta wykrzywiły mi się w durnowatym uśmiechu. Wcisnąłem jej przemoczony list i ruszyłem w stronę następnego domu. Może tamci mieszkający trochę wyżej, w domkach z ogródkami, będą dla mnie bardziej mili - pomyślałem sobie.

Któraś z tych starych ciotek chciała być miłą i zaproponowała:

- Nie chce pan na chwilę wpaść, napić się herbaty i wysuszyć?

- Najdroższa, czy pani naprawdę nie widzi, że my nie mamy nawet czasu, żeby własne, spadające gacie podciągnąć do góry?

Pańskie gacie do góry, a jak to jest możliwe?

TAK, NAJMILSZA, NASZE SPADAJĄCE GACIE PODCIĄGNĄĆ DO GÓRY - zacząłem się już wydzierać i pomaszerowałem w deszczu dalej.

Pierwszą z tych ulicznych pętli miałem już za sobą. Zabrało mi to godzinę. Pozostawało jeszcze jedenaście takich pokręconych uliczek. Prosty rachunek - jeszcze jedenaście godzin w deszczu!

To niemożliwe - pomyślałem. Musieli więc wepchnąć mi najgorszą trasę. Ulice wznosiły się ku górze, i mimo że torba powinna być coraz lżejsza, coraz dotkliwiej czułem ją na biodrach.

Czas obiadu nadszedł i odszedł. Bez obiadu! Byłem na piątej czy szóstej ulicy. Nawet gdyby nie padało, tej trasy nie dawało się obsłużyć w ciągu jednego tylko dnia. W deszczu przypominała, coraz bardziej i bardziej, piekielną drogę przez mękę, a kiedy przemierzasz takie coś, twój mózg zaczyna odmawiać ci współpracy.

I wreszcie byłem już tak mokry, że czułem, iż strugi deszczu i strugi potu zaleją mnie już na zawsze, i że to będzie koniec. Udało mi się znaleźć schronienie pod zadaszonym wejściem do któregoś z tych ciemnych domów. Przycisnąłem się do muru. Nawet papieros się zapalił. Trzy razy mocno wdech w płuca, i wtedy dobiegł mnie z tyłu głos jeszcze jednej takiej starej ciotki.

- LISTONOSZ! LISTONOSZ!

- Co się stało - pytam.

- LISTY SIĘ MOCZA!

Popatrzyłem w dół, rzeczywiście, torba była otwarta, a kłapa zwisała obok, dotykając kałuży. Może dwie a może trzy krople wpadły do torby przez dziurę w daszku nad wejściem.

Dalej! Dalej! Tylko debil może dać się wpuścić w taki kanał. Chciałem poszukać jakiejś budki telefonicznej, zadzwonić do tego kapo i powiedzieć mu, żeby sam polatał sobie z tą jebaną torbą! Może ją sobie nawet wsadzić w dupę. Razem z listami i gazetami!

Myśl o porzuceniu pracy nastroiła mnie lepiej. Przez strugi deszczu dojrzałem budynek, stojący u podnóża któregoś z tak tu licznych pagórków i wyglądający z daleka tak, jakby znajdowała się tam budka telefoniczna. Oczywiście, przyspieszyłem kroku. Okazało się wkrótce, że mieściła się tam mała kafejka, a w niej tłum ociekających ludzi.

Zsunąłem z siebie płaszcz przeciwdeszczowy, zrzuciłem czapkę z głowy, postawiłem torbę na podłodze i zamówiłem filiżankę czarnej kawy. Najważniejsze jest to, żeby się trochę osuszyć - pomyślałem. To była najczarniejsza z czarnych kaw jaką kiedykolwiek piłem. Stare fusy, przez

które przepuszczano po raz setny, albo i jeszcze więcej, trochę gorącej wody. Ohyda! Ale gorąca ohyda! Wypiłem trzy filizanki, zabrało mi to godzinę. ALE BYŁEM SUCHY!

Jak wychodziłem z tej nory, stwierdziłem, że cuda istnieją. Przestało lać!

Rzuciłem się więc do pracy, przestałem nagle myśleć o wymówieniu. Zmierzch zastał mnie na ostatniej, dwunastej uliczce tej trasy. Prawie już w nocy stanąłem przed drzwiami urzędu. Drzwi były zamknięte. Jakiś mały i pulchny urzędniczyna pojawił się wreszcie i otworzył drzwi.

- Gdzie pan się podziewał tyle czasu, do cholery! - zaczął krzyczeć.

Poszedłem do siebie, rzuciłem torbę w kąt, pełną listów nie dających się doręczyć, bo adres był niepełny, bo adresat nieobecny, bo fałszywy kod. Zamknąłem pokój, a klucz wrzuciłem do specjalnej skrzyni. W myśl przepisów, każdorazowe pobieranie i zdawanie klucza należało wpisać do książki.

Dzisiaj ten przepis olałem!

Ten mały i pulchny pojawił się nagle. W milczeniu popatrzyłem na niego. Z góry.

- Jeśli wymknie ci się jedno słowo... mały!... nawet nie kichniesz... mały, to wsadzę cię w tę ścianę. Na zawsze!

Mały nic nie powiedział. A ja, w poczuciu zwycięstwa, wpisałem się jednak do tej książki.

Następnego dnia czekałem na to, że Jonstone, kręcąc się w tym swoim krześle, warknie. A on nic.

Deszcze przestały padać. Wszyscy całoletatowi odzyskali zdrowie. Stone odesłał trzech pomocników do domu, nie płacąc im ani grosza. Ja byłem jednym z nich. Polubiłem go nawet za to.

Wróciłem do domu i wcisnąłem się w rozgrzany jeszcze tyłek Betty.

## 11

No, i znowu zaczęło lać!

W sobotę Stone przydzielił mnie do opróżniania ulicznych skrzynek pocztowych. Musiałem pojechać do wschodniej części miasta po samochód i tekturową teczkę, w której znajdowała się mapa z wykazem ulic, zestawienie godzin opróżniania skrzynek, a także system połączeń między ulicami ułatwiający najszybsze dotarcie do poszczególnych skrzynek. Na przykład, godzina 14 32 minuty róg Beecher i Awdon L3R2 do godziny 14 minut 35 (za trzecim domem mieszkalnym po lewej stronie i za drugim po prawej stronie) - jak można było w ciągu trzech tylko minut opróżnić jedną skrzynkę, jechać pięć domów dalej i opróżnić następną, ha!, to mógł wiedzieć tylko diabeł! A może nawet i on nie! Samo bowiem opróżnianie skrzynki w soboty, w soboty są wyładowane po sam brzeg!, zajmowało więcej niż pięć minut. A poza tym, te, jakby się mogło wydawać, dokładne informacje o rozlokowaniu skrzynek, były nie najświeższe i często

okazywało się, że zamiast skrzynki było tylko miejsce po niej. A ona sama, albo została gdzieś przewieszona, albo ją ktoś tak sprasował, że była bezużyteczna. To nawet ładnie wyglądało.

Jak zaczęło lać, to lało i lało. Nie był to silny deszcz, ale taki, co mógłby już trwać do samego końca świata. Okolice były dla mnie zupełnie nowe, ale przynajmniej było jeszcze jasno. Nie miałem więc żadnych kłopotów ze śledzeniem przebiegu trasy.

Kłopoty zaczęły się po zachodzie słońca. Coraz trudniej było mi odnaleźć skrzynkę, bo coraz większe problemy miałem ze znajdowaniem ich w tekturowej teczce. Jedynym źródłem światła w samochodzie były oświetlone cyferblaty deski rozdzielczej.

Woda coraz gwałtowniej zalewała wszystko dookoła, samochód więc też. Coraz częściej nic nie widziałem przed sobą i coraz trudniej było mi odnaleźć te poukrywane za strumieniami wody kiedyś czerwone skrzynki z blachy.

I nagle wysiadło oświetlenie deski rozdzielczej.

Przestałem już widzieć cokolwiek. Przestałem wiedzieć, gdzie się znajduję. Bez informacji zawartych w tekturowej teczce czułem się jak zabłąkany na pustyni. Ale szczęście mnie tak zupełnie jeszcze nie opuściło, jeszcze nie! Miałem dwa pudełka zapalek przy sobie, w kieszeni. I zanim udawałem się w kierunku nowej skrzynki pocztowej, zapalałem zapalki, uczyłem się trasy dojazdu do niej na pamięć i dopiero wtedy naciskałem na pedał gazu. Jeszcze raz udało mi się przechytryć własny los, no i też tego Jonstone'a, który, jak zaczęło mi się wydawać, siedział tam wysoko w niebie, spoglądając na mnie z góry i obserwując mnie, przeklinał swój los i swoje grzechy, obciążając nimi moje konto! Skręciłem za róg, wyskoczyłem z samochodu, dopadłem skrzynki, wybrałem z niej wszystko, wskoczyłem do samochodu... tekturowa teczka ZNIKNEŁA! Jonstone, siedzący okrakiem na chmurze, miej litość nade mną! Noc, deszcz! Czy ja rzeczywiście byłem takim idiotą! Czy zawsze muszę się wpieprzać w tarapaty z własnej winy? Czy tylko ja jestem dzieckiem takiego niefartu! To wcale nie było niemożliwe! Niewykluczone jest także i to, że natura nie wyposażyła mnie w nadzwyczajne zalety ducha i umysłu, niewykluczone jest i to, że żyjąc jeszcze, tak zwykle żyjąc, nawet bez tej tekturowej teczki, mogę mówić o wielkim szczęściu, że ja W OGÓLE żyję.

Ta tekturowa teczka przymocowana była krótkimi kawałkami drutu do deski rozdzielczej. Przypuszczałem więc, że musiała wylecieć z samochodu, po tym nagłym i ostrym zakręcie. Wylazłem więc z samochodu, zrolowałem nogawki spodni aż do samych kolan i zacząłem brodzić w wodzie, której poziom przekroczył na pewno trzydzieści centymetrów nad poziomem chodnika.

Ciemno. Tej cholernej teczki w takich ciemnościach nie znajdę nigdy - myślałem. Łaziłem i laziłem, chaotycznie i bezładnie, ciągle zapalając bardziej wilgotne zapalki i nic. Nic! Musiała



odpłynąć dużo dalej pomyślałem. Mogłem jeszcze myśleć? Potrafiłem? Skręciłem za róg i dopiero tam mogłem stwierdzić, w którą stronę rwały te pierdolone hektolitry wody deszczowej. Poszedłem zgodnie z kierunkiem prądu, naturalnie ciągle osmalając sobie palce nikłym płomieniem zapalek. Dojrzałem wkrótce jakiś ciemny przedmiot, unoszony kolejnymi przyływami kolejnych hektolitrow, coraz dalej i dalej - rzuciłem się w pogoń. Tak! To była teczka: Niemożliwe! Niemożliwe! Z radości chciałem ją ucałować. I zrobiłem to!

Biegiem wróciłem do samochodu, nogawki ściągnąłem w dół, a teczkę przymocowałem do deski podwójną ilością drutu. Oczywiście, że nie mogłem już dotrzymać czasowego planu obsługi tej trasy - ale to było teraz zupełnie nieważne. Najważniejsze było to, że teczka wisiała nad moimi kolanami, a ja nie musiałem ślepo kręcić się w nie znanej mi okolicy i pukać do obcych ludzi z pytaniem o drogę do pocztowego garażu. Tym bardziej, że z tej rozpacz, tak, tak, rozpacz, coraz częściej pojawiał mi się przed oczami obrazek jakiegoś opitego piwskim półrozebranego miłośnika telewizora, jadliwie odszczekującego: „Zasuwasz na poczcie, co?... i nawet nie potrafisz odnaleźć drogi do własnego garażu, debilu!”. Więc lepiej było jechać dalej. Jechałem więc dalej, paląc zapalki, wdychając spaleniznę własnego ciała, włączając w potoki pędzącej wody, żeby dotrzeć do kolejnej skrzynki pocztowej. No jasne, że byłem zmęczony, przemoczony, bezsilny wobec bezmiaru katastrof, spadających na mnie w ciągu jednego tylko dnia. Ciągle myślałem o ciepłym łóżku, o lekko krzywych łydkach Betty - i tylko to dawało mi siły. Cieszyłem się, że wkrótce, już wkrótce, usiądę w fotelu, ze szklanką czegoś mocnego i wytrawnego, wsunąwszy rękę w kędziory leżącego na kolanach psa.

Ale to wszystko było tylko melodią przyszłości.

Liczba skrzynek pocztowych do opróżnienia w tę sobotę wydawała się być nieskończona. I kiedy dochodziłem już do ostatniego adresu na pierwszej stronie, mój palec natknął się na dodatkową informację, podkreśloną czerwonym ołówkiem: „Proszę odwrócić”... Odwróciłem! Lekko krzywe łydki Betty, razem z kędziorami psa i ciepłym łóżkiem stały się czymś prawie już więcej nieosiągalnym.

Ostatnia zapalka. Wreszcie ostatnia skrzynka. Odwiozłem pełen samochód do wskazanego na rozkładzie jazdy w tekturowej teczce adresu urzędu pocztowego w zachodniej części miasta. To, co się działo na terenie tego urzędu nie było niczym innym, jak powodzią. Kanały odpływowe nie radziły sobie zupełnie z takim nadmiarem wody.

Gdy wracałem do bazy, wody przybywało w iście piorunującym tempie. Wszędzie widziałem opuszczone i zalane samochody. Czy i to miało mnie dzisiaj spotkać? - a już znowu wydawało mi się, że siedzę w domu ze szklaną whisky i wbijam się wzrokiem w chybotliwy i kiwający się

tyłek Betty. Na jednym z tych już prawie niewidocznych, bo zalanych, skrzyżowań dobiegł mnie krótki wrzask. To Tom Moto, jeden z pomocników listonosza darł się na cały głos.

- Ty w którą stronę? - pytał Moto.

- Najkrótszym połączeniem dwóch punktów, jak mnie uczono, jest prosta - odpowiedziałem.

- Oszczędź sobie tego - przerwał. - Znam już tę okolicę. To już więcej niż ocean.

- Ach, ty, kurwa - zasyczałem - a gdzie odwaga pocztowca w służbie publicznej! Masz ognia?

Zapaliłem papierosa i wcisnąłem gaz. Tom Moto stał na skrzyżowaniu dwóch rwących potoków spienionej wody.

Betty! Betty! - nadjeżdżam, nadjeżdżam!

Może dojadę. Na szczęście samochody pocztowe mają dobre i wyżej zamocowane zawieszenie. Ktoś jednak kiedyś pomyślał w tym jebanym przemyśle samochodowym. Oczywiście, że jechałem jak tylko mogłem najszybciej, do dechy i gaz w rurę, i na skrót. Fontanny wody wytryskiwały z obu stron samochodu. Lało już tak jakby miało padać do końca i na wieki. Silny szum wody z góry, z boku i z dołu, nieprzyjemne poświsty wiatru. Pusto. Ciemno. I ja samotny w ambulansie.

Betty!... Betty!... już niedaleko!

Jakiś wpółwłany aparat, stojący na werandzie, popukał się w czoło, jak zobaczył te moje zmagania z przyprowadzającą mnie o szaleństwo i sraczkę myśli naturą. Rzuciłem parę mięsistych przekleństw w jego stronę, których on jednak nie mógł usłyszeć. Szkoda.

Woda wdzierała się już do szoferki. Moje buty zaczęły piszczeć. Nie polubiły wilgoci. Ale ja jechałem ciągle dalej. Jeszcze tylko trzy przecznice!

Motor nagle umilkł.

O kurwa! Twoja niewdzięczna mać! Motor nie chciał zaskoczyć.

Błagania nic nie pomogły. Łzy też nie. Trochę chamstwa tym bardziej nie. Zamilkł zupełnie.

Siedziałem i patrzyłem przed siebie. Woda. Woda. Woda. Co najmniej sześćdziesiąt centymetrów.

I co teraz zrobić? - pomyślałem. Czekać aż przyślą łódź ratunkową. A co na to paragrafy regulaminu pracy pocztowca w terenie? Czy jest w ogóle jakiś paragraf regulujący tego typu sytuację?

Ja nie wiedziałem. Nikt w pobliżu też nie wiedział. Bo nie było nikogo. A ty kurwa twoja mściwa mać!

Zamknąłem drzwi. Kluczyki do kieszeni i marsz w wodę. Sięgała mi już do bioder. Lało na

okrągło.

Nagle poziom wody obniżył się. Wlazłem chyba na jakiś trawnik. Biegiem? Nie! Chyba szybciej byłoby kraulem. Pomyślałem jednak, że wyglądałbym zbyt śmiesznie. Nawet sam wobec siebie.

Dotarłem wreszcie do pocztowych garaży, skierowałem się do biura. Szef patrzył na mnie w milczeniu, a ja czułem się jak nasycona brudną wodą gąbka. Rzuciłem mu kluczyki na biurko. Na skrawku papieru napisałem tylko: Mount - view Place 3435.

- To jest ulica, przy której, jeżeli nie odpłynął, stoi samochód. Możecie go sobie sprowadzić.

- Czy chce pan powiedzieć, że opuścił pan samochód?

- Chce tylko to powiedzieć, że to on mnie puścił kantem!

Podstemplowałem wszystko, co należało podstemplować, rozebrałem się do gaci i wcisnąłem się w kaloryfer. Moje ubranie starannie na nim ułożyłem. Popatrzyłem na prawo. Niedaleko ode mnie, też wcisnięty w kaloryfer grzał się Tom Moto. Też tylko w gaciach.

Zaczęliśmy rechotać ze śmiechu.

- Po byku nas urządziło, co? - stwierdził. - Nie do wiary!

- To wszystko robota Stone'a, nie?

- Bez wątpienia. Ten buc się już o to postarał. Wymodlił ten deszcz! Ugrzązłeś?

- No jasne - odpowiedział.

- Ja też.

- Słuchaj - powiedziałem - mój samochód ma już ze dwanaście lat, a twój o te kilkanaście mniej. Mógłbyś mnie trochę popchnąć? Bo inaczej ten gruchot nie zaskoczy.

- Okay!

Ubraliśmy się i opuściliśmy te gościnne pokoje.

Moto kupił przed trzema tygodniami nowiuteńki samochód. Ale i on się zborsuczył. Nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Ach, ty wszechpotężny Boże - pomyślałem tylko.

Woda zalała nowiuteńkie dywaniki w nowiuteńkim samochodzie Mota.

- Zabity - stwierdził świeży właściciel.

Bez żadnych nadziei przekręciłem kluczyk w stacyjce w moim starym zardzewiałym trupie.

Akumulator wydał z siebie jakby jęk, ale iskra była za słaba. Parę razy wcisnąłem pedał gazu. Zaskoczyło! Chcąc go rozgrzać, dałem jeszcze do dechy. Zawył. I ja też. Podgrzałem jeszcze trochę i pchnąłem milczące cacuszko Toma. Mijały metry, a ten nawet nie pierdnął. Dopchałem

go więc do stacji benzynowej i zostawiłem Toma w jego cudzie techniki, a sam ruszyłem do domu. Przyrzekłem to przecież Betty i jej wdziękom!

## 12

Ulubionym listonoszem Stone'a był Mathew Bettles.

Jego koszule były zawsze świeże i wyprasowane. Prawie wszystko co miał na sobie zawsze wyglądało jak nowe, dopiero kupione. Buty. Koszula. Spodnie. Czapka. Buty były zawsze wypolerowane na najwyższy błysk i połysk... Chyba niczego nie prał dwa razy. Najmniejsza plamka na koszuli czy spodniach musiała powodować grymas jego niesmaku...! wdzięczny wyrzut którejś z kończyn górnych w stronę kubła z „aż tak zapaskudzoną” częścią garderoby.

Kiedykolwiek pojawiał się Mathew na horyzoncie, bądź przechodził w dali, Stone szeptał:

- Przypatrujcie się mu, to prawdziwy listonosz.

Mówił to zawsze niezwykle dramatycznie, a na pewno serio. Oczy zachodziły mu prawie łzami z tej miłości do tak wzorowego urzędnika amerykańskiej poczty.

A Mathew stał przed tym swoim pulpitem rozdzielczym, dniami, a często i nocami, wyprostowany i czysty, w uroczyście i odświeżeniu lśniących butach, pełen animuszu i niepojętej radości wpychał amerykańskie przesyłki w odpowiednie przegródki.

- Pan jest przykładem dla wszystkich listonoszy, Mathew!

- Dziękuję, dziękuję bardzo, Mr. Jonstone.

Pewnego ranka, o wpół do piątej rano, pojawiłem się jak zwykle w biurze Jonstone'a. Siedział przy biurku, w tej swojej ciemnoczerwonej koszuli, złamany w pół, z wbitym w blat stołu czołem. Moto podszedł do mnie i wyszeptał:

- Mathew został wczoraj aresztowany!

- Aresztowany?

- No, wybierał pieniądze. Otwierał listy kierowane do świątyni Nekalayla i wyciągał gotówkę. I to przez piętnaście lat.

- Jak go przyskrzynili? Kto na to wpadł?

- Te stare ciotki. Te szajbuski wysyłały banknoty w listach i nigdy nie otrzymywały słów podzięką ani żadnej informacji zwrotnej o nadejściu datku.

- Nekalayla zameldowała o tym policji, a policja zaczęła obserwować Mathew. Złapali go w końcu, jak otwierał listy i kasował szmalec.

- I ja mam w to uwierzyć?

- No. Złapali go wczoraj, w samo południe.

Musiałem oprzeć się o ścianę.

Nekalayla zbudował tę olbrzymią świątynię i kazał pomalować ją na ohydny zielonkawy

kolor, myśląc chyba przy tym o kolorze amerykańskich nominałów. Trzydziesto - czy nawet czterdziestoosobowy team nie zajmował się niczym innym jak otwieraniem kopert, wyciąganiem z nich banknotów i czeków, wpisywaniem w księgi datków sum jakie wpłynęły, dat ich nadejścia oraz nadawców z adresami. Inna grupa, tej samej chyba wielkości, zajmowała się tylko wysyłaniem broszur i informacji o Nekalayli, i ciężko harując pod olbrzymim portretem mistrza, powiększonym do niebotycznych rozmiarów, na którym on, otulony kapłańskimi szatami i ozdobiony brodą, spoglądał w dół, kontrolując pracę swoich wyznawców.

Nekalayla rozprzestrzeniał naukę, w myśl której, chodząc po pustyni miał jakoby spotkać Jezusa Chrystusa, z którym uciął sobie wyczerpująca pogawędkę. Mieli zasiąść na skale, a Jezus Chrystus jakoby miał wypaplać mu wszystko z najdrobniejszymi detalami. Te tak zwane tajemnice mistrza Nekalayla puszczał teraz w obieg, z jednym tylko zastrzeżeniem, że mogły one docierać tylko do tych, którzy mogli sobie na to pozwolić. W każdą sobotę odprawiał mszę świętą, w trakcie której jego pomocnicy, będąc także jego zwolennikami, uruchamiali przy każdym wejściu oraz każdym wyjściu każdego uczestnika mszy zegar kontrolny, wychodząc ze słusznego założenia, że czas to pieniądz.

I czy wobec takich faktów możliwa byłaby jakakolwiek próba przechytrzenia takiego Nekalayli, mądrzejszego o tajemnice Jezusa Chrystusa wypowiedziane na pustyni, przez niejakiego Mathew Bettlesa, nawet jeśli ten ostatni wyczyścił sobie buty na superglanc?

- Czy ktoś już ze Stone'em o tym rozmawiał? spytałem cicho.

Urwał się czy jak?

Więc siedzieliśmy tak razem. Godzinę chyba. W zupełnym milczeniu. Ja i Stone.

Ktoś zajął miejsce Mathew przy stole rozdzielczym, ktoś inny dostał już też robotę. Tylko ja nic. Więc po godzinie tego cholernego milczenia, wstałem i podszedłem do biurka Jonstone'a.

- Mr. Jonstone?

- Tak, Chinaski.

- Gdzie jest Mathew? Czy on jest dzisiaj chory?

Stone spuścił głowę. Popatrzył na jakiś papier leżący przed nim, a potem podał mi go. Przeczytałem i wróciłem na moje stare miejsce. Usiadłem. Godzinę później Jonstone odwrócił się do mnie.

- Nic nie mam dziś dla pana, Chinaski.

Więc wstałem i chciałem wyjść. W drzwiach zatrzymałem się.

- Do widzenia Mr Jonstone. Myślę, że mimo wszystko będzie to pogodny dzień także i dla pana.

Nie odpowiedział nic.

Zszedłem na dół, do sklepu z alkoholem i kupiłem sobie butelkę marki Grandad.  
Na śniadanie.

### 13

Ludzie, widząc roznoszącego pocztę listonosza, reagowali zawsze w ten sam sposób. Zawsze.

- Trochę się dziś spóźniamy, co?
- A gdzie jest ten listonosz, który zawsze tu przychodził?
- Hej, wuj Sam!
- Listonosz! Listonosz! To nie do mnie!

Ulice kłębiły się od nudnych i skretyniałych typów. Tacy mieszkali najczęściej w pięknych domach, nie chodzili codziennie do pracy - zastanawiałem się często, jak to robili. Jednym z takich typów był jeden, co to nigdy nie pozwalał zbliżyć się do swojej skrzynki pocztowej. Stał przed nią i z oddali obserwował nadchodzącego listonosza, zajętego jeszcze, trzy czy cztery domy dalej, napełnianiem skrzynek pocztowych sąsiadów. Stał i trzymał przed sobą wyciągniętą rękę.

Moi koledzy, także obsługujący tę trasę, na moje pytanie, kim jest ten człowiek, stojący przed własną skrzynką pocztową z wyciągniętą ręką, odpowiadali mi takim samym pytaniem:

- Kto to jest, stoi przed skrzynką pocztową i żebrze o przesyłki dla siebie?

Pewnego dnia ten żebrzący o przesyłki dla siebie stał na ulicy, oddalony o jakieś dwa domy od miejsca, gdzie wisiała na płocie skrzynka pocztowa, jego skrzynka pocztowa, i rozmawiał z sąsiadem. Rozmawiając z nim nie spuszczał mnie z oka. Wiedział, że muszę odwiedzić jeszcze dwa domy, zanim dojdę do jego miejsca zamieszkania. W chwili, kiedy zobaczyłem, że odwrócił się do mnie plecami, tracąc ze mną kontakt wzrokowy, zacząłem biec w stronę jego domu. Nigdy jeszcze w takim tempie nie pracowałem. Olbrzymimi krokami, bez zatrzymania się, rzuciłem się w stronę skrzynki... i już wetknąłem list do otworu, kiedy on odwrócił się, zobaczył co się święci i zaczął drzeć się.

- NIE! NIE! NIE! - ryczał - NIE WRZUCAĆ! NIE WRZUCAĆ!

Jego bieg zadziwił mnie, a nawet przeraził. Zasuwał, jakby chciał pokonać sto metrów w czasie krótszym niż dziesięć sekund.

Wcisnąłem mu listy w dłoń. Widziałem jeszcze, jak ciężko dysząc otwierał je, przechodził przez werandę i znikł za drzwiami.

Co to wszystko miało oznaczać, tego do dziś nie wiem.

### 14

I znowu nowa trasa.

Stone zawsze dawał mi najtrudniejsze. Czasami, przez przypadek, załapywałem się na coś lżejszego. Ale to tylko czasami i tylko przez przypadek.

Trasa 511 nie należała do morderczych. Cieszyłem się więc już na małą przerwę z kawą i gazetami, na obiad - na obiad, który zawsze w ostatniej chwili jakoś się ulatniał, dematerializował!

Zupełnie przeciętna okolica. Żadne kamienice czynszowe, tylko małe domki, stojące obok siebie w dobrze utrzymanych ogródkach.

Ale przecież to była nowa trasa - musiałem więc postawić sobie pytanie: gdzie tu był i jaki to miał być ten hak! Jeden czy może parę? Jakie niespodzianki mogłyby powalić mnie na chodnik?

Z bożą pomocą dam sobie jakoś radę - pocieszałem się. Obiad - a potem punktualnie z powrotem do urzędu. Punktualnie!

Kiedyś to życie musi dać się polubić, nie!

Ludzie tu mieszkający nie mieli nawet psów. Nie dostrzegłem nikogo, kto by nie dopuszczał listonosza do skrzynki pocztowej. Cisza i spokój. Nawet żadnych złośliwych komentarzy pod moim adresem.

Być może osiągnąłem już pewną dojrzałość w tym zawodzie i to wszystko, co się pod tym pojęciem kryje - spekulowałem sobie w myślach.

Więc od jednej skrzynki do drugiej, bez pośpiechu, jak w masło - można by powiedzieć, zupełnie oddany sprawie, uczciwy i porządny listonosz. Przypomniała mi się wtedy rozmowa z takim jednym całoletowym w podeszłym wieku. Położył sobie wtedy rękę na serce i wyszeptał:

- Chinaski, pewnego dnia, rypnie ci się to tu, dokładnie tu!

- Co, zawał?

- ODDANIE SŁUŻBIE! Zobaczysz - będziesz jeszcze z tego dumny.

Stary, pobełtany pierdziel!

Wtedy powiedział to bardzo serio. Był nawet wzruszony.

Teraz nagle powróciła ta rozmowa. Musiałem o tym myśleć. I o nim. A w ręku pojawił się list polecony z potwierdzeniem odbioru.

Stałem pod drzwiami i dzwoniłem. Małe okienko w drzwiach otworzyło się. Nie widziałem, kto stał po drugiej stronie.

- Polecony.

- Cofnąć się jeden krok - wydobył się damski głos. - Niech pan się cofnie o jeden krok... do tyłu. Chcę zobaczyć pańską twarz.

Aha - pomyślałem - no to mamy jakąś kolejną wariatkę.

- Nie sędzę, by było to konieczne wpatrywać się w oczy listonosza wtedy, kiedy on ma pani

wręczyć tylko polecony. Wrzucę awizo do skrzynki, a pani może sobie to odebrać jutro rano. Proszę nie zapomnieć zabrać ze sobą dowodu osobistego.

Wrzuciłem więc awizo do skrzynki i odwróciłem się plecami do drzwi, oddalając się od domu.

Drzwi się nie otworzyły, ale rozwarły, powodując silny hałas. Kobieta, jak oszalała furia, rzuciła się za mną w pogoń. Miała na sobie jeden z tych zupełnie prześwitujących szlafroków, a pod nim ani śladu biustonosza. Tylko ciemnoniebieskie majteczki. Jej włosy chyba nigdy nie były czesane. Sprawiały raczej wrażenie, jakby chciały umknąć z tego łba gdziekolwiek. Twarz była pokryta bardzo tłustym kremem, szczególnie grube jego warstwy zalegały okolice oczu.

Skóra była tak biała, jakby nigdy nie widziała słońca - a jej twarz nie była ani zmęczona, ani sfatygowana, a mokre usta były cały czas otwarte. Na wargach rozpoznawalny był ślad szminki - a ona sama była jednak fantastycznie zbudowana... ta kobieta! Wszystko to udało mi się dostrzec w ułamku sekundy, kiedy ona pędziła susami w moją stronę.

Szybko wsunąłem list do torby...

- Niech pan mi odda list do mnie! - zaskrzeczała.

- Szanowna pani - nie dawałem się zastraszyć - pani musi...

Wyrwała list z torby i pocwałowała do drzwi. Zatrzymała się w nich na chwilę, rozerwała kopertę, a potem wbiegła do środka.

Pierdolona adresatka pomyślałem. Muszę mieć ten list, albo jej podpis! Za doręczanie przesyłek poleconych odpowiadałem prawie głową. Sam musiałem podpisać odbiór tej przesyłki w urzędzie, a teraz ktoś musi poświadczyć jej odbiór ode mnie.

- HEEJJJ!!! - wydarłem się.

Pobiegłem za nią i dosłownie w ostatniej chwili udało mi się wsunąć nogę między drzwi i próg.

- HEEJJJ - I CO TO WSZYSTKO MA ZNACZYĆ DO KURWY NĘDZY, CO?!

- Jazda stąd! Jazda! Pan jest złym człowiekiem - zasyczała.

- Niech pani to wreszcie zrozumie! Pani musi poświadczyć własnym podpisem odbiór tego listu! Inaczej nie mogę go pani wydać! Pani okrada służby publiczne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej!

- Niech pan stąd zmiata - zły człowieku!

Całym ciężarem ciała rzuciłem się na drzwi i znalazłem się w przedpokoju. Wszędzie było ciemno. Żaluzje i firany nie wpuszczały ani jednego promienia światła. Dom był zupełnie i szczelnie wyciemniony.

- PAN NIE MA PRAWA WDZIERAĆ SIĘ DO MOJEGO DOMU! PROSZĘ NATYCHMIAST



GO OPUŚCIĆ!

- A pani myśli, że nie uprawia bezprawia? Co? Pani okrada mnie z listów. Albo mi go pani odda, albo potwierdzi jego odbiór! A dopiero wtedy sobie pójdę!

- No, dobra już, dobra - zaczęła nagle - chętnie podpiszę.

Pokazałem jej miejsce, gdzie ma złożyć podpis i dałem długopis. Cały czas nie spuszczałem oka z jej piersi i tego wszystkiego, co wokół nich. Jaka szkoda - pomyślałem - że to taka kompletna idiotka, jaka szkoda, jaka szkoda - nic tylko żal i boleść.

Oddała mi długopis i potwierdzenie odbioru. Podpis przypominał bazgraniny dzieci niskiej grupy wiekowej, na klatkach schodowych.

Zacząła czytać list, a ja powoli zbierałem się do odejścia.

Nagle rzuciła list i z rozpostartymi rękami stanęła przede mną; przestała też nagle napierać, żebym opuścił jej domostwo.

- Zły, zły człowiek. Pan tu przyszedł, żeby mnie zgwałcić, co?

- Proszę zejść na bok, ja chcę wreszcie stąd wyjść!

- PAN MA WYPISANIE ZŁO W RYSACH TWARZY!

- A pani myśli, że ja tego nie wiem? A teraz proszę pozwolić mi dalej wykonywać moją pracę. Spróbowałem ją odsunąć, delikatnie, jedną tylko ręką.

Wbiła się pazurami w mój lewy policzek. Zacząła sączyć się krew. Rzuciłem torbę na ziemię, czapka sama spadła mi z głowy i kiedy próbowałem chustką zatamować krew, zaatakowała mnie ponownie, rozdrapując i to głęboko, prawy policzek.

- TY DURNA PIZDO! ZWARIOWAŁAŚ, CZY CO!

- Aha, aha - no i miałam rację, pan jest złym człowiekiem.

Stanęła blisko mnie, chyba za blisko. Chwyciłem ją za tyłek i zacząłem całować. Jej cycki prawie wwierały się we mnie, całe jej ciało silnie parło na mnie. Wyrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się znowu drzeć: - Potwór, potwór! Diabelskie nasienie!

Ona się darła, a ja już miałem jej sutki w ustach.

- Potwór! Pomocy! Gwałcą! - krzyczała niezmordowanie dalej.

A ja przyznawałem jej rację, zsunąłem jej majtki na dół, otworzyłem własny rozporek i silnie wdarłem się w nią. Dziwnym, nietanecznym krokiem, udało się nam dojść do kanapy i upaść na nią. Wyrzuciła szybko nogi do góry, ale nie przestawała drzeć ryja.

- GWAŁT! GWAŁT! - skrzeczała coraz donośniej, z nogami cały czas w górze. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy i na co mnie było wtedy stać, zapiałem rozporek, przerzuciłem torbę, tym razem na lewe ramię, nałożyłem czapkę na głowę i wyszedłem z domu, zostawiając ją w ciszy, wpatrzoną w sufit.

Musiałem zrezygnować z obiadu, a mimo to, nie pojawiłem się punktualnie w urzędzie.

- Spóźnił się pan piętnaście minut - skonstatował chłodno Stone.

Nic nie odpowiedziałem.

I dopiero teraz dostrzegł zadrapania na twarzy.

- Na miłość boską, co się panu stało? - zdziwił się.

- O TO JA TEŻ CHCIAŁEM PANA WIELOKROTNIENIE ZAPYTAĆ. OD DAWNA.

- Nie rozumiem!

- Ach, wszystko jedno!

## 15

Jak nie ulewa, to żar z nieba.

Przez cały tydzień temperatura nie spadała poniżej czterdziestu stopni. Każdego wieczora wypompowany, pompowałem w siebie całkiem nieźle żeby następnego dnia, w piekielnym słońcu cierpieć na myśl o Jonstonie, o ostatnim ochlaju i o szeregach butelek zgromadzonych skrzętnie przez Betty. Niektórzy wciskali na głowy korkowe tropikalne hełmy, a co najmniej słoneczne okulary na nosy - ale ja się tak nie przystrajałem. Mnie było wszystko jedno - zawsze miałem na sobie strzępki czegoś, co kiedyś mogło być ubraniem, a buty już tak były stare, że paznokcie z łatwością torowały sobie przez nie drogę na zewnątrz. Czasami wymaszczałem sobie buty kawałkami starych gazet, ale to nie pomagało na długo.

Piwo i whisky ściekały wszystkim porami skóry, pot zalewał mi oczy, a ja zdychałem ciężko obciążony, jakbym niósł krzyż na własnych plecach, wyciągałem z torby poplamione gazety, dostarczałem pomięte listy, klnąc na słońce, zataczając się na lewo i na prawo.

Jakiś kobiecy głos dotarł do moich prawie już drewnianych pleców.

- LISTONOSZ! LISTONOSZ! TO NIE JEST TEN ADRES! TO NIE TUTAJ!

Odwrociłem się. W odległości jednego domu stała kobiecina i krzyczała. Niemiły to był krzyk, tym bardziej, że już wiedziałem, iż dzisiejszego opóźnienia nie będę w stanie nadrobić.

- Proszę położyć ten list na skrzynce. Jutro go zabiorę!

- NIE! NIE! PROSZĘ TO ZABRAĆ NATYCHMIAST!

Zamachała czymś w powietrzu.

- CZY PANI JEST GŁUCHA!

- PROSZĘ TO ZABRAĆ, TO NIE JEST TEN ADRES!

Boże, dlaczego tolerujesz jeszcze takie monstra!

Postawiłem torbę na chodniku. Zdjąłem czapkę z głowy i grzmotnąłem ją na trawnik. Potoczyła się na ulicę. Olałem to. Podeszedłem do tej wrzeszczącej w taki pieprzony upał kobiety.

Skąd ona ma jeszcze tyle siły?

Wyrwałem jej to coś z ręki, odwróciłem się bez słowa, odszedłem. To była tylko ulotka reklamowa, wydrukowana w milionach egzemplarzy, coś o obniżce cen w jakimś tekstylnym sklepie! Wściekły wcisnąłem czapkę na czubek głowy, przerzuciłem torbę tym razem na prawą stronę, z trudnościami!, i ruszyłem przed siebie w tym ujebliwym upale.

Przechodziłem właśnie jakieś skrzyżowanie, gdy dobiegł mnie z tyłu, znowu z tyłu!, po raz drugi!, i znowu głos kobiety!

- Listonoszu! Listonoszu! Czy nie ma pan listu dla mnie?

- Szanowna pani, skoro przeszedłem już obok pani skrzynki na listy, nie wrzucając tam niczego, znaczy to tylko tyle, że dziś nic dla pani nie ma!

- Ja jednak wiem, że coś pan dla mnie ma.

- A jak pani na to wpadła?

- Siostra dzwoniła do mnie i powiedziała, że napisze do mnie list.

- Tak, jak już pani powiedziałem, nic dla pani nie ma.

- A ja wiem, że pan ma! Pan musi mieć! Wiem, że jest w torbie.

Wpakowała łapy do torby i chwyciła plik kopert.

**NIECH SIĘ PANI NIE WAŻY DOTYKAĆ PRZESYŁEK POCZTOWYCH POWIERZONYCH POCZCIE STANÓW ZJEDNOCZONYCH! NIC DLA PANI NIE MA!!!**

Odwróciłem się i przyspieszyłem kroku.

- A JA WIEM, ŻE PAN MA! Przechodząc kolejną przecznicę, natknąłem się na jej sąsiadkę.

- Pan się spóźnia dzisiaj.

- Wiem.

- A gdzie jest ten, co normalnie roznosi w tej dzielnicy pocztę nie spóźniając się?

- Kończy się na raka!

- Na raka! Harald umiera na raka?

- Nie inaczej - powiedziałem słodkawo i rzeczowo wręczyłem jej to, co dla niej miałem.

- Rachunki! - krzyknęła. - SAME RACHUNKI! I to już wszystko, czym chce mnie pan uszczęśliwić. TYMI RACHUNKAMI!!!

- Szanowna pani, to jest wszystko, czym dzisiaj dysponuję.

Odwróciłem się na pięcie i poszedłem dalej.

A co ja mogłem poradzić na to, że gadają godzinami przez telefon, że pichcą na gazie i że zapalają wszystkie żarówki w swoich domach. Za to się płaci. A one rozdziwiają pyski, jak bym to ja zmusił je wszystkie do instalowania telefonów czy kupna telewizora za 350 dolarów na długoterminowy kredyt?

Obok stał dwupiętrowy, prawie nowy dom, z dziesięcioma czy dwunastoma mieszkaniami.

Wszystkie skrzynki, zamykane na kluczyki, stały przed domem, osłonięte lekkim zadaszaniem. Wreszcie trochę cienia. Zacząłem napełniać skrzynki listami.

- HEJ! WUJ SAM! NO I JAK TAM, WSZYSTKO NA CHODZIE!

Zrobiło się nagle za głośno. Nie byłem przygotowany na taki wrzask i harmider. Poczuję się tak, jak by ktoś chciał mnie obrugać i za coś objechać. Za co? Nawet przestraszyłem się. Byłem tak samo nerwowy jak mój kot.

Miałem już tego wszystkiego po dziurki w nosie. Obejrzałem się za siebie. Nikogo. Tylko jedno okno, z siatką przeciwko muchom i komarom, drżało jeszcze trochę. Aha. Ktoś jednak tam był. Niewidoczny, ale za to w przyjemnie chłodnym, klimatyzowanym mieszkaniu.

- Przestań pan nazywać mnie wujem, to mi się źle rymuje - krzyknąłem - i nie rób z chama Sama!

- Aha - padła odpowiedź - ty jesteś na pewno jednym z tych opierdalaczy na państwowej posadzie w przedemerytalnym wieku! Gdyby ktoś dał mi na piwo, za te pieniądze chętnie bym ci nogi z dupy powyrywał!

I znowu musiałem rzucić torbę na trawnik, listy i przesyłki rozsypały się na sąsiednich rabatach. Trzeba będzie to wszystko jeszcze raz sortować i układać. Czapka też poleciała, tym razem w stronę szklanych drzwi wejściowych.

- NO TO WYŁĄŻ, TY SKURWYSYNU! NO, CHODŹ! DAWAJ TU TEGO RYJA, BĘDZIE KONFITURA, TY PIERDOLONY TCHÓRZU!

Byłem zdecydowany ukatrupić tego kogoś.

Nikt się jednak nie pojawił. Żaden dźwięk nie dochodził do moich uszu. Kompletna cisza. Nic. Stałem wpatrzony w to okno z siatką na muchy i komary. Nawet i ono przestało się już poruszać. Przez chwilę myślałem, żeby tam iść i spuścić manto. Na szczęście byłem zbyt leniwy.

Kłęcząc na trawniku, sortowałem i zbierałem listy i przesyłki. Bez stołu do sortowania nie było to najłatwiejsze zajęcie. Straciłem dwadzieścia minut.

Wrzuciłem pozostałe listy do skrzynek, czasopisma ułożyłem przed drzwiami wejściowymi, rzuciłem okiem w stronę tego okna i poszedłem sobie. W tej zupełnej ciszy. Nikt więcej się już nie odzywał. Pozostała część trasy przebiegała bez zakłóceń. Ale to też nieprawda. Myślałem, że ten nieznajomy zza okna dzwoni teraz do Jonstone'a i skarży się, że urzędnik służb publicznych groził mu i go lżył, że naruszyłem prawo do prywatności. Musiałem więc liczyć się, chociażby tylko teoretycznie, z najgorszym, po powrocie do urzędu.

Stone jeszcze siedział. Przy swoim biurku, na tym swoim obrotowym krześle i coś czytał.

A ja czekałem.

A on czytał.

- No - powiedziałem wreszcie - dlaczego pan jeszcze nie zaczyna?

- A co ja mam zacząć - odpowiedział Stone.

- CO BYŁO Z TYM TELEFONEM? NIECH PAN TO WRESZCIE WYRZYGA, NIECH JUŻ PAN MI PRZYPIERDOLI, ZAMIAST TAK TU TYLKO SIEDZIEĆ Z NOSEM W PULPICIE!

- O jaki telefon chodzi?

- Czy nikt nie dzwonił i nie skarżył się na mnie?

- Dzwonił? O czym pan mówi? Co pan znowu narozrabiał?

Gdzie?

- Już nic.

Przeszedłem obok niego jak niewinna owieczka i zdałem to, co mi pozostało.

Ten cwaniak zza okna nie zadzwonił. Chyba trochę byłem rozczarowany. Prawdopodobnie pomyślał, że wrócę tam, jak się dowiem, że stać go było na ten heroiczny czyn donosiela przez telefon.

Wychodząc z urzędu musiałem przejść obok pokoju Stone'a.

- No, więc co tam znowu pan narozrabiał, Chinaski?

- Nic.

Moje zachowanie tak go skonfundowało, że nawet zapomniał mnie ochrzanić za półgodzinne spóźnienie i tym samym odebrałem mu przyjemność wymierzenia mi kolejnego ostrzeżenia.

## 16

Któregoś ranka siedziałem półdrzemiąc przy stole rozdzielczym obok G.G. Wszyscy go tak przezywali - G.G. Jego nazwisko i imię brzmiało coś jak George Green. Ale już od lat wszyscy znali go jako G.G. - a on sam nawet zaczął już i tak wyglądać. G.G. był G.G. i koniec.

Od czterdziestu lat był już listonoszem, teraz kończył chyba sześćdziesiątkę. Jego głos nie należał do przeciętnych i normalnych. On nie mówił. On jęcząc skrzeczał. A jak już coś jęcząc wyskrzeczał, to dużo nie powiedział. Ani się go lubiło, ani się go nie lubiło. Był tu i to wszystko.

Twarz pomarszczona, pełna krzywoliniowych bruzd i niezbyt atrakcyjnych wzniesień. Brakowało jej połysku i jasności. Był jednym z tych, co to wykonywali ciężką pracę... i nic więcej. G.G. - oczy głęboko osadzone i wymarłe, przypominały matowe grudki gliny. Najlepiej było nie myśleć o nim, ani mu się przypatrywać.

Po wielu latach ciężkiej pracy w służbie publicznej cieszył się G.G. przywilejem obsługiwania najlżejszej i najprzyjemniejszej trasy w naszym dystrykcie. Dzielnicy bogaczy, leżącej na samym skraju podlegającego nam pocztowego obwodu. Mimo że domy były tam stare, to jednak duże, pojemne, najczęściej dwupiętrowe. Duże ogrody i trawniki były pielęgnowane przez japońskich

ogrodników. Kilka gwiazd filmowych mieszkało tam. Słynny karykaturzysta. Autor książkowych bestsellerów, a także dwóch byłych gubernatorów stanowych.

Nikt tutaj na nikogo nie krzyczał, nikt nikogo nie zaczepiał. Może tylko na samym obrzeżu dzielnicy, tam, gdzie stały trochę tańsze domy, widziało się wrzeszczące dzieciaki, niekiedy ostro zachodzące za skórę. G.G. był kawalerem. Ale nie to było powodem jego sławy. Sławna stała się jego fajka z wibrującym gwizdkiem.

Zaczynając swoją pracę, stawał wyprostowany na skraju chodnika, wyjmował fajkę, miała duże rozmiary i dmuchał w nią tak silnie, że ślina rozpryskiwała się na wszystkie strony.

Dzieci tylko na to czekały. Biegły jak oszalałe, a on rozdawał im cukierki. Jedząc te słodkości, towarzyszyły mu w czasie jego pracy, aż miały ich dość i przesłodzone wracały do swoich mam.

Dobry, stary G.G.

Za pierwszym razem, kiedy dostałem jego trasę, nic nie wiedziałem o tych cukierkach. A zresztą Stone niechętnie dawał mi taką trasę. Tylko wtedy, kiedy już nie miał żadnego innego wyjścia. Chodziłem więc od domu do domu, nie uprzedzając jednak mojej bytności dźwiękami jakiejś fajki z gwizdkiem. Nie miałem takiej.

Z jednego z tych bogatych domów wybiegł do mnie chłopak i powiedział:

Ty, a gdzie jest dla mnie cukierek?

- Jaki cukierek? - ja na to.

- O tej porze należy mi się cukierek od umundurowanych!

- Mój mały - postawiłem natychmiast diagnozę - chyba zwariowałeś! Dlaczego twoja matka nie przymknęła cię w zakładzie dla psychicznych? Chłopak przypatrzył się mi bardzo szczególnie i bardzo osobliwie.

Pewnego dnia G.G. naraził się na grube nieprzyjemności. Jak zwykle, dobry i poczciwy, rozdawał te już swoje słynne cukierki. Dając je jednej dziewczynce, powiedział: „Jesteś bardzo śliczna, mała panienko. Bardzo bym chciał mieć taką”. Matka dziecka, siedząca w oknie usłyszała to i krzyżąc w niebogłose, wpadła do urzędu, oskarżając G.G. o próbę uwiedzenia nieletniej. Nie znała G.G., widywała go tylko z daleka, ale jak usłyszała to, co on powiedział do jej dziecka i do tego wszystkiego zobaczyła, że daje jej cukierka, matczyne ślepe szaleństwo wzięło górę nad rozsądkiem.

Stary i poczciwy G.G. oskarżony o uwiedzenie nieletniej?

Skończyłem właśnie trasę i wczłapałem się do biura, gdzie Stone, chyba po raz kolejny któryś, starał się przekonać matkę, żeby dała sobie spokój z adwokatami, że G.G. jest człowiekiem zasługującym na szacunek i że to wszystko nie może być prawdą. G.G. siedział

obok niego, prawie sparaliżowany, z martwym spojrzeniem. Jak Stone skończył te przepychanki na argumenty, powiedziałem:

- Nie musi pan jej lizać tyłka! One wszystkie mają zafajdane fantazje i chore wyobrażenia. Szczególnie na punkcie dzieci, ale nie tylko. Cha, cha, cha, cha. Połowa wszystkich amerykańskich matek, razem z ich wspaniałymi i niepowtarzalnymi małymi córeczkami i razem z ich własnymi, wspaniałymi i niepowtarzalnymi wielkimi piździuchami, powtarzam raz jeszcze, połowa takich matek ma niezdrowe i odjazdowe wyobrażenia o wszystkim! A szczególnie o swoich córeczkach! Niech pan nie pozwoli robić sobie z własnego mózgu cuchnącej gnojówki. Przecież jemu pewno już od lat nic nie staje ani tym bardziej nie furczy. I to chyba też pan już wie, co?

Stone kiwał tylko głową:

- Nie, nie, ostrożnie, opinia publiczna jest zbyt niebezpieczna. Gorsza niż dynamit!

I to było wszystko, co on miał w tej sprawie do powiedzenia. Wszystko! Wielokrotnie jeszcze słyszałem, jak Stone rozmawiał z którymś kolejnym idiotą, dzwoniącym do urzędu z nic nie wartymi skargami. Błagał ich, żebrał, prawie płakał, przechylając się do tyłu i do przodu, na lewą i prawą stronę, podskakując i podrygując wokół własnego biurka...

Siedziałem właśnie obok G.G., sortując trasę 501. Dużo tego nie było, a sama trasa nie zaliczała się do bardzo skomplikowanych i niebezpiecznych. Ale tak, jak to już bywa, niczego bez pracy nie ma!

Cha, cha, cha, cha!

Mimo, że G.G. mógł z zawiązanymi oczami wykonywać prace sortownicze, zauważyłem, że jego ręce stawały się coraz wolniejsze. Chyba za dużo nasortował się już w swoim życiu - pomyślałem - nawet jego ciało było coraz mniej ruchliwe, jakby przytępione i zubożniałe. Parę razy tego przedpołudnia byłem świadkiem, jak walczy ze słabością, jak traci siły. Kiwał się przy tym lekko, wpadał w stany braku kontaktu z otoczeniem, a nagle podrywał się do pracy, wstając przy tym na nogi.

Nie mogłem powiedzieć, że go lubiłem. Nic nie zrobił ze swoim życiem, a ono samo nie warte było nawet funta kłaków. Ale ilekroć stojąc tak obok mnie, tracąc świadomość, zamykał się nagle przed światem, tylekroć ogarniał mnie niepokój. Sam byłem tym zdziwiony. Przypominał wtedy starą i wymęczoną chabetę, nie mogącą zrobić już ani jednego kroku do przodu, albo stare auto, okradzione z silnika i wszystkich opon. Dużo było pracy tego dnia, i jak niekiedy, ukradkiem, spoglądałem w jego stronę, zimny strumień potu wolno spływał mi po karku. Po raz pierwszy od czterdziestu lat G.G. mógł się nie wyrobić z czasem i nie załapać na samochód rozwożący listonoszy. Dla takiego człowieka jak on, dumnego ze swojej pracy i

zawodu, mogło to być katastrofą. Dla mnie, mającego na szczęście inny stosunek do pracy, przegapienie odjazdu samochodu nie było niczym szczególnym. Ładowałem worki do mojego grata i sam wyruszałem na podbój adresatek. Cha, Cha, Cha, Cha!

I znowu zaczynał się niebezpiecznie kiwać! A jak straci równowagę! Mój Boże - pomyślałem - czy tylko ja sam jestem świadkiem tego rozpadu? Rozejrzałem się dookoła. Wszyscy byli zajęci własnymi sprawami. Kiedyś, i to wszyscy zgodnym chórem, wyrażali się o nim - G.G. stary, ale dobry kumpel. Ale teraz, ten stary i dobry kumpel, rozkładał się na części i nikt tego nie chciał dostrzec.

Liczba przesyłek leżących przede mną zmniejszyła się szybko, pomyślałem więc, że pomogę G. G. posortować przynajmniej czasopisma. Nagle ktoś dorzucił nową porcję.

Nie miałem więc już teraz żadnej szansy, żeby wesprzeć sąsiada. Ale nadziei nie traciłem. Zacisnąłem zęby, zwarłem pośladki i rzuciłem się w wir opętańczej roboty. Dwie minuty przed odjazdem samochodu G.G. i ja byliśmy gotowi - przesyłki posortowane, gazety też, worki i torby popakowane, przesyłki lotnicze oddzielone na specjalnym regale. Zamartwiałem się więc bez powodu. A tu nagle zjawił się Stone z dwoma tłustymi plikami jakichś mniej lub bardziej urzędowych okólników. Jeden był dla mnie, a drugi dla G.G.

- Trzeba posortować i włączyć do dzisiejszych tras - powiedział i poszedł.

Stone musiał wiedzieć, że w ten sposób nie wyrobimy się z pracą do odjazdu samochodu.

Zmęczony, ale nieźle wkurwiony rozciąłem sznurki związujące paczkę tych druków i usiłowałem szybko zrobić z tym porządek. G.G. siedział bez ruchu, wpatrzony w związaną jeszcze sznurkami swoją paczkę. Jego głowa pochyliła się ku przodowi, chwycił ją rękoma i cicho zapłakał. Tego się po nim nie spodziewałem.

Obejrzałem się w stronę pozostałych. Ci sprawiali wrażenie, że nic nie dostrzegają, zajęci swoimi torbami i workami, dowcipami i półsłówkami.

- Hej, wy tam - krzyknąłem parę razy - hej!

Żaden z nich nie zareagował.

Poszedłem więc do G. G., położyłem rękę na jego ramieniu i zapytałem:

- G.G., czy można ci w czymś pomóc?

Podskoczył nagle i wybiegł na schody prowadzące do przebieralni męskich urzędasów pocztowych. Popatrzyłem za nim. Nikt chyba, poza mną, niczego nie dostrzegł. Wróciłem do pracy, ale po chwili udałem się tam, gdzie prawdopodobnie był G.G.

Siedział przy stole, ręce splątane wokół twarzy. Nie płakał już cicho. Teraz głośno łkał i szlochał. Całe jego ciało, w regularnych odstępach czasu, drgało i dygotało. Mogło to jeszcze długo potrwać.



Zbiegłem więc na dół, prosto do Stone'a.

- Hej, hej, Stone - na miłość Boga - Stone!

- Co jest? - spytał.

- G.G. oklapł zupełnie! Nikt się o niego nie troszczy! Jest na piętrze i płacze! Trzeba mu pomóc!

- Kto przejmie dzisiaj jego trasę!

- Ja to pierdolę! Mówię panu raz jeszcze, że on jest CHORY! Jemu trzeba pomóc!

- Natychmiast trzeba znaleźć kogoś, kto obejmie jego trasę.

Stone wstał od biurka i zniknął wśród ludzi, chyba w tej bezdennej głupiej nadziei na to, że znajdzie jakiegoś frajera, który zgodzi się odbębnić dwie trasy w tym samym czasie.

Pobiegłem za nim.

- Niech pan mnie wysłucha, Stone - ktoś musi odwieźć tego człowieka do domu. Niech pan mi powie, gdzie on mieszka, a ja już go odwiozę! Ten czas może pan sobie odliczyć, buchalterze! A potem mogę się zająć jego trasą, dla dobra pańskiej kariery!

Stone zamachał ślepkami.

- A kto się zajmie pańskimi skrzynkami?

- Teraz, to ja to pierdolę i nic więcej!

- NIECH PAN SIĘ ZAJMIE SWOIMI SKRZYNKAMI!

Rzucił się do telefonu. Usłyszałem tylko jeszcze jego słodkie i przesłodzone:

- Eddie, potrzebuję jednego z twoich ludzi...

Dzieci nie dostały tego dnia cukierków.

Wróciłem do stołu. Wszyscy już dawno pojechali. Dokończyłem ten plik druków. Tam dalej, leżał taki sam plik przydzielony G.G. Oczywiście, że już miałem olbrzymie spóźnienie. Samochód pocztowy nie zawiózł mnie do dzielnicy, gdzie miałem roznosić korespondencję. Jak wróciłem wieczorem, otrzymałem, zgodnie zresztą z moimi przewidywaniami, kolejne ostrzeżenie wyrażone na piśmie.

G.G. nie widziałem już nigdy więcej. Nikt nie mógł powiedzieć, co się z nim stało. Nikt nigdy więcej nie wymienił ani jego imienia, ani nazwiska. „Dobry kumpel, mimo że tak stary!”. „Pełen oddania listonosz!”. Nie potrafił pokonać jednej przeszkody, którą okazało się być pismo okólne Stowarzyszenia Hodowców Warzyw do swoich klientów, proponując gratisowe opakowania mydła za zakup towarów o wartości nie mniejszej niż trzy dolary.

Po trzech latach pracy, dochrapałem się wreszcie statutu „całetatowca”. To znaczy płatny urlop (pomocnicy listonosza nie mieli prawa do płatnego urlopu), czterdziestogodzinny tydzień

pracy z dwoma dniami wolnymi. A oprócz tego Stone był zmuszony dać mi także prawo do wyboru pięciu dodatkowych tras, które mogłem obsługiwać, gdyby kolegom przydzielonym na te trasy, coś się stało. Chodziło tu przede wszystkim o pewne urozmaicenie tej monotonnej acz „szlachetnej” roboty. Z czasem mogłem już perfekcyjnie opiniować te wszystkie trasy, poznać skrót i ich pułapki. Zawsze to ułatwia pracę, czyni ją znośniejszą i pozwala skuteczniej manipulować czasem. Mam tu na myśli krótkie, ale zawsze bardzo miłe przerwy na kawę czy wreszcie na obiad.

Mogłem więc powiedzieć, że szło na lepsze. Ale nie eksplodowałem szczęściem. Brakowało mi połysku, niepokoju, podniecenia, tamtych dni, kiedy pracowałem jako zatrudniony na godziny pomocnik listonosza - jak się nie wiedziało, co jeszcze może mi się przytrafić, z której strony ci przywała.

Koledzy podchodzili do mnie z minami dalekimi od zadowolenia i dukali:

„Gratulujemy”, albo „mhmmm!”

Gratulować? Czego? Nic nadzwyczajnego przecież się nie stało. Stałem się tylko człowiekiem ich klubu, takiej małej mafii. Teraz byłem jednym z nich. Za parę lat miałem prawo do wyboru własnej trasy. Własnej i tylko mojej. Mógłbym nawet dostawać prezenty od ludzi. A gdybym zachorował, pytaliby pewnie, ocepiałego i znerwicowanego mojego zastępcę. „A gdzie jest ten, który zawsze tu przychodził” - albo „spóźnił się pan. Ten, co tu jest zawsze, nigdy się nie spóźniał”. Tak więc dochrapałem się.

W samym środku tygodnia kierownictwo urzędu wydało „bardzo potrzebne” zarządzenie, zabraniające kładzenia służbowych czapek na stołach sortowniczych. Wszyscy to robili. Nie dlatego, że nikomu to nie przeszkadzało, ale oszczędzało czas. Nie trzeba było biegać na piętro do szatni, żeby je tam deponować. A teraz, po trzech latach kładzenia czapki, co było przecież odruchem naturalnym, najbliżej miejsca pracy, zabroniono mi tego!

Miałem głowę pełną innych rzeczy niż przestrzeganie tego, powiedzmy sobie najdelikatniej, pokręconego przepisu.

Następnego dnia wpadł Stone do mnie. Oczywiście, z kolejnym ostrzeżeniem. Zarzucano mi w nim, że świadomie łamię przepisy, zabraniające kładzenia czapek służbowych w miejscu lub w pobliżu miejsca pracy. Chodziło o stół sortowniczy.

Wsadziłem je do kieszeni i nie komentując, udałem się na trasę. Stone kręcił się w swoim krześle bacznie mnie obserwując. Wszyscy koledzy skwapliwie wykonywali polecenia szefa. Czapki leżały równo na szafkach w przebieralni. Wyjątkiem był niejaki Marty. I Stone nie omieszkał bluznąć mu prosto w twarz:

- Marty, pan zapoznał się z moimi poleceniami. Proszę się do nich stosować!

- Przepraszam pana bardzo, panie Jonstone. To tylko siła przyzwyczajenia, pan to przecież rozumie, bardzo mi jest przykro - złamał się Marty.

Chwycił swoją czapkę, leżącą na krześle i pobiegł na górę do szatni.

Następnego dnia zapomniałem także. Natomiast Stone nie zapomniał. Wręczono mi kolejne ostrzeżenie w sprawie świadomego łamania przepisów odnośnie nowego zarządzenia regulującego miejsce czapki służbowej w trakcie pobytu listonosza na terenie urzędu pocztowego. Wsadziłem je więc znowu do kieszeni i bez słowa komentarza opuściłem urząd.

Dwa dni później dostrzegłem, że Stone obserwuje mnie coraz pilniej. Czekał tylko, żeby zobaczyć, co zrobię z czapką. Pozwoliłem trochę mu jeszcze poczekać. A potem zupełnie machinalnie ściągnąłem czapkę ze łba i położyłem obok.

Oczywiście, natychmiast przybiegł z kolejnym ostrzeżeniem. Nawet nie rzuciłem na nie okiem. W jego obecności wrzuciłem papier do kosza - czapki nie ruszyłem, leżała jak leżała, zrobiłem swoje... i usłyszałem zawzięte walenie w maszynę do pisania. Urząd wypełnił się jękiem maltretowanego przyrzędu. Jak to się stało, że on, taki Stone, do takiej perfekcji opanował kunszt obchodzenia się z takim urządzeniem?

Stone pojawił się znowu. Z kolejnym ostrzeżeniem.

Więc powiedziałem mu:

- Nie muszę tego czytać. Wiem, co pan znowu wypichcił - to mianowicie, że lekceważę pańskie ostrzeżenia. Te dzisiejsze także. Prawda?

Papier wylądował w koszu.

Stone wyleciał jak z katapulty. I tak samo pojawił się znowu. Otrzymałem trzecie ostrzeżenie.

- Człowieku - powiedziałem mu - ja wiem, co tym tam wypisujesz. Pierwsze ostrzeżenie otrzymałem dlatego, że łamię twoje przepisy w sprawie czapek służbowych. Drugie ostrzeżenie otrzymałem dlatego, że pierwsze wylądowało w koszu, a trzecie, że pierwsze i drugie miało smutny koniec - w obecności kierownika urzędu zostały świadomie umieszczone w koszu na odpadki! Zgadza się?

Popatrzyłem chwilę na niego i wrzuciłem trzecie ostrzeżenie też do kosza.

- Szybszy jestem w rzucaniu do kosza na odpadki niż pan w waleniu w maszynę do pisania. Jeśli pan sobie tego życzy, jestem gotów stanąć do zawodów. Tylko, że to wszystko wygląda dość błazeńsko! A teraz pański ruch.

Stone wrócił do swojego biura i zasiadł godnie w krześle. Przestał jednak mordować maszynę do pisania. Głupio gapił się tylko w moją stronę i na moją czapkę.

Następnego dnia nie poszedłem do pracy. Pospałem sobie do południa. Nie zadzwoniłem do

urzędu. Oni do mnie też nie! Wolno pospacerowałem sobie w stronę gmachu Zarządu Poczty. Tam wyjaśniłem im swoją sprawę.

Posadzono mnie przed biurkiem pani, w mocno podeszłym wieku, niezwykle szczupłej, albo lepiej, wysuszonej na wiór. Miała siwe włosy i bardzo cienką, bardzo smukłą szyję, która nagle, w samym jej środku, sprawiała wrażenie niezwykle podatnej na złamanie. Głowa więc lekko wychylała się ku przodowi, przez co dama patrzyła na mnie nad oprawkami okularów, siedzących niedbale na jej nosie.

- Słucham.

- Chciałbym zrezygnować z pracy na poczcie.

- Zrezygnować?

- Tak. Rzucić!

- Pan był listonoszem etatowym?

- Tak - odpowiedziałem.

- Tsk, tsk, tsk, tsk - wydobywało się z jej trochę za suchych warg.

- Podała mi jakieś formularze, które musiałem wypełnić.

- Jak długo pracował pan na poczcie?

- Trzy i pół roku.

- Tsk, tsk, tsk, tsk - wydobywało się dalej.

No więc i to miałem już za sobą. Szybko pojechałem do Betty i razem rozwaliliśmy parę butelek.

Nie przypuszczaliśmy wtedy, że za parę lat wrócę do pracy na poczcie i że pozostanę tam, siedząc na krześle, dłużej niż dwanaście lat.

## ROZDZIAŁ II

### 1

W międzyczasie wydarzyło się wiele i różnie. Nawet szczęśliwie długo nowa passa na torach wyścigów konnych. Dopiero tam czułem, jak obrasta mnie ufność w siebie i wiara we własne siły. Za każdym razem, dokładnie i precyzyjnie, wyznaczałem sobie, sam sobie, ilość gotówki, jaką miałem zamiar zainwestować. Przeciętnie wychodziło między 15 a 40 dolarów dziennie. Nie wolno nigdy chcieć za dużo! Jeśli początek gier okazywał się dla mnie katastrofalny, stawiałem troszkę więcej, i to tak, żeby w przypadku wygrania obstawionych przeze mnie koni inkasować zysk, także, za każdym kolejnym razem, dokładnie kalkulowany i przewidywany. Chodziłem tam codziennie, wygrywałem dość regularnie, a kiedy wracałem do domu, głośnym wrzaskiem komunikowałem o tym Betty.

Któregoś dnia zachciało się jej iść do pracy. Chciała zostać „siłą piszącą - maszynistką”. A kiedy taka jak ona zaczyna po raz pierwszy pracować, wtedy wszystko nagle zaczyna się zmieniać. Może nie wszystko!

Dalej opróżnialiśmy te tak liczne butelki wieczorami, a nad ranem, ona jak zwykle obrażona i jak zwykle na bezmiernym kacu, demonstracyjnie szła do siebie, żeby później poczłapać do pracy. Dopiero teraz dowiadywała się, czym jest regularna praca i jak to smakuje!

Wstawałem około jedenastej, w ciszy i spokoju delektowałem się pierwszą filiżanką kawy i paroma jajkami, baraszkowałem z psem, nawiązywałem bliższe kontakty z młodą żoną ślusarza, mieszkającą w tylnej części domu i rozbudowywałem przyjaźń ze striptizerką mieszkającą w przedniej części domu. O pierwszej byłem już na wyścigach, wracałem z wygraną do domu, zabierałem psa i razem szliśmy do przystanku autobusowego, żeby powitać Betty. Nie narzekałem. Życie było całkiem przyjemne.

Pewnego wieczoru zaraz po wypiciu pierwszego kieliszka, moja ukochana, moja jedyna, pracująca przyjaciółka wyjęczała:

- Hank, ja tego nie zdzierzę!
- Czego nie zdzierzysz, dziewczuszko?
- Tego wszystkiego.
- Czego wszystkiego, którego wszystkiego, jakiego wszystkiego?
- Że ja zasuwam i haruję, a ty wygniatasz tyłek pod kołdrą. Wszyscy już myślą że jesteś moim utrzymankiem!
- No, gówniana sprawa! Ale przypominam sobie, że wtedy, kiedy JA pracowałem, ty też wdziękowałaś się do piernat! I jakoś wtedy nie narzekałaś!

- Ach, ale to zupełnie co innego! Ty jesteś mężczyzną, a ja ciągle jeszcze kobietą!

- No tak, właśnie odkryłaś Amerykę i otarłaś się o Kolumba, nie! Ale czy to nie wy drzecie się o równouprawnienie?!

- Ty myślisz, że ja nie wiem, co tu się wyrabia... co ty wyrabiasz z tym wycieruchem z tyłu domu... co tu nieustannie spaceruje tobie pod nosem, z cyckami wywalonymi na wierzchu!

- Z cyckami na wierzchu?

- Tak jest!... JEJ CYCE JAK DONICE NA STRAGANIE PO PRZECENIE!... jej duże, białe wymiona, podobne do tych, co chlaszczą między nogami krów!

- Hm... Czy wiesz, że masz rację? One są rzeczywiście całkiem wspaniale olbrzymie?

- Aha! Przyznajesz się więc?

- Co jest? W co ty grasz do diabła?!

- Mam tu jeszcze paru przyjaciół... i to oni właśnie dokładnie widzą, co tu się wyrabia!

- To nie są przyjaciele! To są tylko zacietrzewieni i objebani kapusie! Oszłośmy!!!

- A ta dziwa, co to udaje, że jest tancerką? - To ona jest dziwą?

- No, przywała się do wszystkiego, co macha ogonem...

- Jakaś jesteś dziś za bardzo odjazdowa, używasz nawet przenośni?

- Jednego, czego nie chcę, to tego, żeby ludzie sądzili, że ja cię utrzymuję. Wszyscy sąsiedzi...

- Sram na nich! Od kiedy tak ważne jest to, co oni o nas myślą?

A tak naprawdę, to JA jestem tym, który płaci za komorne, a także tym samym JA, który buli za żarcie! Ja za to płacę, z moich pieniędzy wygranych na torze wyścigowym. Ty masz swoje pieniądze! Nigdy jeszcze nie miałaś ich aż tyle.

- Nie, Hank! Koniec! Ja tego nie zniosę!

Wstałem i podszedłem do niej.

- No, chodź już, dość dziewczusko... troszkę dzisiaj pojebało ci się w główce, co?

Próbowałem utulić ją w ramionach, ale odepchnęła mnie. Dość brutalnie.

- Dobra, dobra. Już cudnie, do kurwy nędzy - powiedziała sucho. Usiadłem. Wypiłem szklaneczkę. Napeliłem szybko ją ponownie.

- Koniec - powiedziała nie będę z tobą spała ani jednej nocy więcej!

- Dobra, już dobra. Zabieraj tę swoją cipę. Tak nadzwyczajna to ona już i tak nie jest!

- Chcesz tu zostać, czy to ja mam się wyprowadzić?

- Wyprowadzam się!

- A co zrobimy z psem?

- Zostanie u ciebie - odpowiedziałem.

- Będzie tęsknił!

- Cieszę się, że przynajmniej jedno z was będzie o mnie myślało.

Wsiadłem. Wsiadłem do samochodu. Wynająłem pierwsze lepsze mieszkanie. Tego samego wieczoru zabrałem wszystkie swoje klamoty. I tak oto, za jednym zamachem straciłem trzy kobiety i jednego psa.

## 2

Zanim się skapowałem, o co właściwie chodzi, ta młoda dziewczyna z Teksasu, siedziała mi już okrakiem na brzuchu. Nie chcę opowiadać z detalami, jak doszło do tego spotkania.

Teraz była u mnie. Miała dwadzieścia trzy lata, a ja trzydzieści sześć. Jej długie włosy ocierały się o mój nos, a jędrne i młode ciało ładnie pachniało.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że miała furę pieniędzy. Ona nie piła. Ja zawsze.

Na początku śmieliśmy się i chodziliśmy na wyścigi konne. Była niezwykle atrakcyjna i zawsze, kiedy wracałem do rzędów z ławkami, jakiś fagas lepił się do niej, wytrzeszczając gały. I tak było parę razy dziennie. Jakoś dziwnie udawało im się mnie przechytryć. Coraz częściej wpadałem w furię!

A Joyce siedziała na ławce, i chyba jej się to podobało. Miałem dwa warianty wyboru - poszukać nowego miejsca i tam ją przesadzić albo burknąć na takiego: „hej, ty koleś, ta pani jest ze mną. Więc zrób coś ze sobą!”

A jednak nie potrafiłem koncentrować się jednocześnie i na tych hienach, i na wyścigach. Troszkę tego było naraz za dużo. Profesjonalista nigdy nie pojawia się na wyścigach z kobietą. To też już wiedziałem. Ale zawsze myślałem, że mnie to nie dotyczy, ja jestem kimś zupełnie wyjątkowym i szczególnym. A teraz okazywało się, że to nie była prawda. Że nie jestem wcale szczególny. Traciłem przecież pieniądze jak i inni. Pewnego dnia Joyce zażądała, żeby się z nią ożenić.

O, kurwa! Dlaczego nie - pomyślałem - wszystko, co miałem stracić, to już dawno straciłem. Pojechaliśmy do Las Vegas, i tam, za tanie pieniądze, dokonaliśmy wszystkich niezbędnych ceremonii i szybko wróciliśmy do domu.

Sprzedalem samochód za dziesięć dolarów i zanim zorientowałem się, co jest w tym nowym małżeństwie grane, siedzieliśmy już w autobusie mknącym do Teksasu - a jak wysiedliśmy z niego, to okazało się, że mam tylko 75 centów w tylnej kieszeni. To była bardzo mała miejscina, nie więcej niż dwa tysiące mieszkańców. W jakiejś gazecie przeczytałam, że eksperci od spraw wojskowych zaliczali ją do tych obiektów na mapie Stanów Zjednoczonych, co to nie musiały się obawiać nuklearnego ataku przeciwnika z powietrza.

I to natychmiast zrozumiałem, jak rozejrzałem się dokoła.

Ruszyliśmy w jakąś stronę, i okazało się, że to w kierunku poczty.

Kurwa, zajebane pocztowe służby publiczne!

Joyce miała tutaj taki mały domek. Leżeliśmy więc w nim, leniuchowaliśmy, jedliśmy i spaliśmy ze sobą. Karmiła mnie zupełnie nieźle, pozwoliła, żebym przybrał na wadze i cieszyła się, że nieustannie traciłem siły... bo ona była ostra w łóżku. Joyce, moja żona, moja nimfomanka.

Często wychodziłem na małe spacerunki po tej mieścinie, sam, bo uciekałem przed nią, ze śladami zębów na mojej klatce piersiowej, na szyi, na ramionach - no i tam też! Te ślady „tam” były bardzo bolesne, trochę się więc niepokoiłem. Żarła mnie żywego po kawałku!

Więc tak coraz widoczniej już dla wszystkich kulałem, kuśtykając po tej dziurze, a mieszkańcy gapili się na mnie. Wiedzieli o niej wszystko! O jej niezmiernych chuciach, ojej ojcu i dziadku, którzy mieli więcej pieniędzy, ziemi, jezior i terenów łowieckich niż oni wszyscy razem. Współczuli, ale i nienawidzili jednocześnie.

Przysłano jednego ranka jakiegoś karła do mnie, który wyciągnął mnie z łóżka, zaciągnął do samochodu, żeby pokazać mi, co należało, a co jeszcze nie należało do ojca i dziadka Joyce.

I tak siedzieliśmy całymi popołudniami. Chyba chciał mi napędzić stracha. A ja nudziłem się potwornie. Siedziałem z tyłu, a ten karzeł dawał mi nieustannie do zrozumienia, że uważa mnie za niezwykle cwane łobuza, który właśnie ożenił się z milionami. Nie wiedział, że wszystko było dziełem przypadku, i że ja posiadałem tylko 75 centów, i że byłem tylko ekslistonoszem.

Ten karzeł, w gruncie rzeczy biedny człowiek, musiał mieć jakieś nerwowe kłopoty ze sobą, bo nieobliczalnie nagle przyspieszał, i wtedy zaczynał się trząść na całym ciele, niebezpiecznie tracąc kontrolę nad kierownicą.

Myliły mu się wtedy kierunki jazdy, a ja dziękowałem Bogu, że okoliczne drogi były wyjątkowo rzadko uczęszczane.

Tak. To było jasne. Oni chcieli mnie zabić!

Ten karzeł był ożeniony z niebywale piękną blondynką, a tej pięknej osobie, jak była małą, utknęła w cipie butelka Coca - Coli. Musieli więc iść do lekarza, i jak to już jest w takich zadupiach, wszyscy nagle wszystko wiedzieli. Biedną dziewczynę przestano nagle dostrzegać, a karzeł się nad nią ulitował. Jak to karzeł! I w ten sposób wpadła mu w ręce wyjątkowej urody osoba, której by nigdy nie dostał.

Przypaliłem sobie cygaro, poranny prezent od Joyce i huknąłem:

- To mi już wystarczy. Jedziemy z powrotem. I wolno! Nie miałem ochoty stracić znowu wszystkiego przez jakiś tam głupi przypadek. I żeby go jeszcze więcej nie rozczarować, dalej grałem cwaniaka w pogoni za milionami.

- Oczywiście, panie Chinaski. Natychmiast zawracamy.



Podziwiał mnie. Ciągle jeszcze uważał mnie za pędziwiatra i lekkoducha. Kiedy wracaliśmy z takich wypadów, Joyce zawsze pytała: - No, i już wszystko zobaczyłeś?

Coraz więcej i wystarczająco dużo, jeśli nie za dużo!

Powiedziałem to tak, bo chciałem jej dać do zrozumienia, że rodzina próbuje mnie zabić. Nie wiedziałem, czy i ona maczała w tym palce!

A potem zaczęła mnie rozbierać i ciągnąć do łóżka.

- Chwileczkę, baby, właśnie dwie rundy przedpołudniowe mamy za sobą, a nie ma nawet jeszcze drugiej po południu!

Zachichotała tylko i robiła swoje.

### 3

Jej ojciec nienawidził mnie całym sercem i duszą. Myślał, że lecę na jego pieniądze. A ja nawet nie chciałem ich oglądać. Nawet powoli miałem już i dosyć tej ich tak niezwykle cennej córki.

Ojca widziałem tylko raz, kiedy to nagle zjawił się o dziesiątej rano w naszej sypialni. Byliśmy oczywiście w łóżku, w trakcie przerwy. Na szczęście przed sekundą oddzwoniliśmy koniec kolejnej rundy.

Popatrzyłem na niego zasłaniając sobie połowę twarzy kołdrą. W milczeniu. No, ale jak długo mogło to tak trwać. Coś nagle złapało mnie w okolicy dołka, i zacząłem robić jakieś miny i grymasy, zapraszając go do tego jeszcze do nas, do łóżka. Z rodziną!

Szczerząc swoje zęby i klnąc wybiegł z pokoju.

No, to teraz już na pewno chwyci się każdej sposobności, żebym mu więcej nie wlaźł w drogę.

Dziadek był zupełnie inny. Ciągle pił whisky i słuchał płyt z kowbojskimi piosenkami. Starość zredukowała jego emocje prawie do zera. Nie był mi życzliwy, ale też nie pomiałał mną. Taka sama była i jego żona - może z jednym wyjątkiem, często kłóciła się z Joyce, i to tak zapiekłe, że raz czy nawet dwa razy musiałem stanąć po stronie własnej żony. W ten sposób chyba zaczęła darzyć mnie sympatią, no, prawie sympatią. Dziadkowi sympatia kojarzyła się już tylko z kolejnym wlewem whisky z kolejnej szklanki. Pozostawał zimny i oschły. Wydaje mi się, że należał do grona sprzysiężonych, chcących wyprawić mnie na inny świat.

Zjedliśmy obiad w tym „gościnnym” domu, w którym zastępy służby zginały kark przed nami, wpatrując się intensywnie w ten wyjątkowy zestaw ludzi przemierzających się z pokoju do pokoju.

Mnie zabijali wzrokiem. A potem wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy przed siebie.

- Widziałeś już kiedyś bizona, Hank? - spytał nagle dziadek.

- Nie, Wally, jeszcze nigdy. Nazywałem go Wally. Wally to było okoliczne przydomkowe na tych wszystkich, co to nieustannie musieli być na fleku! Chciałem, żeby zabrzmiało coś swojskiego między nami, coś bliskiego, prawie rodzinnego.

- Mamy tutaj parę.

- Myślałem, że wszystkie zostały już dawno wystrzelane!

- Nie, nie - jakaś setka jeszcze się znajdzie!

- Coś ci nie wierzę, Wally!

- Pokaż mu je dziadku - wzięła się Joyce.

Głupia i durna gęś. Nazwała go dziadkiem - a on nim wcale nie był. Tak mówili okoliczni, niechętni rodzinie mojej żony, mieszkańcy.

- No to jazda!

Jechaliśmy parę minut aż dotarliśmy do pustego, ogrodzonego pastwiska. Teren był pagórkowaty i tak olbrzymi, że wydawało się, że płot nigdzie się nie kończy. Kilometry płotów we wszystkich kierunkach. I nic poza tym! Tylko niska, zielona trawa.

- Nigdzie nie widzę tych bizonów - krzyknąłem.

- Kierunek wiatru jest w porządku - zawyrokował Wally.

- Przeskocz przez ten płot i przejdź się parę metrów. A już niedługo je zobaczysz!

Niczego nie mogłem dostrzec. Chyba uważali mnie za idiotę z miasta, któremu można, należy, wcisnąć kawał ostrego kitu. Przeskoczyłem ten płot i zacząłem maszerować.

- No dobrze, wszystko się zgadza, tylko gdzie są te bizony - wydarłem się.

- Zobaczysz je na pewno, idź tylko przed siebie!

Ale mają ubaw po pachy, myślałem, pierdolone chłopskie poczucie humoru. Odczekają aż oddalę się od nich te parę setek metrów, i pokładając się ze śmiechu odjadą, zostawiając mnie na tym pustkowiu. Proszę bardzo! Mogę wrócić na piechotę! Sam! Mnie to nic nie robi. A jeśli to im coś robi, to ja proszę bardzo!

Coraz szybciej przemierzałem te metry kwadratowe pustkowia, czekając na odgłos odjeżdżającego samochodu. Nic jednak nie dochodziło do moich uszu. Cisza kompletna. Złożyłem ręce w trąbkę, i nawet nie odwracając się w ich stronę, ryknąłem:

**I CO JEST Z TYMI BIOZONAMI!!!**

Odpowiedź nadeszła, ale z innego kierunku. Nagle usłyszałem pęd racic, walących w ziemię niczym bęben. Trzy sztuki, wielkie, potężne niczym na filmie, wściekle pędziły w moją stronę, na mnie, piekielnie szybko. Chyba trochę za szybko! Jeden z nich już wysforował się na czoło. Nie było żadnej wątpliwości, kogo miały ochotę rozdeptać.

- Aż ty jebana przyrodo - powiedziałem w ich stronę.

I zacząłem uciekać. Płot zniknął za horyzontem. Nie mogłem się już za nim schronić, a najgorsze było to, że nawet nie mogłem już sobie pozwolić na to, żeby obejrzeć się w ich stronę. To mogło kosztować sekundy, nie do odrobienia w tym życiu.

Wydawało mi się, że nie biegnę, lecz lecę, ledwo dotykając trawy, frunę z wytrzeszczonymi oczyma, jakby ten właśnie wytrzeszcz miał przyspieszyć pracę nóg! Jezu - ale ja leciałem! A te potwory były coraz bliżej. Czułem jak wokół mnie trzęsie się ziemia, i za chwilę wbiją mnie w nią parzystokopytne racice - słyszałem za plecami ich oddech, czułem ślinę skapującą im z wywalonego jęzora. Ostatnim wysiłkiem odbiłem się od ziemi i przeskoczyłem płot. Przeskoczyłem?! Przefrunąłem nad nim?! Wylądowałem w jakimś rowie, na plecach, i zanim zamknąłem oczy w oczekiwaniu cudu, ujrzałem ich ogromne łby ubrane w wełniaste turbany, zawisłe nad parkanem, z oczyma wlepionymi w moje oczy.

Samochód skręcał się ze śmiechu - tak, jakby właśnie to było czymś najzabawniejszym, co udało im się kiedykolwiek zobaczyć. A Joyce dusiła się prawie, charkała, przestępowała z nogi na nogę, rechocząc najdonośniej. Bizony przez chwilę pospacerowały sobie jeszcze w okolicy, a potem spokojnie pogalopowały tam, skąd przygalopowały.

Z trudem wykaraskałem się z rowu i wsiadłem do wesołego samochodu.

No, i w ten oto sposób mogłem przyjrzeć się lej waszej chlubie - skonstatowałem spokojnie. - A teraz coś bym się nachlał!

Oczywiście, że ryje nie zamykały się im od śmiechu przez całą powrotną drogę. Ataki śmiechu nadchodziły falami i falami odchodziły. Raz to Wally nawet musiał zatrzymać samochód. Tak się porobiło! Nie mógł utrzymać kierownicy, otworzył drzwiczki i wytoczył się z samochodu, śmiejąc się dalej, skręcając się na asfalcie, a był w dość podeszłym już wieku. Babcia sobie też nie żałowała. Ale Joyce była najgłośniejsza.

Rozniosło się to wszystko po mieście i zobaczyłem, że wytykają mnie już palcami. Postanowiłem się więc maskować i zmienić fryzurę. Tylko to mogło mnie jeszcze uratować. Powiedziałem to Joyce. A ona na to:

- To idź do fryzjera!

- Nie mogę. On już też wie wszystko.

- Co, boisz się ich? - zapytała podejrzenie słodko.

- Ich się nie boję - bizonów się boję!

Sama więc obcięła mi włosy.

I jak zwykle do dupy.

Nagle Joyce zachciało się wracać do domu. Przy wszystkich nieprzyjemnych stronach

pobytu tutaj, włączając oczywiście do dupy fryzurę, z którą musiałem ciągle jeszcze paradować polubiłem jakoś to małe miasteczko. Było tu niezwykle spokojnie. Mieliśmy własny dom, Joyce karmiła wysmienicie. Prawie tylko mięcho. Pachnące, świeże, cudownie chude mięso. Całe góry steków i befsztyków. W tym to ona była dobra. Gotowała lepiej niż wszystkie znane mi do tej pory moje kobiety. A jedzenie uspokaja! Łagodzi napięcia i koi duszę. Ona to też wiedziała. Jucha!

Odwaga powstaje w brzuchu - a wszystko inne to tylko zwątpienie!

Joyce się jednak uparła. I koniec. Do tego jeszcze te nieustanne potyczki z babcią, doprowadzające obie o zwierzęcego wręcz szału.

A ja czułem się coraz lepiej, coraz swobodniej w skórze gangstera polującego na forszę ojca własnej żony! Cha! Cha! Ci wszyscy kuzynowie, trzęsący całym tym pipidówkiem, nagle nabrali do mnie respektu. Tęgo dawali tego dowody! To się jeszcze nikomu nie udało - mówili okoliczni.

Nadszedł dzień Niebieskich Dżinsów. W tym dniu ten, kto nie miał ich na dupie, lądował w jeziorze.

Założyłem więc swój jedyny garnitur, koszulę z krawatem i wyszedłem na główną, jedyną w tym mieście ulicę. Spacerowałem wolno, jak Billy Kid, wolno, w towarzystwie bacnych i skupionych spojrzeń tych wszystkich bubków w niebieskich gaciach na tyłkach, oglądając nieliczne i nudne wystawy i kupując cygara, których i tak przecież nie paliłem.

Nikt się do mnie nie przychromolił, nikt nie odważył się zaszumieć. Miałem wrażenie, że podzieliłem miasto na dwie części, niczym zapałkę. A na nich musiało to zrobić duże wrażenie.

Trochę później natknąłem się na miejscowego lekarza. Lubilem go. On był zawsze czymś naćpany, wrzucał w siebie jakieś speedy, produkujące permanentny haj! To nie był jednak typowy ćpun. Miał coś takiego w sobie, że od początku naszej znajomości wiedziałem, że zawsze mogę na niego liczyć, na jego pomoc w każdej sprawie.

- Musimy już zmiatać stąd - powiedziałem mu.

- Pan powinien tu zostać - odpowiedział. - Tu się żyje przyjemnie. Poluje się jeszcze lepiej. Ryb w bród. Dobre powietrze. Jest się własnym panem. Całe miasto należy już do pana!

- Co mi po takim mieście, gdzie niebieskie dwurury świętsze są od najświętszych krów!

## 5

Dziadek wypisał więc ten wielozerowy czek. Joyce nie wahała się ani sekundy i wsadziła go do tylnej kieszeni spodni. Dla niej to normalka! Wynajęliby mały domek pod miastem. I zaczęło się znowu, to serwowanie umoralniających, dumnych tekstów:

- Musimy zacząć pracować kombinowała Joyce. Musimy im udowodnić, że damy sobie radę

bez ich pieniędzy, że ty olewasz ich szmalec.

- Kochana, przecież ty już dawno przestałaś chodzić do żłobka, nie! Każdy kretyn załapie się na jakąś robotę - a co mądrzejsi zdolni są do dobrego życia bez harowania. Nie! Takich się tu nazywa artystami. Ja chcę, jak jeden z nich, czegoś artystycznego dokonać w moim życiu. Z twoją oczywiście pomocą!

To wszystko tylko po niej spłynęło!

Wyjaśniłem więc jej, że znaleźć pracę bez samochodu, to rzecz niemożliwa. Uwiesiła się więc na telefonie, a ojciec natychmiast zrewanżował się kolejnym czekiem. Nawet nie zdążyłem się obejrzeć, a już siedziałem w najnowszym modelu plymoutha odziany w porządny nowy garnitur i pantofle za 40 dolarów. I tak opakowanego wypchnęła mnie z domu, jędza wściekła, nie dając powiedzieć sobie ani jednego słowa... Postanowiłem rozciągnąć całą tę sprawę trochę w czasie...

Pakowacz - to była dla mnie zawsze bardzo duża sprawa. Tym bardziej, że nic innego nie umiałem, niczego się w życiu nie nauczyłem. Tak?! Pakowacz! Robotnik magazynowy! Chłopak do wszystkiego. Specjalista od niczego do specjalnych poruczeń!

Wpadły mi w oko dwie oferty pracy. Odwiedziłem więc obie te firmy. I obie mnie zatrudniły. Wybrałem tę pierwszą, bo w tej drugiej zbyt nachalnie pienila się gorączkowa zachłanność na pracę, potrzeba tejże. Horror! Stałem więc w sklepie z antykami, przy maszynie drukującej adresy i inne nalepki, łatwe to i proste. Roboty wystarczało na dwie godziny dziennie. Słuchałem więc radia, zbudowałem sobie nawet z odpadowego drewna coś w rodzaju kantoru czy biura, ustawiłem mały stolik, na nim telefon i siedziałem czytając sprawozdania z wyścigów konnych. A kiedy dopadała mnie nuda, szedłem do kafejki przy rogu, i znowu siedziałem, pijąc kawę i jedząc ciastka, zarzucając komplementami kobiecą obsługę lokalu.

Kierowcy samochodów ciężarowych wiedzieli już, że jak mnie nie ma w biurze, to na pewno siedzę w kafejce. Przychodzili więc do niej. Po paru filizankach wracaliśmy do sklepu, ładowaliśmy jakieś skrzynie, czasami nawet y, lotniczym biletom przewozowym.

Właściciele interesu nie mieli ochoty, żeby mnie zwolnić za opierdalanie się czy też płacić tylko za efektywnie wykonaną pracę. Sprzedawcy też polubili mnie na swój sposób. Kradli wszystko, czego nie dało się ani przyśrubować, ani przybić. Ale ja trzymałem język za zębami. To ich zabawy mnie nie interesowały. Nigdy nie chciałem należeć do klanu małych złodziejasków. Ja chciałem zdobyć albo cały świat, albo nic.

## 6

Dom, gdzie mieszkaliśmy, pełen był zapachu czy fetoru śmierci. Poczulem to już pierwszego dnia, a upewniłem się, Juk zobaczyłem roje much, unoszących się podczas otwierania i zamykania drzwi wejściowych. Zawsze witał mnie dziwny odgłos brzęczenia, szumienia,

bzyczenia, wirowania milionów much unoszących się ku górze. Chmury much. Za domem była łąka z wysoką zieloną trawą i tam były ich gniazda lęgowe.

No i tak, Panie Boże, i zapomniałeś zesłać nam chociaż jednego pająka! I to ma być ta twoja niezwykła harmonia gatunków?

I kiedy tak stałem w oczekiwaniu na reakcję Boga, te miliony much zaczęły wracać na ziemię, lądując w trawie, na płocie, w moich włosach, oblepiając mi ramiona i uda. Były więc znowu wszędzie. A jedna z nich, chyba najgorsza piekielnica, ukąsiła mnie boleśnie. Zakląłem, popędziłem do sklepu i kupiłem największy spray przeciwko insektom i wszelkiej gadzinie. Parę godzin trwało polowanie na nie, wydałem im prawdziwą bitwę, bezlitosną i bezpardonową, dziką i bezwzględną - kaszląc i dusząc się, trując się oparami chemii. Skończyłem. Obejrzałem się wokół i zobaczyłem znowu te same milionowe roje tych samych much. Miałem wrażenie, że śmierć jednej z nich powodowała, w boski zaiste sposób, narodziny kilkunastu innych. Zarzuciłem pomysł ich totalnej likwidacji. Bóg znowu był górą!

Nasze małżeńskie łóże oddzielone było od reszty sypialni czymś w rodzaju kolumnady. Na kolumnach i między nimi ustawione były malowniczo doniczki z geranium. W trakcie naszych pierwszych miłosnych wędrówek w nowym wspólnym domu i w nowym wspólnym łóżu, zauważyłem, że kolumny dziwnie się trzęsą, wykonując dość zabawne w istocie ruchy wokół własnej osi. Dał się posłyszeć także lekki chrobot.

- Auuu - wrzasnąłem.

- Co się dzieje? - zapiszczała Joyce. - I nie waż się teraz zatrzymać. Dalej! Dalej! Nie wolno ci teraz ustawać!

- Panienko najśłodsza - właśnie na mojej dupie roztrzaskała się glina z twoimi kwiatkami.

- Nie wolno ci teraz ustawać. Nie możesz mi tego zrobić!

- No dobra, już dobra - robię, co mogę!

Wdarłem się w nią głębiej, a nawet udało mi się odnaleźć właściwy rytm ku małżeńskim pożytkom cielesnym.

- Auuu, kurwa! - wrzasnąłem znowu.

- Co jest grane? - Co znowu się stało?

- Kolejna donica rozkwasiała mi tyłek i krzyż, podrapała mi pośladki i stoczyła się na podłogę!

- Pierdolę te kwiaty - skwitowała małżonka. - A ty skoncentruj się może na tym, co teraz robisz!

- Proszę bardzo... proszę bardzo!

Przez cały czas wypełniania obowiązków małżeńskich, donice regularne spadały mi na tyłek i plecy. Czuję się tak, jakbym pierdolił się z kimś w czasie nocnego, dywanowego,

zmasowanego bombardowania. Wreszcie nadszedł finał.

- Musimy coś z tymi geraniami zrobić - powiedziałem po paru minutach ciszy i spokoju, zboląły i tu, i tam.

- Nie waż się ich dotknąć!

- Dziewczynko, a dlaczego nie?

- Są rozkoszne, jak się patrzy na nie z dołu - i pełne rozkoszy jak spadają ci na twój tyłek!

- I to ci się tak podoba?

- I to jak!

- Czy tobie nic nie odbiło? Zaśmiała się jak zwykle filuternie. Doniczki z geranium stały się moim wrogiem. Ale do wszystkiego można się jakoś przyzwyczać.

## 7

I wtedy zaczęło się to, że wracałem do domu nieźle wkurzony.

- Co się stało, Hank?

Ilość alkoholu spożywanego każdego wieczoru rosła w diabelnym tempie. Wszystkiemu był winien właściciel, Freddy. Nieustannie gwizdże te same takty tej samej piosenki. Gwizdże rano, kiedy przychodzę do pracy, gwizdże przez cały dzień, nie odczuwając zmęczenia, a wieczorem, na pożegnanie gwizdże to samo, tylko dwa razy szybciej niż rano. I tak od dwóch tygodni.

- Co to za piosenka?

- Z filmu *Osiem dni dookoła świata*. Rzygam już tym. I tą piosenką, i tym filmem, którego jeszcze nie oglądałem.

- To szukaj sobie innej pracy.

- Właśnie taki mam zamiar!

- Nie możesz jednak rzucić pracy, zanim nie znajdziesz drugiej. Musimy im przecież udowodnić, gdzie mamy ich szmal!

- No już dobrze - to powiedz mi, gdzie MY MAMY ICH SZMAL! Bo ja myślałem, że najgłębiej w dupie, tylko nie wiedziałem czy w twojej czy w mojej!!!

## 8

Spotkałem nieoczekiwane tego ochlajmordę. Znałem go jeszcze z czasów, kiedy byłem z Betty i razem w trójkę dwa razy w tygodniu, regularnie, dokonywaliśmy obchodu wszystkich barów w dzielnicy. Opowiedział mi, że pracuje na poczcie, że ma już etat, i że praca jest łatwa i bardzo przyjemna.

Bez żadnych wątpliwości, było to największe, najbardziej podłe i ohydne kłamstwo i bujda tego stulecia!

Zawsze chciałem się z nim spotkać, ale obawiałem się, że tym razem spotkał już jakiegoś nieudanego cukiernika, który ugarniował go zestarzałym lukrem. A czy ja musiałem i tego kosztować?

Ano musiałem. Złożyłem więc po raz drugi papiery i podanie o przyjęcie w zwarte szeregi urzędników państwowych, tym razem nie zakreślając rubryki „doręczyciel,” lecz „służby wewnętrzne”.

W tym samym dniu, kiedy wręczono mi zaproszenie na uroczyste złożenie przysięgi nowo przyjętych do służb publicznych, Freddy nagle przestał gwizdać tę upiorną już piosenkę z filmu *W osiem dni dookoła świata*. Na szczęście nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Cieszyłem się na „lekką pracę u Wuja Sama”.

Moje prawie ostatnie zdanie, jakie wypowiedziałem do chlebodawcy brzmiało:

- Mam coś osobistego do załatwienia na mieście, nie będzie więc mnie godzinę albo góra półtorej!

- Okay, Hank.

I tak, jak zmiana jego repertuaru nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, tak i on nie dowiedział się, którą to godzinę tak naprawdę miałem na myśli.

## 9

Dużo nas stało. Cała kupa. 150 i 200 chłopów. Wszyscy wypełniali jakieś piekielnie nudne dodatkowe formularze. A potem, z oczami wlepionymi w narodową flagę, wypowiedaliśmy głośno słowa przysięgi już raz przeze mnie deklamowane.

Po ceremonii, jakiś umundurowany wariat, podszedł do nas i powiedział:

- No i wreszcie macie dobrą pracę. Jeżeli nie będziecie się zbyt oszczędzać, macie zapewniony chleb do końca waszych dni.

Trochę przesadził. W więzieniu ma się dużo lepiej. I nie musisz nic robić. Nie trzeba płacić komornego, żadnych rachunków za gaz i elektryczność, żadnych podatków, nic nie wydaje się na żarcie, nie płacisz podatków od samochodów, żadnych kar i odszkodowań, nikt się ciebie nie czepia za parę nic nie wartych promili, nie przegrywa się na wyścigach, konnych, bezpłatne leczenie, a nawet dentysta, przyjaźń i koleżeństwo z równymi sobie, dają nawet msze święte, nie grożą ci żadne choroby weneryczne, no i pogrzeb masz na koszt państwa.

Z tych 150 czy 200 ochotników, po dwunastu latach pracy, odnajdywałeś na poczcie góra dwóch. I tak, jak niektórzy nie nadawali się na taksówkarza czy alfonsa, czy nawet naganiacza, tak bardzo wielu, i kobiety, i mężczyźni nie przetrzymywało rygorów pracy na poczcie. Co jak co, ale to ja już wiem najlepiej.

Rok w rok 200 składało przysięgę. Bezwzględna poczta wypływała średnio 198. Dwóch



pozostawało, ale to za mało, ciągle za mało, żeby Wuj Sam był zadowolony czy nawet szczęśliwy.

## 10

Jakiś inny umundurowany, też wariat, oprowadzał nas po budynku. Nasza grupa była tak liczna, że trzeba było podzielić ją na mniejsze. Poruszaliśmy się za pomocą wewnętrznej windy. Pokazywano nam stołówkę, składy i magazyny, i inne mało interesujące rzeczy.

To trwa już wieczność - pomyślałem. Freddy oszaleje, a ja też oszaleję wiedząc, że on już oszalał z mojego powodu!

A potem demonstrowano nam karty do stemplowania. Ustawiliśmy się grzecznie przed zegarem.

- I tak to się odbywa.

Umundurowany zademonstrował nam niezwykle skomplikowaną operację stemplowania kart pracy.

- A teraz każdy sobie spróbuje!

Po dwóch i pół godzinie przyszła kolej i na mnie.

Była to gigantyczna i potężna ceremonia składania przysięgi, w obecności narodowej flagi.

## 11

Po dziewięciu czy dziesięciu godzinach pracy, ludzie stawali się ospali i leniwi, i cudem tylko udawało się im chronić głowę przed gwałtownym i bardzo bolesnym „spotkaniem” z zielonkawą metalową kratą wózka rozdzielczego. Sortowaliśmy pocztę według dzielnic. Jeśli adres zawierał numer 28, to trzeba było przesyłkę umieścić w wózku rozdzielczym z takim samym numerem. I proste to, i głupie!

Jakiś czarny chłopak zaczął nagle podskakiwać i wymachiwać ramionami. Typowa i klasyczna walka ze snem, po której zawsze cierpi się na silne zawroty głowy.

- Boże Przenajświętszy, dłużej tego nie wytrzymam! - gardłował.

A był silny i mocny jak byk.

Powtarzać w nieskończoność ciągle te same ruchy - to nie tylko, że bolało, to było morderczo bolesne.

W samym końcu korytarza stał wartownik - taki drugi Stone, z ciągle taką samą miną przyklejoną do ryja - spróbujcie kiedyś tego przed lustrem, to wcale nie jest tak łatwo zniekształcić własną twarz, żeby wiedzieć, że cały, bez wyjątku cały świat ma wiedzieć, że ten wartownik czy też właściciel i kreator tej miny uważał i będzie uważać wszystko i wszystkich za nic nie wartą kupę gówna. Kiedyś byli listonoszami albo zasuwali w sortowni, a teraz... Nigdy nie mogłem tego pojąć. Bez wątplenia jednak wartownikami zostawali specjalnie dobierani

beznadziejni debile.

Jedną nogę trzeba było postawić na krawędzi wózka, a drugą gdzie tylko się dało. Rozmowy były zabronione. Dwie krótkie dziesięciominutowe przerwy w ciągu ośmiogodzinnego dnia pracy. Dokładnie zapisywano czas wejścia do toalety i wyjścia z niej. Zostawało się w niej dłużej niż trzynaście minut, draka murowana. Kara też.

Ale płacili lepiej niż w sklepie z antykami, Myślałem, że za takie pieniądze można się do wszystkiego przyzwyczaić.

Nigdy mi się to nie udało.

## 12

A potem poprowadził nas wartownik do innego oddziału. Zostaliśmy tam dziesięć godzin.

- Zanim zaczniecie, muszę wam zwrócić na coś uwagę - zaczął wartownik. - Poczta znajdująca się w koszu tego rodzaju, co stoi właśnie przed wami, musi być posortowana w ciągu 23 minut. To jest dopuszczalna dolna granica waszej wydajności pracy. A teraz spróbujcie sami, ilu z was posortuje przesyłki w czasie krótszym niż 23 minuty! Uwaga! Start!

- Co on wyprawia, z byka spadł - pomyślałem jako były pracownik z doświadczeniem. Mnie zawody i konkursy zawsze męczyły! Każdy z tych koszyków miał sześćdziesiąt centymetrów długości, ale każdy z nich zawierał różną liczbę przesyłek. Niektóre z nich miały dwa, a nawet trzy razy więcej niż pozostałe.

Nowi koledzy rzucili się na to jak oszołomy. Obawa przed kompromitacją? Tępota umysłu? Wstyd kłeski?

Ja nie dałem się zwariować. Z moim doświadczeniem?

- Jeśli skończyliście pierwszy kosz, możecie natychmiast zacząć następny - usłyszałem pełne walorów motywacyjnych słowa wartownika.

A ci wysilali się jakby byli na katordze. Prawie wrywali sobie kosze z przesyłkami. A ja poczułem w pewnej chwili wzrok wartownika na karku.

- Widzicie, ten człowiek już czegoś dokonał - i wskazał na mnie palcem. - Właśnie kończy już drugi kosz!

A to był ciągle pierwszy, i to dopiero w połowie. Nie wiedziałem, po co i dlaczego on to powiedział. Ta intryga wydawała mi się zbyt prostacka. Po chwili jednak sam musiałem stwierdzić, że taki „komplement,” nawet prostacki, powoduje zwiększenie prędkości pracy rąk. I to własnych rąk! Zaczęły one nawijać jakieś zupełnie diabelskie tempo, a oczy mokre były od łez czy od potu?

### 13

O wpół do czwartej nad ranem miałem koniec pracy. Dwanaście godzin harówki non stop. Wtedy nie otrzymywało się ekstra stawek za nadgodziny. Płacono zwykłą stawkę godzinową. O ile dostąpiło się zaszczytu bycia zatrudnionym jako „tymczasowy urzędnik pomocniczy na czas nieokreślony”.

Nastawiłem budzik tak, żebym mógł być o godzinie ósmej rano w antykwariacie.

- No, co jest, Hank? Myśleliśmy, że miałeś wypadek. Wszyscy się już zamartwiali!

- Odchodzę!

- Odchodzisz?

- Tak. A co, chcecie mi może powiedzieć, że trzeba sobie zasłużyć, żeby wolno było zmienić chujową pracę na jeszcze gorszą?

Poszedłem do Freddy'ego. Otrzymałem czek.

Tak więc, znowu wyłądownałem w pocztowej służbie publicznej Stanów Zjednoczonych.

### 14

I ciągle jeszcze nie opuszczała mnie Joyce, z tymi jej geraniami i milionami po ojcu i dziadku. Bo udawało się mi sprostać jej oczekiwaniom! Joyce i muchy, i geranie!

Pracowałem na nocną zmianę, przez dwanaście godzin, a ta całymi dniami dreptała wokół mnie, grzebała w spodniach, chcąc mnie już wyssać zupełnie ze wszystkiego. Nawet budziłem się z najgłębszego snu, kiedy jej nieostrożna ręka głaskała mnie i pieściła. O żadnej odmowie nie było mowy. Figlowaliśmy więc godzinami, a ona szalała i była szczęśliwa.

Wróciłem pewnego ranka do domu, a ona przemówiła do mnie:

- Hank, tylko nie bądź zły!

Byłem zbyt zmęczony, żeby jeszcze pozwolić sobie na cokolwiek.

- Co jest, baby? spytałem.

- Mam psa, młodego szczeniaka, przyprowadziłam go do domu!

- Okay. Psy są w porządku. Może być nam z nim bardzo przyjemnie. Gdzie on jest?

- W kuchni. Nazywa się Picasso.

Poszedłem więc do kuchni, żeby przypatrzeć się naszemu nowemu nabytkowi. Chyba nic nie mógł widzieć. Włosy całkowicie zakrywały mu oczy. Przez chwilę przypatrywałem się mu, obserwowałem, jak się porusza. Wziąłem go na rękę. Biedny Picasso!

- Baby, czy ty aby wiesz, co ty narobiłaś?

- Już go nie lubisz, tak?

- Nie powiedziałem, że go nie lubię. Ale ten pies to przygłup! Przytachałaś idiotę, a nie psa!

- A skąd ty możesz wiedzieć?

- Bo mu się bardzo uważnie przyjrzałem!

I właśnie w tym momencie Picasso zaczął sikać. I trwało to dość długo. Picasso był pełen moczu. Długi żółty strumyk przecinał kuchenną podłogę. A kiedy skończył, obejrzał się za siebie i nieruchomo wpatrywał się w to, co właśnie z niego wyciekło.

Chwyciłem go za kark i podniosłem do góry.

- A teraz to wycieraj, pojemniku na szczynty!

Picasso stał się więc jeszcze jednym, dodatkowym problemem. Nawet po dwunastogodzinnej harówce na nocnej zmianie, kiedy to Joyce pieszczotami zmuszała mnie pod geraniami do tego, do czego nie miałem siły i ochoty, to ja właśnie musiałem pamiętać jeszcze o tym biednym zwierzaku.

- Gdzie jest Picasso?

- Ach, do cholery z nim - niecierpliwie odpowiadała wtedy Joyce.

A ja wyłaziłem wtedy z łóżka, z tą sterczącą długą tyką pod brzuchem i udawałem się na poszukiwania psa.

I tylko nic mi już nie, mów, że pies znowu jest na zewnątrz. Mówiłem ci już tyle razy, że nie powinnaś wypuszczać go na podwórko.

I lazałem na podwórko, nagi, zbyt zmęczony, żeby się ubrać. A on położył się pod jakimś wyłomem w ścianie domu. Leżał tam, ten biedny Picasso, a pięćset much nad nim, a parę milionów na nim. Rzuciłem się biegiem w jego stronę, tyczka pod brzuchem, mimo że już dawno mniejsza, waliła mnie po miednicy, ale pędziłem dalej, przeklinając te wstrętne muchy. Siedziały mu w oczach, we włosach, w uszach, na siusiaku, w pysku... wszędzie. A on spokojnie leżał i uśmiechał się do mnie. Uśmiechał się do mnie, a muchy wżerały mu się w ciało. I ciągle jeszcze uśmiechał się. Może wiedział więcej niż my wszyscy razem do kupy? Wziąłem go na ręce i wniosłem do domu.

*... the little dog laughed*

*to see such sport;*

*And the dish ran away*

*with the spoon.*

- Na miłość Boga, Joyce, jak często muszę ci to powtarzać i powtarzać, i powtarzać.

- To ty zrobiłeś z niego pokojowego stwora. Zapominasz, że nawet taki pokojowy stwór musi czasami wyjść na dwór. Bo to sika i sra też!

- Ale kiedy się już wysikał i wysrał też, mogłabyś wpuścić go do domu. Sam sobie drzwi przecież nie otworzy. Na to jest za głupi. I pamiętaj też, żeby jego odchody zakopywać. No,

chyba że chcesz stworzyć muchom raj na ziemi!

I ledwo udało mi się zamknąć oczy, poczułem głaskającą mnie i moje uda rękę Joyce. Ta droga do tych kilkunastu milionów nie była ani lekka, ani łatwa.

## 15

Kimając już, siedziałem w fotelu i czekałem na jedzenie. Jak zwykle trwało to dość długo. Wstałem więc, żeby przynieść sobie szklankę wody, a kiedy wchodziłem do kuchni, zobaczyłem, że Picasso liże stopy Joyce. Ponieważ byłem mi bosaka, nie wiedziała, że jestem prawie za jej plecami, Na nogach, jak zwykle, miała buty na bardzo wysokich obcasach. Picasso nie ustawał w okazywaniu jej swoich uczuć, ona zaś patrzyła na niego z małomiasteczkową nienawiścią, zaczynała prawie jarzyć się ze wściekłości. Nagle kopnęła psa gwałtownie w bok, prawie wbijając obcas w skórę. Biedny pies, nie wiedząc, co się dzieje, zaczął skamleć i piszczeć, goniąc za własnym ogonem. Siuśki zaczęły skapywać na podłogę. Stałem przez chwilę z pustą szklanką w dłoni i nie napelniwszy jej już niczym, walnąłem nią w lodówkę na lewo od umywalki. Kawalki szkła rozleciały się we wszystkich kierunkach. Joyce, na szczęście, zakryła sobie twarz rękami. Nie zastanawiając się już nad niczym, chwyciłem psa i wybiegłem z kuchni. Usadowiliśmy się w ogródku. Łagodnie przeczesywałem palcami jego sierść. Popatrzył na mnie, wysunął ostrożnie jęzor i polizał mój nadgarstek. Ogon zaczął wibrować coraz szybciej, myślałem nawet przez chwilę, że może mu nagle odpaść! W tym samym czasie Joyce, na kolanach, zbierała resztki szkła do dużej papierowej torby. Cichutko chlipała, próbując to ukryć przede mną. Odwróciła się nawet do mnie plecami, ale ja i tak wiedziałem, co się dzieje. Drgania jej ramion były aż za jednoznaczne.

Postawiłem Picassa na ziemi i wróciłem do kuchni.

- No, już nie, już nie, baby.

Stałem za nią. Uniosłem ją do góry. Była lekka, jak z waty.

- Baby, jest mi bardzo przykro!

Przytulilem się do niej, swoją rękę położyłem na jej brzuchu. Delikatnie starałem się rozmasować. Dreszcze powoli ustępowały.

- Tylko spokojnie, spokojnie, baby!

Joyce uspokoiła się. Odsunąłem jej włosy i pocałowałem w ucho. Poczułem ciepło jej ciała. Gwałtownie wyrzuciła głowę do przodu. Ale jak całowałem jej drugie ucho, głowa nie wykonała już żadnego gwałtownego ruchu więcej. Poczułem jak ostrożnie wciąga powietrze do płuc, jak delikatnie wzdycha. Podniosłem ją znowu do góry i przeniosłem do drugiego pokoju. Usiedliśmy na krześle, ona bardzo blisko mnie. Nie patrzyła w moją stronę. Całowałem jej szyję i koniuszki uszu. Jedna ręka dotykała jej ramion, a druga opierała się na jej biodrach. Wolno ją

głaskałem, dokładnie w rytmie jej wdechów i wydechów, żeby przejąć te wszystkie „złośliwe energie”. Wreszcie spojrzała na mnie, z tym swoim prawie niedostrzegalnym uśmiechem. Schyliłem głowę w jej stronę i ugryzłem ją lekko w brodę.

- Wściekle babiszcze - powiedziałem.

Zacząła się śmiać, a potem całowaliśmy się. Nasze głowy mocno stukały o siebie. I wtedy znowu się rozbeczała. Cofnąłem głowę do tyłu i powiedziałem:

- PRZESTAŃ, TERAZ PRZESTAŃ!

I znowu całowaliśmy się. A potem przeniosłem ją do naszej sypialni, położyłem na łóżku i błyskawicznie ściągnąłem spodnie, majtki i buty. Z jej majteczkami nie miałem żadnego kłopotu, z butami cholerne. A potem waliliśmy się tak wspaniale, jak jeszcze nigdy dotąd. Wszystkie geranie spadły na mnie z regału. Kiedy skończyliśmy te nasze ceremonie w kwiatkach i doniczkach, spokojnie i długo rozmawialiśmy, a ja wczepiony w jej długie włosy, opowiadałem wszystko to, co tylko ślina przyniosła mi na język. Ona tylko mruczała i mruczała, a potem nagle wstała i poszła do łazienki. Długo tam była. Długo. W kuchni zdążyłem wszystko posprzątać i\* pozmywać. Śpiewałem chyba nawet jakieś piosenki. Nawet sam Steve McQueen nie potrafiłby lepiej. Od tego dnia musiałem sam sobie dawać radę z dwoma Picassami.

## 16

- Słuchaj - powiedziałem kiedyś nagle, bez chwili namysłu - słuchaj mnie, ten cholerny nocny job doprowadza mnie już do szaleństwa. Czasami nie wiem już, kim jestem, co robię i po co ja tak zasuwam. Powinniśmy skończyć z tym. Moglibyśmy tak sobie tylko leżeć obok siebie, pokochać się trochę, chodzić na spacer, rozmawiać. Moglibyśmy częściej odwiedzać ogród zoologiczny, oglądać zwierzęta. Robić wycieczki na plażę i gapić się w wodę. Nawet godzinami. To jest przecież tylko czterdzieści pięć kilometrów. Moglibyśmy pograć sobie trochę w tych salonach z automatami, iść na mecz bokserski, do muzeum, na wyścigi konne. Na pewno poznalibyśmy nowych ludzi, może nawet przyszłych przyjaciół. Śmiać się razem. A nasze obecne życie jest takie samo, jak życie wielu innych ludzi. Nasze życie odbiera nam radość życia, zabija życie w nas.

- Nie, Hank - my musimy im udowodnić, my powinniśmy im udowodnić...

I tak to, po raz kolejny któryś ta mała dziewczynka z Teksasu, nastawiła znaną mi już płytę. Przestałem roztaczać przed nią uroki „innego życia”.

## 17

Każdego wieczoru przed moim wyjściem do pracy, Joyce kładła mi ubranie na łóżku. Były to najdroższe łachy, jakie można było kupić w okolicznych sklepach. Nigdy nie wolno mi było

nosić tych samych spodni, koszul czy butów w następujących po sobie nocach. Miałem dziesiątki różnych kombinacji koszul z krawatami, koszul z marynarkami, butów ze spodniami. Ubierałem to, co ona mi własnoręcznie „skomponowała”. Zupełnie jak przed laty mamuśka. No tak - myślałem wtedy zawsze - dużo to ja jej jeszcze nie nauczyłem. Nigdy niczego nie komentując, pokornie wciągałem na siebie to, co ona mi „przyrządziła”.

## 18

Często odbywały się takie przerwy w pracy, które oni nazywali „szkoleniem zawodowym”. Trwało to przeciętnie po trzydzieści minut, a w tym czasie nie musieliśmy wykonywać naszej ogłupiającej roboty, tylko słuchać mądrzejszych. Jakiś kolosalnych wymiarów Italiano wlaźł na podium, żeby wprowadzić nas w nowe zagadnienia pracy poczty amerykańskiej.

- ...nic nie pachnie tak przyjemnie jak dobry, czysty i świeży pot, nic nie pachnie bardziej wstrętnie i nieprzyjemnie niż stary i przenoszony pot.

Rany Boga, czy ja słyszę to, co właśnie słyszę? I coś takiego akceptuje nasz demokratyczny rząd! Ten kretyn chce mi powiedzieć, że byłoby dobrze, gdybym codziennie mył własne pachy. Inżynierom czy dyrygentom nie opowiadałby takich bzdur. To nas poniża.

- ...i kąpcie się codziennie. Nie tylko zyska na tym wasza wydajność pracy, ale także wasz wygląd zewnętrzny.

Wydawało mi się przez chwilę, że chciałby użyć słowa „higiena”, ale w wyuczonych na pamięć zdaniach nie znalazł dla „higieny” miejsca.

Z tyłu sceny wyciągnął stojak, a na nim olbrzymiej wielkości mapę kraju. Rzeczywiście monstrualna. Zajmowała więcej niż połowę sceny. Jakiś strumień światła nagle padł na nią, a kolosalnych wymiarów Italiano chwycił długi kij do wskazywania, jak to było kiedyś w szkołach podstawowych, i stanął przed mapą.

- Czy widzicie tę dużą zieloną plamę? To jest cholernie duża plama, bo to jest piekielnie duży obszar. Przypatrzcie się dokładnie!

Długim kijem do wskazywania zaczął dość chaotycznie jeździć po mapie. Wtedy nastroje antysowieckie były niezwykle silne. Chiny jeszcze nie zaczęły napinać swoich mięśni. Wietnam wydawał się nam wszystkim wtenczas tylko niewielkim piknikiem, ale za to ze sztucznymi fajerwerkami. A mimo wszystko wydawało mi się, że śnię, jak usłyszałem, co ten olbrzym nam opowiadał. Nikt nic nie mówił. Nikt nie reagował. Nikt nie protestował. No tak, potrzebowaliśmy pracy. Wszyscy. Nawet Joyce sądziła, że ja potrzebuję zapierdalać. A potem ten goliat powiedział: - Tu, patrzcie tutaj! To jest Alaska. A tam są oni! Wygląda to tak, że mogliby z łatwością przeskoczyć na tę stronę, no nie?, na naszą stronę!

- Tak - powiedział jakiś wzorowy uczeń w pierwszej ławce i w pierwszym rzędzie. Italiano

zrolował szybko mapę i rzucił ją gdzieś w kąt, sycząc coś przez zęby.

Gumową końcówkę kija do wskazywania skierował teraz w naszą stronę.

- Chciałbym, żebyście panowie zrozumieli to, że my wszyscy, w takich warunkach, skazani jesteśmy na przymus oszczędzania tam, gdzie tylko się da. I stawiam sprawę jasno: KAŻDY LIST PRZEZ WAS SORTOWANY, KAŻDA SEKUNDA, KAŻDA MINUTA, KAŻDA GODZINA, KAŻDY DZIEŃ I KAŻDY TYDZIEŃ WASZEJ PILNEJ PRACY, KAŻDY LIST SORTOWANY PONAD NORMĘ PRZYPADAJĄCĄ NA KAŻDEGO Z WAS, PRZYCZYNIA SIĘ DO ZDŁAWIENIA RUSKA!

Cisza.

- I to byłoby tyle na dzisiaj. Ale zanim się rozejdziecie do pracy, każdy z was otrzyma tabelę z przydzielonym okręgiem pocztowym.

Co to za tabela? Co znowu wpadło im do łbów! Jeden już zaczął łązić między nami i rozdzielać jakieś papierzyska.

- Chinaski - zapytał.

- Tak.

- Masz okręg numer dziewięć.

- Dziękuję - odpowiedziałem.

Podziękowałem, tylko nie wiedziałem, że nie powinienem tego być uczynić. Okręg dziewiąty był największy w całym mieście. Inni dostali okręgi o połowę mniejsze, a nawet więcej. Dokładnie powtórzyła się sytuacja z tym słynnym już sześćdziesięciocentymetrowym koszykiem, opróżnianym w ciągu dwudziestu trzech minut - ja nie miałem szansy w konkurowaniu z kimkolwiek. Przez sekundę poczułem się zamordowany.

## 19

Kiedy następnego dnia szliśmy grupą na kolejne szkolenie do głównego gmachu poczty, odłączyłem się od tego tłumu półdiotów i zacząłem rozmawiać z Gusem, starym listonoszem. Gus był kiedyś trzeci w boksie, w wadze półśredniej. A potem przyszły same porażki. Nie miał łatwo, bo był praworęczny, a tacy na ringu nie mają najłatwiej. Muszą perfekcyjnie opanować sztukę obrony przed tymi leworęcznymi. A to kosztuje i czas, i wysiłek. Więc po co się zamęczać? Powoli wysączyliśmy parę łyków z jego butelczyny i postanowiliśmy się przyłączyć do grupy. Italiano czatował już przy drzwiach. Widząc mnie nadchodzącego zrobił trzy kroki w moją stronę.

- Chinaski?

- Tak.

- Pan się spóźnił!



Nic mu nie odpowiedziałem. Razem weszliśmy do gmachu.

- Wie pan co, miałbym wielką ochotę skierować na pańskie ręce ostrzeżenie - powiedział ni z gruchy, ni z pietruchy.

- Proszę bardzo, bardzo proszę, niech pan tego nie robi - zaskomlałem. On rzucił tylko na mnie spojrzenie tymi swoimi ślepiami kombinatora i aferzysty.

- Dobra - tym razem daruję.

- Bardzo dziękuję - powiedziałem.

Zgodnym krokiem przekroczyliśmy próg gmachu.

I wiecie co? Smród jego potu zatkał na chwilę cały mój układ oddechowy. I on chce walczyć z Ruskimi? A jak wygra?

## 20

Od paru dni musieliśmy się więc uczyć na pamięć danych z tabel okręgów. Dawali nam całe kupy jakiejś „teoretycznej korespondencji” i kazali sortować. Żeby mieć egzamin, należało sto jednostek przesyłek posortować w ściśle określonym czasie ośmiu minut, z prawem błędu do pięciu nieprawidłowo posortowanych przesyłek. Można było próbować trzy razy. Przekroczenie progu błędu lub limitu czasu dyskwalifikowało. Inaczej mówiąc, wywalano z pracy.

Nie wszyscy dadzą sobie z tym radę grzmiał Italiano - bo przeznaczeni są może do innych zadań. Być może pewnego dnia będą prezesami General Motors.

Italiano gdzieś zniknął, a na jego miejsce pojawił się mały, przyjemny dość instruktor naszej grupy.

- Na pewno dacie sobie radę - pompował w nas odwagę i zapał.

- To nie jest aż tak trudne, jak wam się, koledzy, wydaje. Każdej grupie przydzielono instruktora, który był także oceniany według liczby jego podopiecznych przechodzących przez egzamin. Ten przyjemny, miły, tak dodający nam odwagi i animuszu nasz instruktor plasował się na samym końcu tabeli kwalifikacyjnej instruktorów. U niego przepadli na egzaminie prawie wszyscy. Sam się tym denerwował trochę.

- To nie jest nic strasznego. To wymaga tylko odrobinę koncentracji i nic więcej.

Niektórzy trzymali już w łapach pliki „egzaminacyjnej korespondencji” - były to małe albo niewielkie pliki przesyłek, a ja miałem tego oczywiście najwięcej, bo ten kopany dziewiąty rejon był największy.

Stałem więc lekko ocepiały w moim eleganckim i drogim stroju. Ręce bezmyślnie w kieszeniach.

- Chinaski, czy czegoś panu brakuje? - spytał instruktor. - Ja wiem, że pan śpiewająco przejdzie przez ten egzamin.

- No jasne. To pewne jak w banku. Właśnie myślę teraz o tym.

- A nad czym konkretnie pan tak teraz myśli?

- Nic takiego.

Odwrociłem się plecami do niego.

Tydzień później stałem znowu w moim szykownym garniturze z rękami w kieszeniach. Jakiś nieprzytomny pomocnik listonosza podbiegł prawie bezszelestnie do mnie.

- Sir, myślę, że opanowałem już moją tabelę!

- Jesteście tego pewni? - zapytałem chłodno.

- Ćwicząc sortowanie miałem na sto listów 97, 98, 99, a nawet parę razy sto trafień.

- Pan musi zrozumieć, że poczta amerykańska wydaje duże pieniądze na szkolenie własnych pracowników. Oczekujemy więc od pana, że opanuje pan swoją tabelę na więcej niż tylko piątkę.

- Sir, jestem gotowy do złożenia egzaminu.

- To wspaniale - chwyciłem jego rękę i pogratulowałem - nic więc nie stoi na przeszkodzie, żeby odbębnił pan wreszcie ten egzamin, młody człowieku. Dużo szczęścia.

- Dziękuję, Sir.

Pobiegł potem do pomieszczenia gdzie odbywały się egzaminy, oszklonego ze wszystkich stron jak akwarium, żeby ci z komisji mogli dokładnie patrzeć na ręce egzaminowanego. Biedne wypłoszone płotki za szkłem. A ja byłem jedną z nich. I trzeba tak nisko upaść, kiedy postanowiło się nie być więcej takim małomiasteczkowym nic - nierobem! Poszedłem do sali, w której odbywały się szkolenia, rzuciłem egzaminacyjne rekwizyty w kąt i popatrzyłem na swoje lustrzane odbicie.

- Ale siedzisz po pachy w głównej!

Usłyszałem śmiejących się kolegów. A potem któryś z instruktorów zakomunikował głośno:

- Minęło trzydzieści minut. Wracamy na stanowiska pracy.

To oznaczało powrót do dwunastu godzin potwornie monotonnej i ogłupiającej pracy.

Ponaglali tych, którzy się dawali jeszcze ponaglać! Ale tych ostatnich było coraz mniej. Ludzie nie wytrzymywali i odchodzili. Ci, co zostawali, musieli zasuwać ostro i bez wytchnienia.

Regulamin pracy przewidywał, że po dwóch tygodniach roboty, należało się cztery dni wolnego. I tylko perspektywa czterodniowego nieróbstwa trzymała ludzi w pracy, motywując ich do diabelskiego wysiłku i wydajności. Ostatniej nocy, przed tą oczekiwaną przez wszystkich czterodniową pauzą, usłyszeliśmy komunikat nadany przez głośnik:

- UWAGA, UWAGA, WSZYSCY CZŁONKOWIE GRUPY 409!

Ja byłem członkiem tej grupy.

- WASZE CZTERY DNI WOLNE ZOSTAŁY SKREŚLONE. JUTRO KONTYNUUJECIE NORMALNY PROGRAM WASZYCH OBOWIĄZKÓW!

**21**

Joyce znalazła pracę w zarządzie dystryktu i to w oddziale miejscowej policji. Ożeniony byłem więc z gliną.

Ona pracowała dniem, a ja nocą, więc miałem trochę więcej spokoju od tych jej obłapiających mnie rąk. Kupiła za to dwie papużki i te cholerne ptaszyska nie tyle, że nie rozmawiały ze sobą, co całymi dniami wydzierały się na siebie, i chyba także na nas.

Oglądaliśmy się z Joyce tylko przy śniadaniach, a ponieważ ona ciągle pędziła, były to więc dla mnie bardzo miłe chwile. I mimo, że udawało się jej mnie gwałcić od czasu do czasu, to moje położenie w tym względzie bardzo się polepszyło... tylko te papugi zakłócały harmonię i spokój.

- Słuchaj, baby!...

- Co znowu nowego?

- Więc do spadających geranii, much i Picassa przyzwyczailem się już, ale ty musisz zdawać sobie sprawę także z tego, że każdej nocy zasuwam dwanaście godzin, że muszę się uczyć jebanych tabel na pamięć, a ta resztką energii zostająca we mnie... to mnie fatyguje i zamecza!

- Zamecza?

- Wyraziłem się niewłaściwie. Przepraszam, baby!

- Jak ty to rozumiesz - zamecza i fatyguje?

- Jak to właśnie powiedziałem. Przejęczyłem się. Zapomnijmy o tym. Ale te pieprzone papugi...!

- Aha, więc teraz chodzi o papugi? One też cię nagabują i się naprzykrzają?

- Tak. Dokładnie tak! Posłuchaj!

- A kto przy nich śpi! Ja śpię na górze!

- Och, przestań się wygłupiać!

- A teraz chcesz mi powiedzieć, jaka to ja mam być, co?

- Koniec! Mordy na skobel! Kurwa! To ty leżysz, na workach z pieniędzmi! Ty, nie ja! - więc chociaż pozwól mi się wygadać do samego końca, co?! Tak czy nie!

- Dobrze, małe baby - wygadaj się.

- Więc małe baby mówi: Mama! Mama! Te upierdliwe papugi doprowadzają mój mózg do stanu wrzenia!

- A teraz powiedz, proszę, mamie, jak to się dzieje, że te małe ptaki stanowią zagrożenie dla twojego mocarnego przecież mózgu?

- To jest tak, mamusiu, że te stworki paplają, plotą, bajdurzą, bredzą i gędzą całymi dniami, nigdy nie zmęczone, a ja ciągle czekam, że one wreszcie coś do mnie powiedzą, ale one tego nie chcą, a ja nie mogę spać, bo muszę wsłuchiwać się w ten idiotyczny dialog takiego duetu.

- No to małe baby, jeśli nie możesz usnąć, to je wynieś stąd.

- Wynieść je, mamulku?

- Tak, wynieść.

- Dobrze, mamuśka!

Pocałowała mnie w czoło i ostro zarzucając biodrami zbiegła schodami na dół, żeby już wkrótce zamienić się w przedstawiciela prawa i porządku. Gliny i polipy! A ona jedna z nich!

Rzuciłem się do łóżka, próbowałem zasnąć. Ale one nawijały i nawijały. Każdy najmniejszy muskuł w nogach i rękach pełen był bólu i cierpienia. Wszystko jedno, czy leżałem na prawym boku, czy na lewym, na plecach. Droga usilnych prób i błędów stwierdziłem, że ból stawał się najmniej dokuczliwy, kiedy leżałem na brzuchu. Ale było to piekielnie niewygodne. Wytrzymałem na nim nie dłużej niż dwie do trzech minut. Kotłowałem się na tym wyrze raz tak, raz inaczej, klnąc, krzycząc, śmiejąc się rozpaczliwie. Przyznawałem sam sobie, że cała ta moja sytuacja była w najwyższym stopniu niebywale śmieszna. A te nawijały, jakby nigdy nic. Załatwiały mnie, jak tylko chciały. Bo co one mogły w swojej klatce wiedzieć o mękach zjebanego pracą człowieka? Same pióra i nic więcej. Mózg tak duży, jak główka szpilki.

Kompletnie zmachany i odmóżdżony wstałem z łóżka, poszedłem do kuchni, napełniłem szklankę wodą i wylałem im to wszystko na łby.

- Pierdolone ptactwo - obrzuciłem je jeszcze przekleństwami.

Popatrzyły na mnie smętnie spod tych swoich piór. Ale milczały! Cisza! Terapia wodna zawsze odnosi skutek. Ci wszyscy lekarze rozwalonych ludzkich dusz wiedzą, co czynią!

A potem ta zielona z żółtą plamą skubnęła się we własną pierś, spojrzała na mnie i zaczęła nawijać do tej czerwonej z zieloną plamą. Wszystko zaczęło się od początku.

Usiadłem na brzegu łóżka i wsłuchiwałem się w ten trajkot nocny i wtedy nadbiegł Picasso i ugryzł mnie w stopę.

No - to teraz miałem już tego wszystkiego naprawdę dosyć. Chwyciłem klatkę i wyniosłem ją na zewnątrz. Picasso podążał za mną. Dziesięć tysięcy much spokojnie uniosło się do góry. Postawiłem klatkę na ziemi, otworzyłem ją i usiadłem na schodach.

Ptaki jak zamurowane siedziały wpatrzona w otwarte drzwi klatki. Niczego nie kapowały i kapowały wszystko. Miałem wrażenie, że dostrzegam, jak te ich małe mózgi nabierały coraz szybszych obrotów. Dostrzegały przed sobą pojemniki z wodą i żarciem, a otwarte drzwi klatki wprawiały je w coraz większe zakłopotanie i bezradność.

Zielony z żółtą plamką ruszył pierwszy. Zeskoczył z drążka i usiadł w otworze drzwiowym. Siedział tak i siedział, kurczowo obejmując łapkami metalowe pręty klatki. Reagował tylko na muchy i ich brzęk. Więcej niż jedną minutę trwało to, żeby podjąć decyzję. I nagle coś zaskoczyło w tej łepetynie. Jego czy jej? Nie odleciał - wystrzelił jak z katapulty pionowo w stronę nieba. Do góry! Prosto jak strzała! Picasso i ja siedzieliśmy dalej i wpatrywaliśmy się w to przedstawienie. Jedno uskrzydłone bydlę już mieliśmy z głowy!

A potem przysła kolej na czerwonego z zieloną plamką. Ten wahał się dużo dłużej. Nerwowo przemierzał klatkę.

Ciężko mu było podjąć decyzję. Ludzie, ptaki, wszyscy musimy podejmować decyzje. Życie jest jednak kurewsko ciężkie.

A ten czerwony spacerował, spacerował i prawdopodobnie rozmyślał. Żółte promienie słońca, bzyczące muchy, człowiek i pies wpatrzeni w niego i całe niebo nad nami!

To wszystko chyba dla niego za dużo. Wskoczył na drzwiczki klatki, a trzy sekundy później już go nie było. Odleciał.

Picasso i ja wróciliśmy z pustą klatką do domu.

Od wielu już tygodni nie spałem tak spokojnie. Zapomniałem nawet nastawić budzik. Na białym koniu galopowałem przez Broadway w Nowym Jorku. Zostałem właśnie wybrany na burmistrza tego miasta. Podniecenie rozwalalo mi majtki. A potem ktoś rzucił we mnie kawałkiem błota... A to Joyce potrząsała moimi ramionami.

- Co się stało z ptakami?
- Pierdołę papugi. Zostałem burmistrzem Nowego Jorku!
- Gdzie są ptaki? Chcę wiedzieć! Nie ma ich w klatce!
- Ptaki? Ptaki? Co za ptaki?
- Obudź się wreszcie do jasnej cholery!
- Miałaś problemy w pracy? Coś kiepsko jesteś nastrojona?
- GDZIE SĄ PTAKI?
- Powiedziałaś, że mogę je wystawić.
- Powiedziałam, że możesz je wystawić w klatce na werandę albo na podwórku, ty mule!
- Muł?
- Tak, ty mule! Czy wypuściłeś ptaki z klatki? Czy naprawdę to chcesz mi powiedzieć?
- Chcę ci powiedzieć to, że na pewno nie zamknęły się w łazience ani że nie schowały się pod łóżkiem!
- Przecież one pozdychają z głodu!
- One mogą łapać robaczki, listki, jeść owoce... i dużo innych rzeczy!

- Tego właśnie nie mogą. Tego nie potrafią. One pozdychają.

- Niech więc zdychają ci, którzy niczego się nie nauczyli - powiedziałem to dość stanowczo i wolno, prawie demonstracyjnie przekręciłem się na drugi bok. Zasnąłem. Niewyraźnie dochodziły mnie tylko jakieś głosy z kuchni, jej przekleństwa, spadające na podłogę łyżki i przykrywki. Na szczęście Picasso leżał na łóżku przy mnie. Mogłem go więc ochronić przed długimi, ostrymi i czerwonymi obcasami jego pani. Musiał to już wiedzieć, bo pilnie lizał moją dłoń. I nagle film się urwał.

Ale tylko na krótko. Poczulem jak ktoś dobiera się do mnie. Wolno otworzyłem oczy, a to Joyce, jak oszalała psychopatka wpatrywała się we mnie. Była naga, jej piersi dyndały nad moim nosem, a jej włosy lachotały mnie w podbródek. Pomyślałem więc o jej milionach, wrzuciłem pod siebie... i z całej siły wepchnąłem się w nią.

## 22

Nie. Joyce nie była prawdziwą „gliną” czy „polipem” - ona tylko z takimi pracowała. Po powrocie z pracy opowiadała coraz częściej o takim jednym, który nosił czerwoną szpilkę do krawata i miał być „prawdziwym dżentelmenem”.

- Ach, ten to jest naprawdę miły i dobry dla mnie.

Każdego wieczora musiałem coś o nim usłyszeć.

- No, jak się powodzi tej „czerwonej szpilce”?

- Ach, wiesz co - powiedziała. - Wiesz, co się dzisiaj stało?

- No nie wiem, dlatego pytam.

- Ach, on jest naprawdę prawdziwym dżentelmenem!

- To pięknie, to pięknie. A co się stało?

- Wiesz, on już tyle przeżył!

- Ty i ja też mamy już sporo za sobą!

- Umarła jego żona. Twoja jeszcze żyje, wiesz?

- Moja nie umarła i prędko mi tego nie zrobi!

- Nie bądź taki dowcipny! Powiedziałam tylko, że jego żona umarła i kosztowało go to piętnaście tysięcy dolarów - rachunki lekarzy i firm pogrzebowych.

- No i co?

- Schodziłam właśnie korytarzem na dół, kiedy on nadchodził z przeciwnego kierunku. Spotkaliśmy się. On popatrzył na mnie i powiedział z tym swoim tureckim akcentem: „Ahhha, ale pani jest śliczna!” I wiesz, co on zrobił?

- No nie wiem, maleńka. Ale ty mi to powiesz?

- On pocałował mnie w czoło, lekko, lekko, delikatnie. I poszedł sobie dalej!

- To teraz ja ci coś powiem, mała. On oglądał za dużo filmów.
- A skąd ty wiesz?
- Jak to skąd?
- Bo on jest właścicielem samochodowego kina. Po skończonej pracy w biurze obsługuje projektor filmowy!
- Niczemu się więc już nie dziwię.
- Ale on jest prawdziwym dżentelmenem, co?
- Wiesz mała, ja nie chcę cię obrażać, ale...
- Co, ale!
- No wiesz, ty pochodzisz z małego miasteczka. Ja już pracowałem w pięćdziesięciu różnych miejscach, może nawet stu. Nigdzie nie chciałem zagrzać miejsca zbyt długo. To, co chcę ci powiedzieć, to tylko to, że w tych biurach, w całej Ameryce, urzędnicy wymyślają sobie takie gierki i zabawy. I to wszystko z nudy, bo nie wiedzą co mają ze sobą zrobić, kombinują sobie, ogryzając paznokcie, takie różne podchody pod samice, nazywające się „biurowymi romansami”. W większości przypadków nie oznacza to nic innego, jak tylko zabijanie czasu pracy. Może, czasami, uda się takiemu jednemu czy drugiemu przewalić na biurko koleżankę z pracy - ale to i tak nie jest niczym więcej jak zapełnianiem czasu w godzinach służbowych. Tak samo jak wolny od pracy czas spędzony przy telewizorze czy graniu w kręgle, przy picciu piwa na sylwestrowym party. Ty musisz wreszcie pojąć, że to nic nie znaczy. Jeśli to pokapujesz, to te wszystkie incydenty nie będą więcej rozpałały twojej fantazji i nie pozostawią żadnych spustoszeń. Czy ty to rozumiesz?
- Ja myślę, że pan Patisian jest uczciwym człowiekiem.
- No, uważaj, bo nadziejesz się na tę jego czerwoną szpilkę od krawata i nie zapominaj, że ja tu jeszcze jestem. Lepiej nie chodź korytarzami, po których łażą te oślizłe jak węgorze typki. Oni są fałszywi, tak jak fałszywe są studolarówki.
- On nie jest fałszywy. On jest dżentelmenem. Prawdziwym dżentelmenem. Chciałabym, żebyś i ty był taki.

Nie miałem już ochoty na takie rozmowy. Usiadłem na łóżku z tabelą w rękę i zacząłem się uczyć Babcock Boulevard na pamięć.

Dzieliło się go na sekcje o numerach 14, 39, 51, 62.

Ale by się śmieli, gdybym oblał ten egzamin.

## 23

No i wreszcie wolny dzień. Wiecie, co zrobiłem! Wstałem wcześniej, przed powrotem Joyce do domu i poszedłem do sklepu, żeby coś kupić do zjedzenia... i chyba coś mi odbiło. Zamiast

kupić piękne czerwone steki czy nawet kurczaki do upieczenia, wpadłem na pomysł, żeby przyrządzić coś niezwykłego. Poszedłem więc tam, gdzie sprzedawano wszystko, co najbardziej orientalne i egzotyczne. Napakowałem w koszyk ośmiornice, morskie węże, ślimaki, kraby i morską zupę. Człowiek obsługujący kasę spojrzał na mnie dość szczególnie i wolno zaczął dodawać.

Kiedy Joyce wieczorem wróciła do domu, wszystko było już na stole, przybrane i odświeżone. Ugotowana morską zupa z krabami, cała furka złocistych, w maśle upieczonych ślimaków.

- To wszystko jest na twoją cześć - powiedziałem. Sam kupiłem, sam ugotowałem, sam przyrządziłem... żeby uczcić naszą miłość!

- A co tu leżą takie małe kupki? - zapytała.

- Ślimaki!

- Ślimaki!

- Tak, nie wiedziałaś, że od stuleci ci wielcy smakosze na Wschodzie rozkoszowali się takimi przysmakami. Radości jedzenia im nie brakowało, więc nam też jej dzisiaj nie może brakować. Te ślimaki są upieczone na maśle.

Joyce podeszła do stołu i ostrożnie usiadła.

Chwyciłem kilka ślimaków, wydłubałem, co było do wydłubania i wrzuciłem smakowite mięsko na język.

- To jest wspaniałe, baby, **SPRÓBUJ CHOCIAŻ JEDNEGO!**

Joyce wyskrobała jednego z muszli i wsadziła w usta, nie przestając gapić się na pozostałe leżące w złocistym tłuszczu i pachnące przyprawami. Ja w tym czasie miałem już pełne usta niezwykle smakowitej i kruchej morską zupy.

- Dobrze, nie?

Wolno i długo przeżuwała tego pierwszego ślimaka.

- Na złoto upieczone w maśle.

Chwyciłem palcami parę krabów i położyłem je na język.

- To są już setki lat tradycji, ta kuchnia ma już swoją historię. A teraz właśnie my jej kosztujemy. Jest niezwykła i bardzo smaczna!

Wreszcie przełknęła tego ślimaka. Pierwszego. Teraz grzebała w talerzu i się im przyglądała.

- To jest okropne! Okropne! One mają takie małe, skulone otwory odbytowe! Takie śmieszne małe tyłki!

- Baby, a co jest w tym takiego okropnego, co? Przycisnęła serwetkę do ust, wstała i wybiegła do łazienki. Wymiotowała, a ja z kuchni darłem się jak opętany:

- **A CO TY MOŻESZ MIEĆ PRZECIWKO TYŁKOM I DUPOM! TY MASZ TYŁEK, I JA GO**



TEŻ MAM! ŁAZISZ PO TYCH SKLEPACH I KUPUJESZ STEKI, ONE TEŻ KIEDYŚ MIAŁY DUPY I TO JAKIE! TE DUPIASTE STWORZENIA POKRYWAJĄ CAŁY GLOB! NIE JEST KŁAMSTWEM NAWET I TO, ŻE I DRZEWA MAJĄ DUPY! MAJĄ! TYLKO MY ICH NIE POTRAFIMY ODNALEŹĆ! JESIEŃ BYŁABY NAJLEPSZĄ PORĄ, BO WTEDY GUBIĄ ONE LIŚCIE! TWÓJ TYŁEK, MOJA DUPA, CAŁY ŚWIAT SKŁADA SIĘ TYLKO Z TAKICH UDUPIONYCH I Z TYŁKAMI!!! PREZYDENT TEŻ MA TYŁEK I ŚMIECIARZ TEŻ! SĘDZIA I MORDERCA TEŻ MUSZĄ MIEĆ PO JEDNYM... NAWET TEN Z CZERWONĄ SZPILKĄ DO KRAWATA TEŻ MA, A JAKŻE!!!

- Zaniknij się! Zamknij się wreszcie!!!

Wymiotowała dalej. Była nieodpartym produktem małomiasteczkowej mentalności. Otworzyłem butelkę sake... i przełknąłem parę artyleryjskich łyków.

## 24

Tydzień później, bo znowu udało mi się mieć wolny dzień, leżałem po podwójnym numerze przy tyłku Joyce i starałem się zasnąć. Ona spała już dawno. Zupełnie nagle rozległ się dzwonek u drzwi, wstałem, żeby je otworzyć. Przed drzwiami stał niewielkiego wzrostu mężczyzna w krawacie. Wręczył mi kopertę i poszedł sobie.

Była to sądowa informacja o rozpoczęciu przewodu rozwodowego. Moje miliony, tym razem zdecydowanie i ostatecznie, oddalały się ode mnie. Nie powodowało to mojego smutku czy żalu - bo tak naprawdę nigdy na nie nie liczyłem.

Obudziłem Joyce.

- Co się stało? Czy nie mógłbyś mnie obudzić o rozsądniejszej porze dnia?

Pokazałem jej pismo.

- Bardzo jest mi przykro, Hank!

- Nic się takiego nie stało, ale powinnaś mnie chociaż o tym uprzedzić. Nie wyrażałbym żadnego sprzeciwu. Właśnie skończyliśmy seksualną ekwilibrystykę, powtórzyliśmy ją także skutecznie, pośmieliśmy się... pocieszyliśmy się sobą. Jednak ja tego nie potrafię pojąć - ty wyczyniałaś te numery ze mną, wiedząc że występujesz o rozwód? Nawet, gdybym miał skończyć sto lat, nie pojmę was, kobiet, chyba już nigdy!!!

- To nie jest skomplikowane. Wystąpiłam o rozwód po naszej ostatniej kłótni. Pomyślałam sobie, że jeśli będę jeszcze czekać, to znowu pogodzimy się i nigdy tego nie zrobię.

- Okay, baby. Podziwiam was, te wszystkie tak piekielnie szczerze kobiety. Czy to aby nie ten z czerwoną szpilką przy krawacie?

- To jest ten - z tą czerwoną szpilką do krawata.

Zaśmiałem się. Ale nie był to śmiech ani wesoły, ani przyjemny, ani radosny. Przyznaję to.

Ale nie stać mnie było na inną reakcję.

- Wiem, to wiem, że jeden samiec może łatwo krytykować innego samca, ale ty będziesz miała z nim niemałe kłopoty i zmartwienia. Życzę tobie szczęścia, mała! I jak to już dawno wiesz, dużo było w tobie tego, co naprawdę bardzo kochałem. I nie były to wyłącznie twoje pieniądze.

Zaczęło się na dobre. Szlochanie, łzy, okrzyki duszone poduszką, histeria na brzuchu, histeria na plecach, całe ciało w drgawkach, tylko drgające kończyny górne albo dolne, albo wszystkie naraz. Nie była przecież nikim więcej, jak tylko dziewczyną z małego miasteczka, do tego rozpieszczoną, do tego zagubioną, i w świecie, i w sobie. Leżała na łóżku płacząc, w spazmach i w hektolitrach łez. Taki mały teatr. Okropne i okrutne. Koldra zsunęła się na podłogę, ja siedziałem gapiąc się w jej białe plecy, jej łopatki wystawały, jakby chciały przemienić się w skrzydła, przebijając skórę. Niewielkie, kościste łopatki.

Była bezradna i bezbronna.

Usiadłem koło niej, zacząłem głaskać i masować jej plecy, głaskałem, uspokajałem - a potem przyszło następne załamanie, rozpacz i łzy.

- Hank, tak cię kocham, ja cię naprawdę kocham, ja cię kocham, jest mi tak przykro, tak bardzo przykro!

Cierpiała rzeczywiście niebywale. Po chwili miało się wrażenie, jakbym to ja chciał tego rozwodu, a nie ona.

A potem, jak za starych dobrych czasów, trzasnęliśmy parę numerów. Ona miała pozostać w domu, zatrzymać geranie, psa i muchy. Nawet pomogła mi się spakować. Troskliwie układała spodnie w walizce, mościła w niej moje majtki, włożyła przybory do golenia. Kiedy byłem już spakowany, znowu beczała i wyła. Ugryzłem ją więc w ucho prawe i wyniosłem bagaże z domu. Wsiadłem do samochodu i wolno ruszyłem. Jeździłem ulicami tam i z powrotem, szukając szyldu z napisem „wolne pokoje do wynajęcia”. Nie było to dla mnie nic nadzwyczajnego ani nowego.

## ROZDZIAŁ III

### 1

Postanowiłem nie robić Joyce żadnych kłopotów z tym rozwodem, nie poszedłem także na rozprawę sądową. Joyce dała mi w prezencie stary i zużyty już samochód. I tak nie miała przecież prawa jazdy. Trzy czy cztery miliony przeszły mi koło nosa, no, ale praca w urzędzie pocztowym była jeszcze moja. Na ulicy spotkałem Betty.

- Widziałam cię kiedyś z tą twoją nową flama. Ty, to nie jest kobieta dla ciebie!

- Chyba już żadna nie jest dla mnie!

Opowiedziałem jej, że właśnie przeprowadzamy rozwód.

Wypiliśmy po piwie. Betty zestarzała się. I stało się to bardzo szybko. Roztyła się. Zmarszczki pokryły już całe jej ciało. Fałdy tłuszczu zwisały jej z gardła. Tak. To było smutne. Smutne było także i to, że ja także posunąłem się w latach. Betty straciła pracę. Pies wpadł pod samochód i zginął. Pracowała także jako kelnerka, ale straciła i tę pracę, kiedy knajpę rozwalono, a na jej miejscu postawiono biurowiec. Mieszkała w wynajmowanym w rozwalającym się hotelu pokoju. Czyściła w nim toalety i zmieniała pościel. Piła wino w dużych ilościach. Dała mi do zrozumienia, że moglibyśmy znowu żyć i mieszkać razem. Ja dawałem jej do zrozumienia, że może warto by było trochę jeszcze poczekać. Muszę dojść do siebie po tej wpadce z Joyce.

Kazała na siebie poczekać i poszła do swojego mieszkania. Wróciła w swojej najlepszej sukni, oczywiście w butach na wysokich obcasach, wymalowana i wypindrzona jak nigdy. Wszystkie te jej wysiłki nie dawały dobrego efektu, wręcz przeciwnie, były przerażająco żałosne i tragiczne.

Kupiliśmy butelkę whisky, trochę piwa i poszliśmy do mojego mieszkania na czwartym piętrze starej czynszowej kamienicy. Zadzwoniłem na pocztę i poinformowałem tych tam, że niedobrze się czuję i że prawdopodobnie będę chory. Usiadłem vis - a - vis Betty. Ona przerzuciła lewą nogę na prawą, wydawała mi się być trochę zakłopotana. Uśmiechała się. Przypominały mi się wtedy nasze dobre stare czasy. Prawie. Bo jakby czegoś teraz brakowało.

Zarząd urzędów pocztowych pielęgnował starą tradycję, że wysyłał do swoich chorych pracowników pielęgniarkę, która miała się upewnić, czy chory jest rzeczywiście chory, czy też może szwenda się po nocnych klubach i rżnie w pokera. Moje mieszkanie było bardzo blisko siedziby Głównego Urzędu Poczt, więc bardzo niewielkim nakładem czasu i pracy mogłem być skontrolowany. Dwie godziny gaworzyliśmy i piliśmy z Betty, kiedy nagle ktoś zastukał do drzwi.

- Co jest?

- Spokojnie - wyszeptałem - nic nie mów! Ściągnij te swoje obcasy, idź do kuchni i wstrzymaj oddech!

- IDE... IDE! - darłem się w stronę drzwi.

Szybko zapaliłem papierosa, żeby przytłumić mój alkoholowy oddech, poszedłem do drzwi i otworzyłem je, ale nie na całą szerokość. Oczywiście, że była to pielęgniarka. Ta sama co zawsze. Ona знаła mnie, a ja ją.

- Co dolega tym razem? - spytała rzeczowo.

Wypuściłem dym w okolice jej nosa.

- Kłopoty z żołądkiem.

- Jest pan tego pewien?

- To jest chyba mój żołądek, nie?

- Czy mógłby pan podpisać ten formularz, stwierdzając, moją tu obecność, a także i to, że zastałam pana chorego w domu?

- No, jasne.

Pielęgniarka wsunęła jakiś papier. Podpisałem to i szybko wypchnąłem na zewnątrz.

- Czy będzie pan mógł dzisiaj pracować?

- Tego, nawet gdybym bardzo chciał, nie mogę jeszcze powiedzieć. Jeśli będę czuł się lepiej, pójdę do pracy. Jeśli nie, to chcę zostać w domu.

Spojrzała na mnie z dezaprobatą i niezadowoleniem i poszła. Wiedziałem, że musiała poczuć mój przepity oddech. Czy mogła to wykorzystać przeciwko mnie? Prawdopodobnie nie, za dużo różnych papierów musiałaby wypisywać, a może pokładała się ze śmiechu teraz, z tego wszystkiego, co tu zobaczyła, wsiadając do samochodu z tą swoją małą czarną walizką.

- Wszystko w porządku - powiedziałem - zakładaj buty i wyłaź.

- Kto to był?

- Pielęgniarka pocztowa.

- Poszła?

- Mhmmm!

- I chce się tak im łączyć po godzinach pracy?

- O mnie nie zapomniała! A teraz chlapniemy sobie po całym!

Poszedłem więc do kuchni, nalałem po pełnym. Wręczyłem szklankę Betty.

- Salut - powiedziałem.

Podnieśliśmy szklanki i stuknęliśmy się. I wtedy właśnie zaterkotał budzik. A była to niebywała maszyna. Hałas spowodował skurcz wszystkich moich mięśni na plecach. Betty

podskoczyła w górę - prawie pół metra. To metalowe cholerstwo ledwo dało się wyłączyć.

- O rany - powiedziała - pewnie posikałam się ze strachu! Wybuchnęliśmy oboje gromkim wrzaskliwym śmiechem, a raczej rechotem.

- Miałam przyjaciela - powiedziała nagle. - Pracował w zarządzie dzielnicy. Ci, którzy wysyłali specjalnego inspektora, nie lubili, jak pracownicy brali wolne czy chorowali. Wieczorem siedzieliśmy z Harrym w jego mieszkaniu, lekko już na, gazie, a tu ktoś puka do drzwi. Harry krzyknął tylko: „o, Boże”! i wskoczył w ubraniu i w butach pod kołdrę. Ja schowałam butelkę i kieliszki pod łóżko. Ten typ wlaź już do mieszkania i usiadł przy Harrym na łóżku: „Jak się więc pan czuje, Harry?”. Harry spokojnie odpowiedział: „Nieszczególnie. A ona jest tutaj, żeby mnie pielęgnować”. Wskazał na mnie trzęsącym się palcem, a ja, pijana, ledwo mogłam się do niego mile uśmiechnąć. „Mam nadzieję, że wkrótce odzyska pan zdrowie i pojawi się w pracy” - stwierdził inspektor, i nic więcej nie mówiąc ulotnił się. Jestem pewna, że widział butelkę i kieliszki pod łóżkiem, a także Harry'ego obute nogi pod kołdrą. Ja siedziałam jak na rozgrzanych węglach.

- To takie ich gównianie gierki, nie chcą dać nikomu nawet jednej chwili wytchnienia, nie? Chcieliby wszystkich widzieć usranych ze zmęczenia.

- Masz rację.

Oczywiście, że popiliśmy zdrowo i oczywiście, że poszliśmy razem do wyra. Ale to już nie było tak jak wtedy. Nie! To już nie było to samo. Coś się stało z nami w międzyczasie. Popatrzyłem na nią, jak szła do łazienki. Zmarszczki i fałdy na pośladkach. Biedna. Biedne stworzenie. Joyce była jędrna i sprężysta, chwytając ręką jej ciało czuło się życie. Betty już tego nie dawała. To było smutne. To było smutne. To było smutne! A jak wróciła z łazienki, to nie śmialiśmy się, nie mieliśmy ochoty do śpiewania sprośnych piosenek, nawet nie kłóciliśmy się. Siedzieliśmy w ciemności, paliliśmy papierosy i piliśmy w milczeniu, a kiedy kładliśmy się spać, ani ja nie dotykałem jej ciała stopami, ani ona mojego, tak jak to zawsze było wtedy, kiedyś wcześniej - spaliśmy więc razem, nie dotykając się! Tak - coś straciliśmy, z czegoś nas okradziono.

## 2

Zadzwoń do Joyce.

- No i jak leci ta afera z czerwoną szpilką do krawata?

- Nie rozumiem - odpowiedziała.

- Jak on zareagował, jak mu powiedziałaś, że rozwodzisz się ze mną?

- Siedzieliśmy w kantynie naprzeciwko siebie.

- I co dalej?

- Wypuścił widelce i nie mógł zamknąć ust. A potem zapytał: „co?”.
- To znaczy zrozumiał, że ty podchodzisz do sprawy poważnie.
- Ale ja tego wszystkiego nie rozumiem. On unika mnie teraz. Kiedy widzi mnie na korytarzu, ucieka. Nie spotykamy się już nawet i w kantynie. Wydaje mi się... no tak... on jest chłodny... nawet zimny.
- Baby, chłopów jest na kopy! Zapomnij tego palanta. Obierz kurs na innego!
- Nie jest tak łatwo wybić go sobie z głowy.
- Wiedział, że masz forszę?
- Nie. Nic mu nie opowiadałam. Nic nie wie.
- No więc, jeśli ty go jeszcze chcesz...
- O nie, nie. W ten sposób na pewno nie.
- No, to powodzenia, Joyce.
- Powodzenia tobie także, Hank.

Niedługo po tej rozmowie dostałem od niej list. Była znowu w Teksasie. Ciotka ciężko zachorowała i chyba będzie musiała umierać. Znajomi pytali o mnie. I tak dalej. Serdeczne pozdrowienia - Joyce. Rzuciłem ten list na stół. Przed moimi oczami stanął ten teksański karzeł, dziwiący się, jaki to błąd musiałem popełnić, skoro tyle forsy wyciekło mi między palcami. Ten złośliwy liliput uważał mnie za niekiepskiego cwaniaka. Nagle zrobiło mi się przykro, że musiałem go rozczarować w ten banalny sposób.

### 3

Poproszono mnie o złożenie wizyty w starym budynku przedstawicielstwa federacji.

Jak to zwykle bywało, kazano mi czekać trzy kwadranse albo i jeszcze dłużej. A potem.

- Mr Chinaski? - spytał ten głos.
- Tak - odpowiedziałem.
- Proszę wejść do środka.

Jakiś urzędnik wprowadził mnie do pokoju i kazał usiąść przed zupełnie mi obcą kobietą. Nie była seksowna, miała 38 albo 39 lat. Odniosłem wrażenie, że jej seksualne ambicje albo zostały stłamszone przez nią samą, albo też były zupełnie przez nią samą ignorowane, czy też może zaniedbywane.

- Niech pan usiądzie, Mr Chinaski.

Oczywiście, że usiadłem.

Laleczko - pomyślałem - ciebie to ja mogę na wszystkie sposoby.

- Mr Chinaski - oznajmiła - mamy prawo przypuszczać, że pański kwestionariusz osobowy nie jest rzetelnie i uczciwie wypełniony.

- Co?

- Chodzi nam o dane dotyczące pańskiej karalności.

Podawała mi ten kwestionariusz osobowy. W jej oczach nie stwierdziłem ani śladu, ani też cienia czegoś, co umownie określamy mianem seksapilu czy kokieterii, czy pożądania, czy też ochoty na wzajemne nawiązanie bliższego kontaktu.

Przyznałem się do ośmiu czy dziesięciu przypadków, kiedy to zostałem umieszczony w izbach wytrzeźwień wielu stanów. Były to oczywiście szacunki, a nie dokładne dane. Nie miałem już pojęcia, co kryło się za każdym pojedynczym przypadkiem mojego pijaństwa.

- No więc, czy wszystko pan wymienił w tym formularzu? - spytała.

- Hm, hm, hm - niech pani łaskawie pozwoli, że trochę pomyślę.

Wiedziałem, czego ode mnie chciała. Chciała, żebym powiedział tak, i wtedy by mnie już miała.

- Chwileczkę... Hm, hm...

- Tak? - zapytała.

- Aha! Rany boskie, o jednym zapomniałem!

- O czym pan zapomniał?

- Nie wiem już czy to było pijaństwo w trakcie jazdy samochodem, czy zamroczenie alkoholowe przy kierownicy. To coś miało miejsce przed czterema laty albo coś koło tego. Dokładnie już sobie nie przypominam.

- I to uszło panu z, pamięci?

- Tak, dokładnie tak - gdyby mi nie uszło, byłoby to wymienione w kwestionariuszu osobowym.

- Proszę więc to wpisać teraz!

Nic innego mi nie pozostawało, jak to wpisać w te rubryki.

- Mr Chinaski - to jest przerażająca lista. Bardzo bym chciała, żeby pan opisał każdy przypadek z osobna, a dodatkowo prosiłabym pana o pisemne wytłumaczenie powodów, dla jakich pan chce dalej pracować w naszej instytucji.

- W porządku.

- Ma pan na to dziesięć dni.

Tu trochę przesadziła. Tak bardzo to mi nie zależało na tej pracy. Nie, nie - ona mnie irytuje jednak.

Kupiwszy ryzę poliniowanego i ponumerowanego papieru, zadzwoniłem wieczorem do pracy i zakomunikowałem suchym i rzeczowym głosem o mojej przedłużającej się chorobie. Wrzuciłem do torby także butelkę whisky, niebieską niezwykle urzędowo wyglądającą okładkę

do akt, sześć puszek piwa. Mając to wszystko przed sobą, zasiadłem do maszyny i zacząłem pisać. Słownik z wyrazami obcymi trzymałem na kolanach. Od czasu do czasu przerzucałem w nim strony, odnajdywałem jakieś kompletnie niezrozumiałe i długie słowo, i budowałem na nim zdanie, a niekiedy nawet cały fragment moich dodatkowych wyjaśnień. Koniec końców wypichciłem około 42 stron. Na samym końcu podpisałem: „Nie wyraża się zgody na publikowanie nawet zdania z załączonego dzieła ani w prasie, ani tym bardziej w telewizji”.

Moja głowa pękała, a mózg przyjął już płynną formę istnienia, którą można było nazwać rozwodnionym pierdem przeforsowanego intelektu członka klasy robotniczej.

Ona stała przed swoim biurkiem i przyjęła moje pismo osobiście.

- Mr Chinaski?

- Tak.

Była godzina dziesiąta rano. Dwanaście godzin temu żądała ode mnie złożenia tych papierów dopiero za dziesięć dni.

- Chwileczkę, proszę.

Z moim dziełem w rękach zasiadła za swoim biurkiem. Czytała, czytała i czytała. Jakiś typ pojawił się za jej plecami i rzucał spojrzenia nad jej ramieniem na poliniowane kartki. Potem ich przybywało.

Przez moment ośmiu takich stało za nią i gapiło się w te moje wypociny.

Co tu jest grane - myślałem coraz częściej.

Nagle dotarł do mnie okrzyk: - No jasne, wszyscy geniusze to opoje i moczymordy!!!

No i wtedy wszystko stało się dla mnie jasne. Oni musieli w swoich tych urzędniczych żyćkach oglądać za dużo filmów.

Nagle ona wstała, trzymając w rękach te 42 strony.

- Mr. Chinaski?

- Tak?

- Zajmiemy się jeszcze pańskim przypadkiem. O ostatecznych wnioskach powiadomimy pana. - Czy do tego czasu mam kontynuować swoje zadania?

- Do tego czasu będzie pan wykonywać swoje obowiązki.

- No to życzę przyjemnego przedpołudnia - tylko na to było stać mnie.

#### 4

Tego dnia przydzielono mi miejsce obok Butchnera. On nie zajmował się sortowaniem poczty. On siedział i gadał. Młoda panienska usiadła przy stole w samym jego końcu. Też sortowała. I wtedy usłyszałem Butchnera:

- Ty jebana ruro! Ty chcesz, żebym swojego kutasa wkręcił w twoją mufkę. Nie! Ty



chciałabyś, żebym ją sfryzował, nie!

Nie zareagowałem na to. Sortowałem dalej. Jakiś kontrolujący nas kapo mignął w oddali. Butchner nie przepuścił jemu także:

- Ty też stoisz na mojej liście, ty pedale jeden! Ja już cię dopadnę, ty obesrany palancie! Kutasina pierdolona! Liź, liź te pokrzywione wały!

Nikt nie zwracał na to uwagi. Nawet przełożeni udawali, że nic nie słyszą. Ale Butchner nie miał zamiaru kończyć:

- No, no ty uważaj, baby! Wyraz twojej twarzy przestaje mi się podobać. Uważaj, bo cię umieszczę na mojej liście - i to na samej górze! Tak! Tak! Do ciebie mówię! Co, a może mnie nie słyszysz!

Tego było już dla mnie za dużo. Rzuciłem przesyłki na stół.

- Ty słuchaj - powiedziałem do niego - biorę cię za słowo. Zobaczymy, ile prawdy jest w tym, co ty gadasz! Robimy to tu, czy też chcesz gdzie indziej?

Spojrzałem na Butchnera, a ten dalej konwersował z sufitem. Zupełnie już chyba oszalał.

- Powiedziałem ci już, stoisz na samej górze mojej listy. Ja już cię dopadnę. I wtedy będziesz zgrzytać!

Ach ty, Boże Przenajświętszy, jak mogłem się dać nabrać na takie coś! Inni siedzieli jak myszy pod miotłą, a ja wyczyniałem jakieś skandale. Wstałem, żeby przepłukać gardło. Przepłukałem to wszystko, co siedziało mi na języku i zaraz wróciłem na miejsce. Dwadzieścia minut później, zgodnie z regulaminem, odszedłem od stołu, żeby nacieszyć się dziesięciominutową pauzą. A tu staje przede mną strażnik, tusty pięćdziesięcioletni czarnuch i zaczyna drzeć ryja:

- CHINASKI!!!

- Gdzie to się pali, człowieku? - zapytałem.

- W ciągu ostatnich trzydziestu minut opuścił pan dwukrotnie miejsce pracy.

- No jasne, za pierwszym razem trwało to tylko trzydzieści sekund, żeby przepłukać sobie użębienie! A potem nastąpiła regulaminowa pauza!

- A gdyby stał pan przy maszynie pracującej w systemie ciągłym? Przecież pan nie mógłby zostawić dwa razy maszyny, i to w ciągu trzydziestu minut! Samej!!!

Na jego twarzy gotowała się wściekłość i agresja. Z takim czymś spotkałem się pierwszy raz w życiu. Nic z tego nie kapowałem.

- ZA OPUSZCZENIE MIEJSCA PRACY NALEŻY SIĘ PANU PISEMNE OSTRZEŻENIE.

- Proszę bardzo, niech pan mnie ostrzega - powiedziałem spokojnie.

Wróciłem na swoje miejsce obok Butchnera. Strażnik przybiegł z jakimś papierzyskiem.

Odręcznie pisane ostrzeżenie. Nie mogłem tego nawet przeczytać, bo jego złość i szal wyprodukowały parę kleksów i zupełnie nieczytelne krzywe szeregi wyrazów.

Zmiałem to natychmiast i wsadziłem do kieszeni na tyłku.

Temu humoryście rozpieprzę kiedyś łeb - skomentował Butchner.

- Oby to miało miejsce jak najwcześniej, oby to miało miejsce jak najwcześniej - dodałem spokojnie.

## 5

Więc zasuwało się dwanaście godzin na nocnej zmianie, a do tego pilna obecność tych „podglądaczy” i tak zwanych kolegów, brak powietrza wśród licznych, zapoconych cielsk, no i zupełnie rozgotowane, ledwo ciepłe zarcie w pracującej „nie dla zysku” kantine.

A szczytem tego wszystkiego była tabela CP I. City Primary. Każda z tych znanych mi aż za dobrze pocztowych tabel była niczym w porównaniu z City Primary I. Zawierała ona wykaz jednej trzeciej wszystkich ulic w mieście z podziałem na numery odpowiadające każdemu rejonowi pocztowemu. Mieszkałem w jednym z największych miast w USA. Tych ulic było tu jak mrówek. A wkrótce potem dowalili jeszcze CP II i CP III. W ciągu dziewięćdziesięciu dni trzeba było zdać egzamin w trzech podejściach, co najmniej 95 procent trafnych rzutów do odpowiednich przegródek ze stu egzaminacyjnych przykładów, ciągle w tej samej szklanej klatce, w ciągu ośmiu minut, a kiedy oblałeś kolejne podejście, mogłeś ciągle jeszcze marzyć o posadzie szefa General Motors jak to z uśmiechem powtarzał jeden z tych egzaminujących. Tych, którym się udało przejść przez egzamin z CP I, następne tabele nie przyprawiały o aż taki zawrót głowy. Ale dla większości, pracującej przecież w dwunastogodzinnych szychtach i bez wolnych dni, bo te były ciągle skreślane, oznaczało to całkiem niezłą sraczkę w głowie. Z tych 150 czy 200, którzy zaczęli razem z nami, teraz pocilo się na poczcie tylko 17 czy 18.

„I jak ja mam pogodzić dwanaście godzin pracy na nocnej zmianie, spanie, jedzenie, kąpanie się, jeżdżenie z pracy i do pracy, odbieranie ubrania z pralni, tankowanie, płacenie czynszu za mieszkanie, wymienianie opon, dawanie sobie rady z tym milionem małych rzeczy, jakie muszą być zrobione z wkuwaniem na pamięć tych tabel” - zapytałem jednego z tych instruktorów w pokoju szkoleniowym.

„Zrezygnować trzeba ze spania” - odpowiedział.

Popatrzyłem na niego. Nie. On nie żartował. Ten obesrany kundel powiedział to najzupełniej serio.

## 6

I tak się jakoś porobiło, że uczyć się mogłem tylko w łóżku i tylko przed zaśnięciem. Ciągle

byłem zbyt zmęczony - zmęczony, żeby przygotować sobie śniadanie, zmęczony, żeby wpychać w siebie jedzenie, ale jeszcze nie tak zmęczony, żeby odmówić sobie kartonu podwójnych puszek z piwem, kupowanych po drodze do domu. Stawiałem karton na krześle obok łóżka, wolno otwierałem wytęskniony pojemnik z piwem i po „mocarnym” łyku, nabierałem sił i dopiero wtedy, nigdy wcześniej, sięgałem po tabelę. Po trzeciej puszcze, to już też wiedziałem, odkładałem tabelę na kołdrę. Bezsens uczenia się stawał się boleśnie coraz bardziej oczywisty. Wypijałem więc to, co jeszcze było w kartonie i oparty o poduszkę gapiłem się przed siebie lub też wlepiąłem organy wzroku w sąsiednią ścianę. Po szóstej podwójnej puszcze, to już też znałem na blachę, zasypiałem. A kiedy wstawałem tego samego dnia o świcie, starczało mi ledwie czasu, żeby wbiec do klopa, umyć się, coś zjeść, ale nie zawsze, i jechać do pracy. Jakakolwiek zmiana w moim rozkładzie jazdy coraz bardziej wydawała mi się niemożliwa - a wszystko przez to pieprzone zmęczenie. Przepraszam! - raz spróbowałem kupić karton z piwem, naturalnie sześć podwójnych puszek, już w drodze do pracy, wszelako ten pomysł mógł mnie ostatecznie wykończyć. Bardzo bliski byłem orania publicznych chodników moim jedynym, wyjątkowym nosem. W takim właśnie stanie, a może podobnym, wracałem kiedyś do domu, prawie na kolanach leżąc po schodach do góry (windy nie było), cudem udało się odnaleźć dziurkę od klucza. Otworzyłem. Ktoś poprzestawiał meble, położył nawet nowy dywan. Zaraz, zaraz, meble też były nowe. Na łóżku siedziała kobita. Żle nie wyglądała. Młoda. Dobre nogi. Blondynka.

- Witam - powiedziałem - po piwku, co?

- Hallo - odpowiedziała - skoro tak być musi!

- Mieszkanie wygląda zdecydowanie lepiej - wymruczałem.

- Wszystko zrobiłam sama.

- No, ale po co?

- Miałam na to ochotę - odpowiedziała.

„Mocarny” łyk z jej strony, w towarzystwie takiego samego „mocarnego” łyka z mojej strony.

- Pani jest bardzo w porządku - powiedziałem. Odstawiłem puszkę i dał jej siarczystego buziaka. A potem położyłem rękę na jej kolanie. Też było niezłe. Następna porcja piwa smakowała dużo lepiej.

- Tak jest, mieszkanie wygląda zdecydowanie lepiej, prawie fantastycznie!

- Cieszę się bardzo. Mój mąż powiedział mi to samo.

- A dlaczego pani mąż przebywa w tym mieszkaniu... co? Pani mąż?

Tutaj!!! Sekundę! A jaki tu jest numer?

- 309.

- 309? - Boże Miłosierny!!! To nie to piętro! Ja mieszkam w 409!!!

Musimy mieć takie same zamki!!!

- Siadaj, siadaj, słodki - powiedziała.

- Nie! Nie!!!

Chwyciłem cztery puszkę z piwem. Po chamsku, gwałtownie, łapczywie, chciwie.

- A dlaczego chcesz zmykać tak od razu? - spytała delikatnie.

- Niektórzy mężowie, to szaleńcy! - powiedziałem w drodze ku drzwiom.

- A skąd ty to już wiesz?

- No... niektórzy mężowie kochają jeszcze swoje własne kobiety!

Roześmiała się.

- I nie zapomnij numeru tego mieszkania!

Zamknąłem drzwi za sobą. Udało mi się wejść na moje piętro. Otworzyłem drzwi. Nikt nie siedział na łóżku. Meble były stare i sfatygowane, dywan wypłowiały i brudny. Puste puszkę po piwie walały się wszędzie. Tak. Teraz byłem w swoich czterech zapyziałych ścianach. Rozebrałem się, włożyłem do łóżka i otworzyłem następną puszkę.

## 7

Paru weteranów z urzędu pocztowego w Dorsey powiedziało mi, jak nauczyli Dużego Daddy'ego Granstone'a posługiwać się magnetofonem do nauki tych jebanych tabel. Duży Daddy nagrał adresy wszystkich obsługiwanych przez siebie ulic w swoim obwodzie, a potem puszczał taśmę i słuchał własnego głosu nieustannie powtarzającego adresy i numery kodów. Duży Daddy nazywał się Duży nie bez przyczyny. Trzy kobiety wylądowały w szpitalu, i to tylko z powodu wielkości jego męskiego przyrodzenia. Niedawno przykumał sobie jakiegoś chłopaczka, pedałka. Carter, bo tak on się nazywał, też wylądował w klinice. Później przewieźli go aż do Bostonu. Artystycznie usposobieni weterani natychmiast puścili w obieg dowcip, dlaczego Carter musiał być przetransportowany do Bostonu... - bo na całym Zachodnim Wybrzeżu nie znalazłoby się aż tyle nici, żeby po rozkoszach z Dużym Daddym można go było nimi wycerować. Tak czy owak, postanowiłem wypróbować metodę z magnetofonem. Miałem nadzieję, że rozwiążą się problemy z wciskaniem tabel do mózgu. Mógłbym uruchamiać magnetofon przed zaśnięciem. Gdzieś wyczytałem, że we śnie, korzystając z darów podświadomości, można uczyć się szybko i trwale. Wydawało mi się to niezwykle przyjemne, a nawet bardzo atrakcyjne. Kupiłem sobie i magnetofon, i parę kaset. Nagrałem wszystko, co trzeba na taśmy, ustawiłem puszkę z piwem w zasięgu ręki, wskoczyłem ochoczo do łóżka i zacząłem się wsłuchiwać.

NO, A POTEH HIGGINS DZIELĄCA SIĘ NA 42 HUNTER, 67 MARKLEY, 71 HUDSON, 84 EVERGLADES! CHINASKI - SŁUCHAJ DOBRZE!!! - PITTS - FIELD DZIELI SIĘ NA 21

ASHSGROVE, 33 SIMMONS, 46 NEEDLES - CHINASKI, CZY TY JESZCZE SŁUCHASZ? - CHINASKI!!! - WESTHAVEN DZIELI SIĘ NA 11 EVERGREEN, 24 MARKHAM, 55 WOOD - TREE - CHINASKI! - UWAGA!!! –

CHINASKI!!! - PARCHBLEAK DZIELI SIĘ...

To też nie zaskoczyło. Mój własny głos usypiał mnie natychmiast. Po trzeciej puszcze piwa, co już wiedziałem od dawna, nic, koniec, ciemność, poruta i odjazd!

Po kilku jeszcze próbach przestałem zamęczać się moim fatygującym mnie głosem, a wymięte tabele miącznałem o ścianę. Zgodnie z codziennym rytuałem dopiłem szóstą, podwójną puszkę i zasnąłem.

Nie dawało mi to spokoju. Myślałem nawet, żeby odwiedzić psychiatrę. Nawet wyobrażałem sobie, jak mogłoby to wyglądać.

- No i co młody człowieku!

- Problem jest taki...

- Proszę mówić dalej. A może chce się pan położyć na kozetce?

- Nie! Nie! Bo jak zasnę?

- Proszę mówić dalej.

- No... ja muszę mieć tę pracę.

- To bardzo rozsądne!

- Ale ja muszę wyryć jeszcze te trzy tabele na pamkę i zdać egzamin! Inaczej lecę na morde!

- Tabele? A co to są za tabele?

- Więc to jest tak, że ludzie bardzo często nie piszą kodu pocztowego. A my te wszystkie listy musimy sortować na okręgi. I dlatego powinniśmy znać wszystkie, nawet najmniejsze ulice w jednym okręgu, wbijać to wszystko do głowy... i to po dwunastu godzinach pracy, w nocy!

- No i co?

- A ja już nie mogę utrzymać tych papierów w palcach. Same lecą na ścianę!

- Pan nie może się tego nauczyć na pamięć?

- Nie mogę! Siedzę całą noc w takiej szklanej klatce, i muszę w ciągu ośmiu minut posortować prawie sto listów, z czego 95 procent musi być prawidłowo umieszczonych w odpowiednich przegródkach, bo jak nie, to wywalają mnie na bruk! A ja muszę mieć tę pracę!!!

- A dlaczego nie może pan nauczyć się tych tabel na pamięć?

- Po to jestem tutaj. Pan mi to powie. Chyba jestem jakiś przygłup! Cały ten system ulic, który dzieli się jeszcze na system ulic podrzędnych!!! Nie ma ani jednej takiej samej!!! Wszystkie są inne!!! Niech pan popatrzy.

I teraz dałbym mu tę sześciostronicową tabelę, zepniętą od góry spinaczem, zapisaną po obu

stronach ledwo czytelnym maczkiem. On przejrzałby to szybko. Psychiatry są bardzo zdolni.

- Żąda się od pana, żeby to wszystko wcisnąć do głowy?

- Tak jest, panie doktorze.

- No, młody człowieku - dopiero teraz oddałby kartki z powrotem - to nie jest prawdą, że jest pan jakimś przygłupem, bo nie może się pan tego nauczyć. Raczej powiedziałbym, że byłby pan przygłupem, gdyby chciał się pan tego nauczyć. Moje honorarium wynosi 25 dolarów.

I dlatego, i tylko dlatego, postanowiłem sam analizować własne problemy, a honoraria przeznaczać na inne, bardziej uciechne cele. No, ale coś trzeba było z tym zrobić. I zrobiłem. Miało to miejsce przed południem, za dziesięć dziesiąta.

Zadzwońłem do działu kadr.

- Pani Graves? Chciałbym mówić z panią Graves!

- Halo!

To była ona. Ta baba! Zawsze się z nią przekomarzałem, kiedy musiałem z nią coś załatwić.

- Pani Graves? Tu Chinaski. Skierowałem do pani pismo w odpowiedzi na zarzuty skierowane przez nią samą, w związku z danymi o karalności w moich aktach osobowych znajdujących się u pani w szafie. Nie wiem, czy pani sobie coś przypomina?

- O, tak! My o tym pamiętamy, panie Chinaski.

- Czy została już podjęta decyzja w tej sprawie?

- Jeszcze nie. W odpowiednim czasie zostanie pan powiadomiony.

- Cudownie! Ale mój problem ciągle pozostaje problemem!

- Nie rozumiem, panie Chinaski?

- Powinienem wkuwać tabelę CP I.

Zawiesiłem głos i pozwoliłem sobie na krótką pauzę.

- Panie Chinaski? - zapytała.

- Bo mnie się wydaje, że uczenie się tej tabeli na pamięć jest czymś, co przekracza moją najlepszą wolę!!! Pożera to tyle czasu, a do tego wszystkiego, może się okazać, że to wszystko będzie na próżno!... daremny trud! Przecież pani może mnie w każdej chwili wywalić z pracy. Niech pani nie udaje, że tego pani nie wie! Nie byłoby więc fair, żeby w takich okolicznościach żądano ode mnie świadomego nadwężania własnego mózgu, i to może na próżno!

- Pięknie pan to powiedział, panie Chinaski. Powiadomię jeszcze dzisiaj Biuro Szkolenia, że do czasu ostatecznej decyzji jest pan zwolniony z przymusu znajomości na pamięć tabeli CP I.

- Równie pięknie pani dziękuję, pani Graves.

- Dobrego popołudnia - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

I było to rzeczywiście bardzo dobre popołudnie. Po tych gierkach telefonicznych z kadrową,

postanowiłem pomylić pietra i odwiedzić siedzącą na łóżku sąsiadkę. W ostatniej jednak chwili odeszła mi chęć na ryzykowne eksperymenty. W nagrodę wrzuciłem jajka i szynkę na patelnię i zafundowałem sobie dodatkową butelkę piwa.

## 8

A ludzie odchodzili i odchodzili. Pozostało nas sześciu czy siedmiu. Tabela CP1 była dla wielu z nas przeszkodą nie do pokonania.

- Jak ty dajesz sobie radę z tabelami, Chinaski - pytali coraz częściej.

- U mnie jest wszystko w porządku, nawet bardziej niż pysznie!

Okay - to jak się dzieli Woodburn Ave?

- Woodburn?

- Woodburn!!!

- Koledzy, w godzinach pracy, kiedy umieram z nudów, nie dobijajcie mnie waszymi też nudnymi pytaniami. Chcę wam powiedzieć tylko tyle, że wszystko kiedyś ma swój koniec!

## 9

Święta Bożego Narodzenia Betty spędzała u mnie. Indyk został umieszczony w piecyku, a my chłodziliśmy się różnymi napojami. Betty ubóstwiała wielkie, ponadwymiarowe choinki. Drzewko musiało być smukłe i wysokie, nie niższe niż dwa metry i rozłożyste przynajmniej na jeden metr, upstrzone elektrycznymi świecami i lampkami, anielskim włosem i wszystkimi tymi lśniącoymi rupieciami. Wokół niej skomponowaliśmy miły, nie tylko dla oka, krąg butelek różnych gatunków whisky, a pod nią jedliśmy indyka i kochaliśmy się, zalewając każdy orgazm tak obficie, jak to tylko się dało. W czasie tych świąteczno - miłosnych zapasów, dostrzegłem, że śruba w za małym stojaku choinki obluzowała się, a przeciążona zabawkami drzewko chyliło się niebezpiecznie na nas. Musiałem wielokrotnie korygować jego położenie. Betty rozwaliała się na tapczanie. Odjechała. Ja siedziałem w gaciach na podłodze i piłem sam do siebie. Kiedy mnie powaliło, nie pamiętam. Wiem tylko to, że jakiś chrobot wybił mnie ze snu. Otworzyłem oczy. Gałęzie upindrzone gorącymi lampkami prawie przekłuwały mi oczy, a srebrne gwiazdy, niby srebrzyste ostrza mieczy, zbliżały się coraz niebezpieczniej. Nic nie rozumiałem. Nic nie kapowałem. Wyglądało na to, że koniec świata miał nastąpić lada chwila. Nie mogłem się ruszyć. Drzewko przywaliło mnie do podłogi na amen.

O BOŻE, O BOŻE, O BOŻE... LITOŚCI BOŻE ZMIŁUJ SIĘ... O BOŻE... O BOŻE!!!!... POMOCY!... KURWA!!!

Słodkie i kolorowe żaróweczki wypalały mi już skórę. Żadna zmiana ułożenia ciała nie była możliwa. Każdy najmniejszy ruch oznaczał bolesne poparzenia w nowych miejscach.

- AUUUUUUU!!!

Nie pamiętam, jak to się stało, że udało mi się wyczołgać spod tego świątecznego monstrum. Pamiętam tylko, że Betty przebudziła się i bezradnie podskakiwała na jednej nodze.

- Co się stało! Co się stało! - darła się wniebogłosy.

- NIE WIDZISZ, CO SIĘ STAŁO! TO PIERDOLONE DRZEWKO CHCIAŁO MNIE UBIĆ!!!

- Co?

- TAK! POPATRZ NA MNIE!

Całe ciało pokryte było czerwonymi planikami.

- Ach, ty biedny chłoptasiu - zakwilila.

Wyrwałem kable z kontaktu. Lampki zgasły.

- Ach, jakie to drzewko jest teraz biedne i smutne, prawie jak ty.

- Biedne i smutne?

- Tak, a było takie piękne!

- Włączymy je jutro rano. Teraz nie mam odwagi zbliżyć się do niego.

Betty skrzywiła się. Wiedziałem, że to się jej nie podoba. Czulem, że zaraz wybuchnie awantura. Chcąc jej zapobiec, ustawiłem wokół choinki wszystkie krzesła i dopiero wtedy zapaliłem świece. Tylko świece. Gdyby nadpalone były jej cycki albo jej tyłek, drzewko dawno leżałoby na chodniku przed domem.

Uznałem, że jestem dobroduszny i bardzo łaskawy.

Parę dni później odwiedziłem Betty w jej mieszkaniu. Siedziała pod ścianą urznięta w trupa, mimo że była dopiero dziewiąta rano. Nie wyglądała dobrze. Ale i ja nie wyglądałem lepiej. Na podłodze stało kilkanaście flaszek. Wyglądało to tak, jakby wszyscy sąsiedzi zmówili się i każdy z nich podarował jej po jednej butelce każdego gatunku. Było tam wino i wódka, brandy, scotch i whisky, same najtańsze sikacze.

- Kupa parszywych morderców! Gzy oni nie zdają sobie sprawy z tego, że jeśli wlejesz to wszystko w siebie, to cię nie ma!

Betty wreszcie spojrzała na mnie. To jedno, krótkie spojrzenie wyjaśniło mi wszystko. Nie po raz pierwszy, zresztą! Betty miała dwoje dzieci, które nigdy jej nie odwiedzały, nigdy nie pisały do niej. Była sprzątaczką w tanim hotelu. Kiedy ją poznałem, nosiła drogie kiecki i bardzo drogie buty na małych i piekielnie zgrabnych stopach. Była prawie piękną dupą, śmiejącą się, z dzikimi oczami, smukłą i wyprostowaną. Odeszła od jakiegoś bogatego samca, potem rozwiodła się, a on wkrótce spalił się w wypadku samochodowym. Po dużej wódzie. W Connecticut.

- Tej nigdy nie oswoisz, nigdy - mówili często do mnie.

- Betty - powiedziałem - wezmę ten cały skład do siebie, od czasu do czasu będę ci wydzielać



z tych zapasów po jednej butelce. Ja czegoś takiego nie używam!

- Nie dotykaj tego - odpowiedziała, nawet nie patrząc na mnie.

Jej pokój znajdował się na najwyższym piętrze hotelu, w którym pracowała. Siedziała teraz na krześle, wpatrzona w okno, obserwując poranny ruch uliczny. Podeszedłem do niej.

- Padam na pysk ze zmęczenia. Muszę iść do domu. Spróbuj, na Boga, nie wypić tego wszystkiego naraz, co?

- Bądź spokojny - mruknęła.

Pochyliłem się nad nią i pocałowałem. Po dziesięciu chyba dniach postanowiłem ją odwiedzić. Moje pukanie do drzwi pozostawało długo bez odpowiedzi.

- Betty! Betty! Czy wszystko w porządku?

Przekręciłem gałkę. Drzwi nie były zamknięte. Łóżko nie było pościelone, a na prześcieradle widniała duża krwawa plama. O kurwa - pomyślałem. Rozejrzałem się dokoła. Butelek nie było. Chciałem wyjść, a wtedy w drzwiach pojawiła się ta Francuzka w średnim wieku, właścicielka hotelu.

- Ona jest w szpitalu. Była bardzo chora. Odwieziono ją wczoraj.

- Czy ona to wszystko wypila sama?

- Nie zawsze sama.

Wybiegłem z hotelu. Pojechałem samochodem do szpitala. W recepcji siedziała znajoma mi osoba, więc szybko i bez ceregieli dowiedziałem się, gdzie Betty leży. W ciasnej i małej przestrzeni stały trzy czy cztery łóżka. Jakaś kobieta jedząca jabłko śmiała się do dwóch odwiedzających ją osób. Zasunąłem zasłony wiszące wokół łóżka Betty, usiadłem na krześle i pochyliłem się nad nią.

- Betty? Betty!

Położyłem rękę na jej ramieniu.

- Betty?

Otworzyła oczy. I znowu były piękne, spokojne, bardzo niebieskie i lśniące.

- Wiedziałam, że przyjdiesz.

Wolno zamknęła oczy. Wysuszone wargi nie dawały znaku życia. Żółta ślina kleiła się w kącikach ust. Małą ściereczką wytarłem jej spoconą twarz, ręce i szyję. Z gąbki wycisnąłem parę kropel wody. Zwilżyłem jej wargi. Odrzuciłem z twarzy włosy. Pogładziłem ją. Przez cały ten czas dochodziły mnie śmiechy tych trzech bab za zasłoną.

- Betty! Betty! Betty! Bardzo byłoby dobrze, gdybyś napiła się trochę wody. Nie za dużo. Mały łyeczek. Mały.

Nie reagowała. Próbowałem jeszcze przez dziesięć minut. Nic. Tylko w kącikach ust pojawiła

się ślina. Ja ją wycierałem, a orni pojawiała się znowu. Rozsunąłem szybko zasłony, popatrzyłem na te trzy wiedźmy, wyskoczyłem z pokoju i zwróciłem się do pełniącej dyżur siostry.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego nikt nie troszczy się o pacjentkę z pokoju 45, panią Betty Williams?

- To robimy, co możemy.

- Przy niej nie ma nikogo?

- Obchody w naszym szpitalu odbywają się w regularnych odstępach czasu.

- A gdzie są lekarze? Dlaczego nie widzę ani jednego lekarza!

- Lekarz już tam był dzisiaj.

- To dlaczego każecie jej leżeć jak kłoda, co?

- To, co trzeba robić, jest robione.

- ALE TO NIE WYSTARCZA!!! Zakładam się, że gdyby to był prezydent albo jakiś gubernator, albo burmistrz, albo srający pieniędzmi gangster, to cały pokój zapchany byłby lekarzami i sprzętem, pielęgniarkami i wszystkim, co trzeba. Oni by coś robili!!! Dlaczego każecie ludziom umierać? Czy to już jest grzech, że się jest biednym?

- Powiedziałam panu, że to, co trzeba, zostało wykonane.

- Pojawię się tu znowu, za dwie godziny.

- Czy pan jest mężem?

- Mieszkaliśmy razem, w luźnym związku, ale prawie jak mąż z żoną.

- Proszę zostawić adres i numer telefonu.

Wszystko to jej zapisałem i wyszedłem ze szpitala.

## 10

Uroczystości pogrzebowe wyznaczono na godzinę wpół do jedenastej, a z nieba lał się już żar. W największym pośpiechu kupiłem najtańszy czarny garnitur. Był to mój pierwszy, nowy garnitur od bardzo wielu lat. Udało mi się odszukać syna Betty Jechaliśmy właśnie jego nowym mercedesem benz. Przypadkowo wpadła mi w ręce kartka papieru z adresem jego teścia. Wykonałem chyba dwa telefony i już go miałem namierzonego. Jak przyjechał do szpitala, matka już nie żyła. Umierała, kiedy ja klóciłem się z telefonistkami, szukając jej syna. Chłopak miał na imię Larry, nie mógł jakoś znaleźć sobie nigdzie miejsca. Nagminnie kradł samochody. I to nie jakieś tam samochody, lecz wyłącznie samochody swoich przyjaciół. A inni przyjaciele pomagali mu zawsze wyjść z sądowych tarapatów. Po tym zwinęli go do woja, tam zrobił jakieś kursy, a po ukończeniu służby załapał się do wcale dobrej roboty. I wtedy przestał odwiedzać matkę.

- A gdzie jest pańska siostra - zapytałem go.
- Nie wiem.
- Niezły samochodzik, nie? Wcałe nie słychać pracy silnika.

Larry śmiał się. Lubił rozmowy o dobrych samochodach.

Trzy osoby odprowadzały Betty: syn, kochanek i mocno upośledzona na umyśle siostra właścicielki hotelu, Marcia. Marcia uporczywie milczała. Nigdy nie słyszałem, żeby powiedziała choć jedno słowo. Na ustach ciągle ten sam kretyński uśmiezek. Na głowie kępka suchych, żółtych włosów i kapelusz, zawsze krzywo spadający jej na czoło. Reprezentowała właścicielkę hotelu, pracodawcę Betty. Francuzka musiała pilnować interesów. Ja oczywiście, na niezłym kacu. Musiałem napić się kawy. Uroczystość jeszcze się nie zaczęła, ale za to pojawiły się pierwsze kłopoty. Larry odbył pokazową pyskówkę z katolickim księdzem. Pojawiły się wątpliwości, czy Betty rzeczywiście była prawdziwą katoliczką. Ksiądz zagroził odmową wykonania ostatniej posługi. Po długich, głośnych, kupieckich zmaganiach zawarto kompromis. Ksiądz zaproponował skróconą wersję obrządku. Lepsza skrócona niż żadna. Nawet z kwiatami mieliśmy niezły burdel. Zamówiłem krzyż, z różnych rodzajów róż. Kwiaciarka pracowała nad zamówieniem całe popołudnie. Ekspedientka знаła Betty bardzo dobrze. Przed paru laty, jak mieszkałem z Betty i z psem w tej okolicy, obie panie spotykały się często i obalały po niejednej butelczynie. To była Delsie. Zawsze miałem na nią ochotę, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Delsie zadzwoniła do mnie:

- Hank, w co oni pogrywają?
- A kto ma w co grać?
- Te typy z kostnicy!
- Co jest z nimi?
- Chłopcy chcieli zawieźć zamówiony przez ciebie wieniec, ale nie wpuszczono ich do środka. Powiedziano im, że kostnica pracuje tylko do osiemnastej. Ty wiesz, jaki to cholerny kawał drogi trzeba tam jechać, nie?
- I co dalej, Delsie?
- Pozwolono oprzeć wieniec na drzwiach wjazdowych, od środka. Zakazali wnosić kwiaty do lodówki. Czy im wszystkim już poodbijało, czy dopiero zaczyna im odbijać, tym zmrożonym kutasom, co?
- Nie mam pojęcia, co się wyrabia w świecie cmentarnych hien.
- Nie mogę przyjść na pogrzeb. U ciebie wszystko w porządku?
- Przyjdź! Przyjdź! Pociesz mnie trochę.
- Musiałabym targać ze sobą Paula.

Paul był mężem Delsie.

- To zapomnijmy o tym!

A teraz jechaliśmy samochodem na cmentarz, gdzie miała się odbyć skrócona ceremonia pogrzebowa Betty. Larry spojrzął na mnie.

- Sprawę pomnika załatwimy później. Teraz jestem zupełnie goły.

- Dobra, dobra - odpowiedziałem.

Larry zapłacił za kawę. Wyszliśmy z baru i wsiedliśmy do mercedesa.

- O rany, chwileczkę - zawołałem.

- Co jest - spytał Larry.

- Chyba czegoś zapomnieliśmy.

Wróciłem do baru.

- Marcia!!!

Siedziała dalej przy stole, wpatrzona w puste filiżanki.

- Marcia, jedziemy!!!

Wstała i uśmiechając się, poczłapała za mną.

Ksiądz coś czytał. Nie słuchałem tego wcale. Patrzyłem na trumnę. To coś, co teraz było w środku, było, jest jeszcze, dobrze mi znaną kobietą. Żar, słońce, oślepienie muchy włożyły wszędzie, szukając schronienia przed bezlitosnymi promieniami. W połowie skróconej wersji ceremonii pogrzebowej pojawiły się dwa typy w roboczych ubraniach, niosąc zamówiony przeze mnie wieniec w kształcie krzyża. Róże zwiędły zupełnie, dogorywały w piekielnym skwarze. Ci dwaj „lordowie” delikatnie ułożyli wieniec przy sąsiednim drzewie, opierając go o pień. Przy końcu ceremonii krzyż z róż złamał się w pół, a martwe kwiaty rozsypały się dokoła. Na napis na szarfie nikt już nie mógł zwrócić uwagi. A potem był koniec. Zbliżyłem się do księdza i podałem mu rękę: „Dziękuję”. On uśmiechnął się. Teraz już na dwóch twarzach dostrzegłem podobne uśmiechy: Marcii i księdza.

W drodze powrotnej Larry powiedział:

- Napiszę do pana w sprawie pomnika. Wkrótce.

To wkrótce trwa do dzisiaj.

Szybko wpadłem do mieszkania, przechyliłem butelkę whisky, duży łyk z wodą, jeszcze większy bez wody, z górnej szuflady zgarnąłem trochę forsy, i jeszcze szybciej zbiegłem na dół, do samochodu, a po chwili byłem już na wyścigach konnych. Właśnie zaczynały się pierwsze biegi, nie obstawiałem ich, bo nie miałem zielonego pojęcia ani o startujących koniach, ani o dżokejach. W barze dostrzegłem tę jasno - kakaową Murzynkę w starym, nieprzemakalnym

płaszczu. Rzeczywiście, ubierać to ona się nie umiała. Ale uległem własnemu dobremu nastrojowi i wyszeptałem jej imię, kiedy przechodziła niedaleko mnie.

- Vi, baby!

Zatrzymała się i podeszła do mnie.

- Co, i gdzie, i jak, i jak ci leci, Hank!

Znałem ją z pracy na poczcie, Pracowała w innym urzędzie pocztowym, przy wodociągach miejskich, była, a może tak mi się tylko wtedy wydawało, miłsza, sympatyczniejsza niż pozostałe jej koleżanki.

- Trzeci pogrzeb w ciągu dwóch ostatnich lat. Moja matka, później ojciec, a dziś przyjaciółka. Zamówiła coś do picia. Rzuciłem okiem na informację o biegach i typowaniach.

- Popatrzymy sobie na drugi bieg.

Przywarła do mnie, a ja do blatu baru. Te jej nogi! Te jej piersi, niczym sterczące ostrosłupy! Pod nieprzemakalnym płaszczem wyczuwało się wszystko, co trzeba, a nawet i trochę więcej.

Zawsze stawiałem na nieznane konie, mogące pobić faworytów. Jeżeli takich fuksów nie było, obstawiałem konia z największymi szansami na zwycięstwo. Po pogrzebie matki, a także po pogrzebie ojca, wygrywałem na wyścigach wcale przyjemne sumki. Te smutne ceremonie mają jednak i jaśniejsze strony - świat wydawał się być klarowniejszy i głośniej brzęczał monetą. Numer sześć, na dystansie trochę dłuższym niż jedna mila, przegrał z faworytem biegu o długość łba, ale wychodząc z zakrętu na prostą, był co najmniej dwie długości przed pozostałymi końmi. Przegrał na ostatnich centymetrach przed metą. Numer sześć obstawiano w tym biegu 35:1, a faworyta 9:2. I teraz te konie miały iść razem. Faworyt ważył dwa funty więcej, 118, a waga szóstki pozostała taka sama, 116. Zmieniono mu tylko dżokeja, na gorszego, bo przez nikogo nie lubianego. Dystans biegu miał wynosić jedną milę i jedną szesnastą. Tłum grających krzychał, że skoro faworyt wygrał z szóstką na dłuższym dystansie, to te marne dodatkowe metry nie powinny stanowić żadnego problemu. Wydawać by się mogło, że jest to logiczna kalkulacja. Ale biegi koni nie zawsze przebiegają w zgodzie z prawami logiki. Trenerzy kazały startować koniom w pozornie tylko niekorzystnych kombinacjach, unikając gonitw ze zbyt dużą liczbą startujących. Zmieniona długość biegu oraz wymiana dżokeja dawały nadzieję na bardzo interesujący bieg po dobrej cenie. Popatrzyłem na tablicę. W przedbiegu numer sześć był obstawiony 5:1, a w tym biegu już 7:1.

- Szóstka wygra - powiedziałem Vi.

- Nie wytrzyma - odpowiedziała sucho Vi.

- Wygra jak w banku - stwierdziłem i postawiłem dziesięć dolarów na zwycięstwo szóstki.

Szóstka obejmuje prowadzenie od startu, w pierwszym zakręcie, ocierając się o krzewy

rosnące wzdłuż toru, przechodzi na przeciwległą prostą, i tam nie naciskana, utrzymuje się w przodzie na jedną i jedną trzecią długości. Reszta na razie w tyle. Przyjmowano, że do ostatniego zakrętu szóstka pozostanie w przodzie, a wychodząc z niego, zacznie finiszować. Na ostatniej prostej, przed metą, można z łatwością wyprzedzić zmęczonego prowadzeniem konia. Tak mógłby wyglądać ten bieg. Ale trener zmienił taktykę. U wierzchołka zakrętu dżokej popuścił cugle, a koń skokiem pociągnął do przodu. Zanim pozostali jeźdźcy zdążyli spiąć swoje konie ostrogami, szóstka była już w przodzie na cztery długości. Na wejściu na ostatnią prostą dżokej trzymał konia „na ostro,” rozglądał się za siebie na lewo i prawo i cisnął na tempo. Szóstka to wytrzymała. Z tyłu doszedł gwałtownie do przodu faworyt, było 9:5, i to w piekielnym galopie. Odległość do prowadzącego konia zmniejszyła się w błyskawicznym tempie. Wyglądało na to, że faworyt bez żadnych kłopotów połknie będącą jeszcze na czele szóstkę. Faworyt miał numer dwa. W połowie ostatniej prostej dwójka zmniejszyła dystans do połowy długości i dopiero wtedy dżokej szóstki chwycił za szpicrutę. Dżokej dwójki okładał konia od samego startu, koń nie reagował więc na bolesne razy. Szóstka utrzymała swoją pozycję do mety, a ja popatrzyłem na tablicę zakładów.

Wzrosły one dla mojego konia do 8:1.

Wróciliśmy do baru.

- Tym razem nie wygrał najlepszy koń - stwierdziła Vi.

- Nie interesuje mnie, czy jest lepszy czy najlepszy. Ja tylko lubię, kiedy mój koń jest pierwszy na mecie. Zamów coś!

Wypiliśmy.

- No cwaniaczku, to teraz sprawdzimy teraz, czy uda ci się jeszcze raz ograć tych innych cwaniaków!

- Powiedziałem ci już, że po pogrzebie nie ma na mnie żadnej siły.

Wbiła swoją klatkę piersiową w moją. Incydent ten został uroczyście uhonorowany czystym scotch. W międzyczasie udało mi się rzucić okiem na kolejność następnych gonitw. Bieg trzeci. I właśnie wtedy nastąpił start. Ci macherzy od organizacji gonitw wciskają w ten sposób niezłą manianę grającym. Ludzie gorączkują się jeszcze po ostatnim biegu, przeklinają własne błędy w typach, liczą pieniądze albo chleją. Niepostrzeżenie te dwudziestopięciominutowe przerwy między biegami zawsze zamieniają się w czas roztrząsania tego, co już się stało, co już minęło, a nigdy w umysłową pracę nad ustalaniem taktyki typowania następnych, euforycznych zwycięstw. Trzecia gonitwa odbywała się na dystansie sześć razy jedna ósma mili. Faworyt, słynący ze swojej prędkości, był już na czele peletonu. Ostatni swój bieg, siedem razy jedna ósma mili przegrał na długość chrapów w ostatniej sekundzie, mimo że prowadził od samego

startu. Ósemką był oznakowany koń podziwiany za szybkość finiszowania. Wystartował nieźle, uplasował się na trzeciej pozycji, a na prostej odrobił trzy długości do faworyta. Cwaniaki za lornetkami rozgorączkowali się, dywagując, czy skoro ósemka nie dała rady faworytowi na dłuższym dystansie, może dać mu radę na krótszym?

Dywagując tak i bijąc pianę, tracili resztki zdrowego rozsądku i zazwyczaj przegrywali. Bo koń, który wygrał siedem razy jedną milę, nie startował w tym biegu.

- Obstawiamy ósemkę - powiedziałem do Vi.

- Za krótki dystans. Jego zryw na finiszu nic mu nie da - rzeczowo strzeliła Vi.

Ósemkę obstawiano 6:1, a teraz, w połowie dystansu, doszło do 9:1. Zainkasowałem wygraną z ostatniej gonitwy i postawiłem dziesięć dolarów na ósemkę. Przegrywa się zawsze, jak stawia się za wysoko albo wycofuje pieniądze, zanim bieg się skończy. Bo nagły strach i mokro w gaciach! Dziesięć dolarów było stawką bezpieczną i jakoś urokliwą. Faworyt walił do przodu. Pierwszy wyszedł ze startu, pierwszy doszedł do bandy i miał już dwie długości przewagi. Ósemka biegła za bardzo na zewnątrz na przedostatnim miejscu, wolno nabierając tempa. W ostatnią prostą faworyt wszedł pierwszy, ósemka na piątym miejscu wyszła na zewnątrz jeszcze bardziej i dopiero teraz dżokej zaczął okładać zady konia. Galop faworyta stawał się coraz krótszy, koń stracił siły, ale w połowie ostatniej prostej faworyt ciągle jeszcze miał dwie długości przewagi. Ósemka, niczym z podwójnym dopalaczem, przefrunęła obok faworyta, odbijając się od niego na dwie i pół długości na stumetrowym odcinku przed metą. Popatrzyłem na tablicę. Stawka nie zmieniała się 9:1. I znowu do baru. Vi zawiesiła się na mnie i przyłgnęła. Wygrałem trzy z pięciu ostatnich biegów. Wtedy jeszcze przeprowadzano ich osiem, a nie dziewięć, jak to dziś ma miejsce. A zresztą osiem i tak było za dużo na tej jeden „pogrzebowy” dzień. Kupiłem sobie parę cygar i wsiedliśmy do samochodu. Vi nie miała auta, przyjeżdżała zawsze autobusem, ale nigdy nim nie odjeżdżała. Po drodze kupiliśmy butelczynę whisky i pojechaliliśmy do mnie.

## 12

Vi rozejrzała się.

- I jak taki mężczyzna jak ty może mieszkać w takim „krajobrazie”?

- O to pytają mnie wszystkie.

- To jest gorsze niż skład złomu!

- Troszczę się o to, żeby żyć najskromniej.

- No to chodźmy do mnie.

- Okay.

Znowu umościliśmy się w samochodzie, a ona wskazywała mi drogę. Kupiliśmy jeszcze dwie

buteleczki, steki, jarzyny, dodatki do sałaty, kartofle, chleb i parę jeszcze butelek.

Nad wejściem do czynszowej kamienicy, gdzie mieszkała Vi, wisiała okazałych rozmiarów tablica, pomalowana czerwoną farbą.

HAŁASY I WRZASKI, WSZELKIEGO RODZAJU, SĄ NIEDOZWOLONE. APARATY TELEWIZYJNE NALEŻY WYŁĄCZAĆ O GODZINIE 22. CIĘŻKO PRACUJĄCY MIESZKAŃCY TEGO DOMU POTRZEBUJĄ CISZY I NOCNEGO SPOKOJU.

- To o telewizorach bardzo mi się podoba - powiedziałem jej.

Wsiadliśmy do windy. Vi miała śliczne i małe mieszkanie. Zakupy zanieśliśmy do kuchni, znalazłem dwie szklanki, nalałem.

- Wypakuj to wszystko. Ja zaraz się pojawię.

Wypakowałem więc wszystko, położyłem na stole. Wypiłem. Nalałem sobie znowu. I wtedy pojawiła się ona. Odwalała się w wcale gustowną kieckę. Klipsy. Wysokie obcasy. Bardzo mini. Była w porządku. Trochę może, no ciut, za nisko osadzona, ale „chrupiący” tyłek, kształtne uda i ostre piersi robiły wrażenie. Na pewno długodystansowa w łóżku.

- Witam panią serdecznie - powiedziałem. Jestem znajomym Vi. Ona zaraz się tu pojawi. Może coś do picia? Głośno śmiała się, a ja chwyciłem ją w pasie i przyciągnąłem to silne ciało do siebie. Całowaliśmy się. Jej usta były zimne jak diamenty, ale smakowały całkiem w porządku.

- Głodna jestem, pozwól, że coś ugotuję.

- Też jestem głodny. Pożarłbym ciebie. Natychmiast.

I znowu się głośno zaśmiała. Szybki, krótki pocałunek, moje ręce na jej jędrnych i małych pośladkach, a potem poszedłem do pokoju, usiadłem, wyrzuciłem przed siebie szeroko nogi i głośno westchnąłem.

Mógłbym tu już zostać na zawsze - pomyślałem - a na wyścigach zarabiać forszę. Ona by się mną chętnie opiekowała, masowała mnie, nacierała olejkami, gotowała, rozmawiała by ze mną, kochała mnie i kochała się ze mną. Oczywiście, że kłótni nie dałoby się uniknąć. Taka to już jest ta kobieca natura! Trochę pokrzyzczyć, teatralnie pogestykulować, zawsze wyciągać na wierzch to, co najbardziej brudne a nie najpotrzebniejsze, a później te kaskady przyrzeczeń i uroczystych zapewnień. W tym byłem najslabszy. Wypite w kuchni drinki rozgrzały mnie na tyle, że myśl o wyprowadzeniu się stąd zaczynała się wydawać co najmniej niestosowna i tym bardziej nieprzyzwoita.

Vi nie miała takich problemów. Pojawiła się ze szklanką w dłoni, usadowiła się na moich dolnych kończynach, zaczęła całować, językiem dotykając tylną część mojego podniebienia. „Bacność” w rozporoku zaskoczyło mnie samego. Chwyciłem jej pośladki i zacząłem je gnieść, ugniatać, masować i miesić jak ciasto.



- Chciałabym coś ci pokazać - powiedziała cicho.

- Ojej, ojej,.. nie tak szybko... nie tak szybko... poczekajmy jeszcze trochę... tak może godzinę po jedzeniu, co?

- Nie o tym myślę.

Przytuliłem się do niej i pozwoliłem jej robić wszystko, na co tylko miała ochotę.

Nagle wstała.

- Chciałam ci pokazać zdjęcie mojej córki. Ona mieszka teraz w Detroit u mojej matki. Jesienią tu wraca. Musi iść do szkoły.

- Ile ma lat?

- Sześć.

- A co z ojcem?

- Rozwiodłam się. Bezwartościowy palant. Chlał na umór i przegrywał na wyścigach.

- Rzeczywiście?

Przyniosła zdjęcie i wcisnęła mi między palce. Długo się w nie wpatrywałem. Tło wydawało mi się za ciemne. I nie tylko tło.

- Słuchaj Vi - ona jest naprawdę czarna! Na miłość Boga, nie mogłaś zrobić tego zdjęcia na trochę jaśniejszym tle?

- To po ojcu. Czarny dominuje. I czarny charakter też!

- Mhmmm. To jednak się widzi!

- To zdjęcie zrobiła moja matka.

- Musi być całkiem miłym stworzeniem, ta twoja córka, prawda?

- Tak... tak!... ona jest bardzo miła... i bardzo słodka!

Vi położyła mi zdjęcie na kolanach i wyszła do kuchni. Te zdjęcia, te albumy, te matki ze zdjęciami własnych dzieci. Ciągłe to samo, ciągle i wiecznie. Vi pojawiła się na krótko w drzwiach kuchni.

- Nie pij tyle! Wiesz, co nas jeszcze czeka!

- Tylko bez paniki, baby, dla ciebie coś się zawsze znajdzie. A i ja na tym też skorzystam! Wiesz, byłoby to bardzo wzruszające, gdybyś ty, własnymi rączkami, zmieszała wodę ze scotchem, dla kogoś, kto ma bardzo ciężki dzień za sobą.

- Zamieszaj sobie sam, blagierze i pyszałku!!!

Wykonałem więc zamaszysty obrót i włączyłem telewizor.

- Jeśli chcesz przeżyć raz jeszcze tak wspaniałe chwile, jak na wyścigach, to przynieś temu blagierowi i pyszałkowi coś do picia. I to natychmiast!

Vi postawiła na mojego konia w ostatniej gonitwie. Obstawiano go 5:1, mimo, że od dwóch

lat nie wygrał żadnego biegu. Zdecydowałem się postawić na niego tylko dlatego, bo tak na zdrowy rozum zakłady powinny być zawierane 20:1, a nigdy 5:11. Koń wygrał sześcioma długościami, i to bez padania na pysk. Nie wiem, jak to się stało, czy jak to pokombinowano, ale zwierzak zaprezentował fantastyczną klasę, od pracy zadów po chrapy. Spojrzałem w górę, a nad moją głową wisiała szklanka ukochanej cieczy.

- Dziękuję ci, baby!

- Tak jest, mistrzu - zaśmiała się Vi.

### 13

W łóżku wszystko odbywało się niby normalnie. Organ osiągnął niebotyczne wysokości, a ja próbowałem tego nie lekceważyć, ale... mocowałem się i mocowałem, „dorzucałem polan do ognia i dorzucałem,” Vi cierpliwie wszystko znosiła. Dręczyłem więcej siebie niż ją, bez wątpienia dużo wypilem.

- Bardzo mi jest przykro, baby - powiedziałem.

I nawet nie czekając na słowa najmniejszej pociechy, sturlałem się z niej na materac. I oczywiście usnąłem. W nocy sen urwał się nagle, jakby ścięty gilotyną. Vi radykalnymi metodami wrywała mnie z objęć pijackiego półsnu, półdrzemania, siadając okrakiem na jajach.

- A teraz uderz w galop! - krzykliwie zagrzewała. W galop, baby!

Od czasu do czasu, ale tylko od czasu do czasu, udawało mi się silnym pchnięciem wdrzeć w ciało Vi. Jej szeroko otwarte oczy, rozpalone pragnieniem i pożądaniem, patrzyły na mnie zwycięsko, a ja pozwalałem się gwałcić jasnokakaowej Murzynce i wściekłej babie w jednej osobie! Muszę teraz przyznać, że to podniecało mnie, ale tylko na krótko.

A potem poddałem się:

- Złaź, baby, mamy jednak bardzo ciężki dzień za sobą. Dobre czasy jeszcze przed nami!

Vi odwróciła się do mnie plecami, a organ, po rekordowych wysokościach, w rekordowo szybkim czasie zmarszczył się i skurczył.

### 14

Rankiem, pierwsze, co zarejestrowały moje uszy, to były kroki. Jej kroki. Łaziła z pokoju do kuchni i z kuchni do pokoju. Może było w pół do jedenastej. Czułem się bardzo nędznie i marnie. Nie miałem ochoty spojrzeć jej w twarz. Udam, że jeszcze śpię, jakieś piętnaście minut, a potem coś się musi stać - pomyślałem szybko.

Ale ona była jeszcze szybsza! Zaczęła tarnosić mnie za ramiona.

- Słyszysz mnie, chciałabym, żebyś zapakował się w gacie i zmiatał. Moja przyjaciółka pojawi

się tu zaraz.

- No to co? Ją też mogę zwalić!

- Oczywiście... natychmiast... fantastycznie - bardzo głośno roześmiała się Vi - ...oczywiście!

Bardzo powoli wstawiałem na nogi. Wszystko odbijało się we mnie niemiłosiernie, czekałem i chciało mi się rzygać. Udało mi się wejść w ubranie.

- Powodujesz teraz to, że zaczynam czuć się jak niewypał, awaria i defekt - powoli i stanowczo wydusiłem z siebie. To nie jest prawda, że nic we mnie nie ma! Coś dobrego musi być w każdym człowieku, więc i we mnie!

Byłem ubrany. Wolno udałem się do łazienki, ochlapałem twarz wodą, uczesałem włosy.

Gdybym mógł, choć trochę, uczesać także i tę twarz - pomyślałem sobie, gapiąc się w lustro - ale to się nie da.

Wyszedłem z łazienki.

- Vi?

- Tak.

- To był tylko alkohol. Tylko. To nie ma nic wspólnego z tobą. Ja to wiem. Przeżyłem to już parę razy. Twoje siwe włosy na pewno nie staną się bardziej siwe... z tego powodu. Nie wolno im.

- No to nie chlej tyle! Żadna kobieta nie lubi być wymieniana na butelkę scotcha!

- Słuchaj, przestań już robić z tego Waterloo, ty czarna emanco!

- Pieprz teraz, Hank!

- Potrzebujesz trochę pieniędzy, mała?

Z portfela wyjąłem dwadzieścia dolarów i dałem jej.

- Heeeee... jak chcesz być słodki, to nawet potrafisz, słodki!

Wolno przesunęła ręką po moich wargach, a ja pocałowałem ją najdelikatniej tam, gdzie kończy się górna warga a zaczyna dolna, albo odwrotnie.

- Jedź ostrożnie!

- No jasne, mała!

Jechałem ostrożnie, nawet bardzo ostrożnie, w stronę torów wyścigowych.

## 15

Zaproszono mnie do biura, na pierwszym piętrze, gdzieś na zadupiu korytarza. Kadry.

- Czy mogę się panu przyjrzeć, Chinaski?

Zaczął się przyglądać.

- Au... au... au... ale pan kiepsko wygląda. Najlepiej będzie jak sobie coś zaaplikuję.

I rzeczywiście zaaplikował sobie coś z niewielkiej buteleczki.

- Drogi pani Chinaski, bardzo bylibyśmy panu wdzięczni, gdyby zechciał pan opowiedzieć nam, gdzie spędził ostatnie dwa dni?

- Oplakiwałem kogoś i nosiłem żałobę.

- Oplakiwał pan?

- Pogrzeb. Stara przyjaciółka. Pierwszy dzień - kupa różnych dziwnych spraw do załatwienia, łącznie z rzucaniem grudek ziemi na wieko trumny. Dzień drugi - ścisła żałoba.

- I nie miał pan czasu na wykonanie jednego telefonu do nas, Chinaski?

- Zgadza się.

- A ja chciałbym coś panu powiedzieć, Chinaski, i mam nadzieję że to pozostanie między nami...

- Bardzo proszę.

- Jeżeli pan nas nie informuje, co się z panem dzieje... czy pan już wie, co chcę przez to powiedzieć?

- Niestety, nie.

- Panie Chinaski, jeżeli pan nas nie informuje, co się z panem dzieje, to znaczy, że przekazuje pan nam informację, że sra pan na pocztę!!!

- Rzeczywiście?

- A teraz, panie Chinaski, czy pan zdaje sobie sprawę, co to oznacza?

- Nie. A co?

Pochylił się nad stołem, wysunął twarz do przodu i wycedził:

- To oznacza, panie Chinaski, że poczta amerykańska może też osrać pana!!!

Wycofał swój łeb, ale dalej gapił się w moją stronę.

- Panie Feathers - powiedziałem - pan mnie może... czy pan już wie, co?

- Henry, tylko niech pan nie próbuje być bezczelny. Ja mogę pańskie żyćko tu... tu!... tu!!!... zamienić w piekło.

- Proszę zwracać się do mnie moim pełnym imieniem i nazwiskiem. Nie wydaje mi się, że zbyt dużo żądam od pana!

- Pan żąda respektu?...

- Tak jest. Żądam dokładnie tego! Pan chyba jeszcze pamięta, gdzie zaparkował pan swój samochód?

- A co to ma do rzeczy?! A może to szantaż???

- Czarni z tej dzielnicy ubóstwiają mnie, Feathers. Chyba będę musiał się im jakoś za to odwdziżyć?!

- Czarni ubóstwiają pana?

- Dają mi wody, kiedy mam pragnienie. Ja nawet walę ich kobiety. Czy też usiłuję to robić!

- Wspaniale... wspaniale... odchodzimy od naszego tematu, Chinaski. A teraz do pracy.

Wręczył mi jakiś świstek, zaświadczający, że byłem u niego. Chyba „pogoniłem” mu trochę strachu. Z czarnymi nigdy nie stałem na stopie wojennej, a z Feathersem właśnie zaczynałem. To, że on się przeraził, to było dla mnie jasne. Liczyłem przecież na to. Jednego takiego inspektora zrzucano ze schodów, drugiego przeciągnęli nożem po dupie, podobno komuś otworzyli brzuch, jak czekał na skrzyżowaniu na zielone światło, i to przed głównym wejściem do Stanowego Urzędu Poczтового. Sprawców nigdy nie odnaleziono.

Feathers, niedługo po naszej rozmowie, odszedł. Nie wiem, gdzie on teraz pracuje. Na pewno nie jest już urzędnikiem Głównego Urzędu Poczтового.

## 16

O dziesiątej po południu zadzwonił telefon.

- Pan Chinaski?

Natychmiast rozpoznałem ten kobiecy głos, i uruchomiłem te swoje gierki.

- Mmmmm - odpowiedziałem.

To była Graves, ten przykład nie adorowanego przeze mnie gatunku kobiety.

- Czy pan spał?

- Tak. Tak, Ale proszę śmiało mówić dalej, pani Graves. Nic nie szkodzi.

Trudno! Skoro się już stało!

- Wszystko zostało właśnie wyjaśnione. Nie mamy do pana żadnych zastrzeżeń.

- Hmm... hmmmmmm... hmmmmmm.

- Dokładnie za dwa tygodnie jest termin pańskiego egzaminu.

Tabela CP I.

- Co? Chwileczkę!... zaraz?... chwileczkę!!!

- I to wszystko na dzisiaj, panie Chinaski. Życzę przyjemnego dnia.

Odłożyła słuchawkę.

## 17

Nic innego mi nie pozostało, jak chwycić palcami te tabele i... Postanowiłem sobie ułatwić naukę i podzieliłem wszystkie dane na dwie grupy: wiek i płeć. Na przykład: jeden facet mieszkał z trzema kobietami. Jedną okładał pejczem (jej nazwisko było nazwą ulicy, a jej wiek numerem okręgu pocztowego), z drugą uprawiał tylko miłość francuską (jak wyżej), a z trzecią wiał się klasycznie (jak wyżej). W ten mój system włączyłem także grupy ryzyka, na przykład homos, a jeden z nich miał 33 lata (nazywał się Manfred Avenue)... i. tak dalej... i tak dalej.

Jestem pewien, że nie wpuściliby mnie pod ten szklany klosz, gdyby wiedzieli, co ja sobie myślę, patrząc na egzaminacyjne przykłady. Ci wymyśleni przeze mnie ludzie stawali się coraz bliżsi i coraz lepiej mi znani. Mimo wszystko, czasami nie mogłem opanować tych wszystkich „orgii” pętających się po mojej głowie. Przy pierwszym podejściu udało mi się tylko w 94 procentach. Dziesięć dni później, przy egzaminie poprawkowym wiedziałem już bezbłędnie, kto kogo i jak pierdoli - osiągnąłem maksimum. Sto procent właściwie posegregowanej korespondencji w ciągu pięciu minut. Wręczono mi nawet kiepsko skopiowany dyplom z życzeniami pomyślnej pracy od samego szefa naszego urzędu.

## 18

Wkrótce po egzaminie zostałem zaangażowany na stały etat, co oznaczało tylko osiem godzin pracy w nocy, cztery godziny krócej niż bez etatu, oraz płatny urlop i wszystkie święta państwowe. Z dwustu osób starających się o stały etat na poczcie, dotrwało do końca tylko dwóch. Ja byłem jednym z nich.

W pracy poznałem Dawida Janko, młodego białego dwudziestolatka. Błąd polegał na tym, że zacząłem z nim gadać, a tak się jakoś stało, że zahaczyliśmy o muzykę klasyczną. To był jedyny rodzaj muzyki, o którym miałem jako takie pojęcie, przez przypadek, a może nie, bo tylko tego mogłem słuchać, jak rano, po powrocie z pracy, leżałem w wyrze i wlewałem w siebie piwo. A jeśli taka muzyka wypełnia małżowinę uszną o poranku, to nie wiem, co należałoby zrobić, żeby o niej zapomnieć. Ona zostawała na zawsze. Po rozwodzie z Joyce zapakowałem do walizki, i to chyba nie był przypadek, dwa tomy dzieła „Życie kompozytorów dawnych i współczesnych”. Ci mężczyźni cierpieli potwornie przez całe swoje życie, podobnie jak ja, więc cieszyłem się, że mogłem się o tym dowiedzieć, że nie byłem w tym piekle osamotniony, ale na szczęście, na moje szczęście, nie potrafiłem i nie potrafię napisać ani jednej nuty. No, i wtedy zachciało mi się pouczestniczyć w dyskusji. Janko i jakiś drugi wszczęli ordynarną kłótnię w niezwykle subtelnym temacie muzycznym, postanowiłem więc, całkiem spontanicznie, załagodzić spór, podając dokładną datę urodzin Beethovena, pierwszego wykonania jego III Symfonii i szkicując mały esej (chyba tak trochę po łebkach) o relacjach krytyków na to dzieło. Tego biedny Janko nie mógł strawić! Zaczął mnie uważać za wykształconego, kulturalnego człowieka. Siedząc obok mnie na taborecie oskarżał się i lamentował nad swoją kulturalną nędzą, która, siedząc gdzieś tam głęboko w jego duszy, miała siać tam prawic morowe spustoszenie. Mówił o tym potwornie głośno, bardzo chciał być słyszany, i to przez wszystkich. Sortowałem przesyłki i musiałem słuchać i słuchać, i słuchać! Prawie bez końca! Coraz częściej łapałem się na tym, że wysilałem łeb do granic jego skromnych możliwości, poszukując metody ukrócenia tego potoku tematów i wątków albo jak zmusić tego biednego szczeniaka, żeby odkrył urok i powaby ciszy i błęgiego

spokoju - tym bardziej, że wychodziłem z nocnej szycy z cholernym bólem głowy, a dochodziłem do domu w połowie chory. Jak nie więcej! On mnie zabijał tym swoim głosem.

## 19

Pracę zaczynałem o 18.10, a Janko o 23.36 - czyli dobrze nie było, ale mogłoby być dużo gorzej. A ponieważ o 22.06 miałem półgodzinną pauzę, Janko siedział już na taborecie, kiedy ja wracałem najedzony i po kawie. Zawsze podstawiał mi krzesło pod tyłek. Janko uważał się nie tylko za wybitnego pięknoducha, ale także za wyjątkowego samca. Z jego zadreczających już mnie relacji wynikało niezbitnie, że jest napadany w ciemnych korytarzach przez same tylko wspaniałe kobiety, że jest przez nie śledzony całymi tygodniami, że nie dają mu spokoju. Biedny chłopczyzna! A ja jeszcze nigdy nie widziałem, żeby wykrztusił z siebie choć jedno słowo do naszych koleżanek z pracy, albo żeby chociaż jedna napadła na niego, kiedy wychodzi z kibla zapinając rozporek.

Zawsze witał mnie wrzaskiem:

- HEJ! HANK! CZŁOWIEKU, CO ZA RURA PODSTAWIAŁA MI SIĘ DZISIAJ!!!

On nie mówił. On krzyczał albo darł się. I to przez osiem godzin pracy na nocnej zmianie.

- BOŻE! - WGRYZAŁA SIĘ WE MNIE!!! MÓWIĘ CI, MŁODE TO, I TAK JUŻ DOŚWIADCZONE!!! ODJAZD TOTALNY!!!

A potem zapalał papierosa i wtykał mi go w usta. Spowiadał się ze wszystkich detali i szczegółów. Wszystkie wymyślone! A ja musiałem tego słuchać.

- WIESZ, MUSIAŁEM WYJŚĆ Z DOMU, WIESZ! TYLKO PO CHLEB... ROZUMIESZ!!!!...

Dowadywałem się, co powiedziała ona, i dlaczego tak, co on jej/odpowiedział, i dlaczego nie inaczej, co robili, a czego zaniechali, i dlaczego zaniechali...

Przegłosowano, że nieetatowi pracownicy pomocniczy mieli otrzymywać za każdą nadliczbową godzinę dodatek w wysokości pięćdziesięciu procent ich wynagrodzenia zasadniczego.

Nasi bossowie poradzili sobie z tym znakomicie, obciążając dodatkową pracą etatowych. Osiem albo dziesięć minut przed końcem pracy, około 2.48 nad ranem, rozlegał się komunikat z głośnika:

„Prosimy wszystkich o uwagę. Pracownicy etatowi, którzy zaczęli o godzinie 18.18. pracują dzisiaj jedną godzinę dłużej”.

Janko piał z radości, przysuwał się do mnie bliżej i sęczył mi dalej te swoje „trucizny”.

Prawie godzinę później, po dziewiątej godzinie pracy, ciepły głos z głośnika komunikował:

„Prosimy wszystkich o uwagę. Pracownicy etatowi, którzy zaczęli pracę o godzinie 18.18, pracują dziś dłużej o dwie godziny”.

To samo powtórzyło się raz jeszcze, po upływie godziny:

„Prosimy wszystkich o uwagę. Pracownicy etatowi, którzy zaczęli pracę o godzinie 18.18, pracują dziś trzy godziny dłużej”.

Janko nie zdawał chyba sobie sprawy, że gęba nie zamyka mu się ani na pół sekundy.

- SIEDZIAŁEM WŁAŚNIE W KANTYNIE, ROZUMIESZ!, A TU WALĄ TAKIE DWIE CAŁKIEM W PORZĄDKU UFRYZOWANE MUFKI!!! NO, MÓWIĘ CI, SIADAJĄ OBOK, JEDNA PO PRAWEJ, A TA DRUGA PO LEWEJ... ROZUMIESZ... KLIMATYZACJA SIADA!

Wykańczał mnie, a ja nie potrafiłem temu zapobiec. Myślałem wtedy o własnej przeszłości, ratowałem się zamykaniem się w sobie, aż tu pewnego dnia oświeciło mnie, tak, wszystkie mocno walnięte pijusy ciągnęły do mnie. Ja byłem im potrzebny. Tylko po co? Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym Janko wręczył mi... swoją właśnie ukończoną powieść. Nie potrafił pisać na maszynie, oddał więc manuskrypt do biura przepisywania na maszynie. Powieść zapakowana była w niezwykle elegancką skórzaną okładkę. Tytuł piekielnie romantyczny.

- CIESZYŁBYM SIĘ, GDYBYŚ TO PRZECZYTAŁ - głośno skwitował.

Aż do tego stopnia... - nie chciało mi się kończyć zdania.

## 20

Powieść zawiozłem do domu. Otworzyłem piwo, ulokowałem się wygodnie w wyrze i zanurzyłem w dziele.

Początek był wcale niezły. Autor opisywał siebie, małego chłopca, mieszkającego w ciasnym pokoju i często cierpiącego głód, bez pracy, bez szansy odwiedzania szkoły. Miał duże tarapaty z pośrednikami mającymi załatwić mu jakąś pracę, aż tu nagle poznaje w barze jegomościa, robiącego na chłopcu dobre wrażenie. Bohater zaczyna darzyć tego jegomościa przyjaźnią. Ten przyjaciel pożycza od małego Janko jakieś niewielkie sumy pieniężne, których chłopczyzna ma nigdy więcej nie zobaczyć. Bardzo uczciwy, rzetelny i poczciwy, mocno autobiograficzny początek. Może źle oceniam tego „autora” - myślałem coraz częściej o koledze z pracy. Postanowiłem więc opowiedzieć się po stronie bohatera powieści. Ale dzieło zaczynało się rozpadać, a kiedy autor zaczął opisywać swoje przeżycia dziejące się w znanym też i mnie urzędzie pocztowym, to wtedy cała sprawa rozmydliła się, a gęste sosy banalności czyniły ją ciężko strawną.

Im dalej, tym gorzej. Ostatni rozdział dzieje się w operze, właśnie wszyscy opuszczają łoże, żeby zapalić papierosa w kularach, a nasz bohater chce umknąć niejakiemu Mobowi, głupiemu i wulgarnemu naciągaczowi. To też mogłem jakoś jeszcze pokapować. Ale kiedy omijając jedną z licznych kolumn korytarza, zderzył się z niezwyklej urody damską, i oczywiście zniewalającą wdziękami istotą, która to istota o mało co nie byłaby przez niego staranowana, to wszystko



nagle zaczyna się dziać za szybko i za bezboleśnie. Tym bardziej, że autor serwuje nam taki oto dialog:

- „Och, bardzo mi przykro!
- Nic nie szkodzi.
- Naprawdę nie chciałem, mam nadzieję, że... jest mi bardzo przykro...
- Zapewniam pana, że nic się nie stało.
- Rzeczywiście... czy aby pani tak myśli?”

I taki dialog wali autor prawie na dwie strony! Musiało mu ostro odbić! Okazało się dalej, że ta kobietka, mimo że zdążyła już sama obejść wszystkie kolumny na wszystkich piętrach gmachu operowego, była ze swoim mężem, lekarzem, nie czującym się najlepiej w przybytku operowej muzy, a nawet nie rozróżniającym „Bolera” Ravela od de Falli „Trójgraniastego kapelusza”. I w tym momencie poczułem sympatię do lekarza.

Zderzenie przy kolumnie miało swoje reperkusje. Te dwie niezwykle wrażliwe i delikatne dusze spotykały się, wykorzystując różne muzyczno - koncertowe okazje, aż wreszcie kiedyś odwiedziły hotel w celu... (ten cel został przez autora jedynie zasugerowany, bowiem takie eteryczno - liryczne istoty nie mogły spotykać się w hotelu w zamiarze popierdolenia sobie odrobine). A potem to już tylko z góry na tępe pazury... piękna kobietka kochała swojego nie douczonego muzycznie lekarza, ale i zakochała się w bohaterze (Janko) powieści. A ponieważ nie znalazła pomysłu na rozwiązanie takiego równoramiennego trójkąta, musiała się zabić. Janko i lekarz zostali sami, każdy w swojej kałuży własnych łez.

Autorowi powiedziałem:

- Początek jest wcale, wcale... ale dialog przy kolumnie musisz albo wyrzucić albo radykalnie zmienić. Tej kupy nikt nie będzie chciał wachać...

- NIE - darł się jak zwykle - NIC NIE BĘDZIE ZMIENIANE!!!

Miesiące płynęły, a w regularnych odstępach czasu wpływały na moje ręce coraz to inne wersje autobiograficznej powieści Janko.

- JUŻ NIE PIERDOL - darł się jak zwykle autor. NIE BĘDĘ JEŹDZIŁ DO NOWEGO YORKU, ŻEBY LIZAĆ DUPY JAKIMŚ TAM WYDAWCOM!

- Słuchaj przyjacielu, dlaczego nie rzucisz w diabły tej roboty na poczcie! Wynajmij sobie skromny pokój i pisz, szlifuj te swoje talenty!

- TAKI TYP JAK TY MÓGŁBY TO ZROBIĆ - odpowiedział. - Z TAKIM PIJACKIM RYJEM. CIEBIE ZATRUDNIĄ ZAWSZE, BO MYŚLĄ: TAKI NIGDZIE ROBOTY NIE ZNAJDZIE, WIĘC BĘDZIE CICHOO SIEDZIAŁ U NAS. A ZE MNĄ JEST DUŻO GORZEJ. POPATRZĄ NA MNIE, NA MOJĄ INTELIGENTNĄ TWARZ, I ZARAZ ZACZYNAJĄ KOMBINOWAĆ, ŻE TAKI

INTELIGENT DŁUGO U NICH NIE ZOSTANIE, WIĘC NIE OPŁACA SIĘ GO W OGÓLE ZA-  
TRUDNIAĆ.

- Mówię ci jeszcze raz, mały pokoik, dużo papierów i ołówków. To jest moja rada.
- JA POTRZEBUJĘ POCZUCIA PEWNOŚCI I BEZPIECZEŃSTWA!
- Nie wszyscy artyści tak głośno się tego domagali. Van Gogh nawet o tym nie myślał.
- ALE FARBY DOSTAWAŁ BEZPŁATNIE OD BRATA! - zakrzyczał mnie mój młodszy kolega.

## ROZDZIAŁ IV

### 1

I stało się to, co się stać musiało. Wymyśliłem własny system obstawiania koni. I mimo że grałem tylko dwa czy trzy razy w tygodniu, zainkasowałem w ciągu półtora miesiąca ponad trzy tysiące dolarów. Zacząłem marzyć o małym domku nad morzem, widziałem się już w eleganckich garniturach, śpiącego do południa, bez stresów i neuroz, jeżdżącego importowanym samochodem na tor wyścigowy, biorącego udział w licznych biesiadach i spotkaniach, gdzie podawano kilogramowe steki, a przed i po nich zimne drinki w kolorowych szklankach. W marzeniach rzucałem już kelnerowi sute napiwki, paląc bardzo drogie cygara i wspierałem się o najpiękniejsze kobiety. Takie myśli zbyt szybko niepokoją głowę każdego gracza stojącego przed zakratowaną kasą, skąd powoli wysuwają się banknoty o dużych nominałach. Takie myśli tym bardziej niepokoją głowę każdego gracza, moją też!, jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że w przeciągu jednej minuty i sześciu sekund, bo tyle trwa gonitwa na trzy czwarte mili, można zarobić równowartość miesięcznego wynagrodzenia za pracę na poczcie!

Stałem właśnie w biurze pełniącego dyżur inspektora. On siedział po drugiej stronie biurka. Trzymałem w ręku cygaro i wydmuchiwałem z siebie opary whisky z ostatniej popijawy.

Pachniałem pieniędzmi. Czulem, że on to czuje.

- Panie Witers - łagodnie otworzyłem naszą rozmowę - poczta traktowała mnie zawsze bardzo dobrze. Niestety, mam ostatnio liczne zobowiązania, które muszę załatwić błyskawicznie. Jeżeli nie da mi pan długoterminowego urlopu, będę zmuszony prosić o przeniesienie mnie na emeryturę.

- Czy pan, panie Chinaski, nie korzystał już z przysługującego mu urlopu?

- Nie. Moje podanie zostało odrzucone. Tym razem nie powinien się pan posuwać aż tak daleko. Albo urlop, albo emerytura!

- Proszę wypełnić ten formularz, a potem ja go podpiszę. W ramach przysługujących mi kompetencji mogę dać panu dziewięćdziesiąt dni roboczych urlopu.

- No, i bosko! - powiedziałem, powoli wypuszczając niebieski dym spalanego przeze mnie bardzo wytwornego, więc i drogiego cygara.

### 2

Wyścigi konne odbywały się teraz na wybrzeżu, sto pięćdziesiąt kilometrów na południe. Dalej opłacałem czynsz za mieszkanie w mieście, wsiadałem w samochód i jechałem wybrzeżem w tamtą stronę. Raz czy dwa razy w tygodniu wpadałem do mieszkania, przeglądałem pocztę,

spałem i wracałem na tor. Pyszne życie. Może dlatego, że zaczynałem naprawdę wygrywać. Po ostatnim biegu dnia fundowałem sobie w barze drinka, a potem piwo, nie oszczędzając na napiwkach dla obsługi. Nowe życie - tak to sobie nazwałem. Nic nie może mi go zakłócić.

Pewnego popołudnia odechciało mi się siedzieć na torze i przed ostatnim biegiem ulokowałem się przy barze. Obstawiałem pięćdziesiąt dolarów za wygraną. Jeśli się ma pieniądze, a do tego się jeszcze wygrywa, to jest to dokładnie to samo, jakby stawiało się pięć czy dziesięć dolarów na wygraną.

- Scotch z sodą - powiedziałem barmanowi. Ostatniego biegu posłuchamy sobie przez głośnik.

- Jakiego konia pan obstawił?

- Blue Stocking pięćdziesiąt za wygraną.

- Dużo za ciężki i za tłusty.

- Jeśli się nie mylę, to miał być dowcip? Tak? Dobry koń w biegu o sześć tysięcy dolarów może z palcem w dupie ważyć więcej niż 110 funtów! Jest jeden tylko warunek - pozostałe konie powinny być dużo cięższe.

Naturalnie, że nie była to przyczyna, dla której postanowiłem postawić na Blue Stocking. Staralem się puszczać w obieg fałszywe informacje, i uwolnić się od pewnego typu ludzi, nazwanych przeze mnie „podrabiaczami”. Nie było wtedy jeszcze transmisji telewizyjnych. Słuchało się sprawozdania radiowego.

Tego dnia wygrałem już 380 dolarów. Wpadka na ostatnim biegu zmniejszyłaby mój utarg dzienny netto tylko o pięćdziesiąt dolarów, trzysta trzydzieści dolarów na czysto, to dobry zarobek na jeden dzień.

Słuchaliśmy. Sprawozdawca wymieniał imiona wszystkich koni, ale mojego nie było. Myślałem, że może upadł i został wycofany z wyścigu. Konie wbiegły na ostatnią prostą, zbliżały się do celu, sprawozdawca wył do mikrofonu. Zła sława tego toru polegała na tym, że ostatnia prosta była niezwykle krótka i wymuszała na koniach i dżokejach maksimum sprawności i skuteczności. Ale zanim konie przebiegły linię mety, sprawozdawca zdartym już głosem zaanonsował: „i nagle na czoło wysuwa się Blue Stocking... mknie po przeciwległym torze, zbliża się do celu... nikt nie jest w stanie mu zagrozić... i wygrywa Blue Stocking!”.

- Przepraszam pana na chwilę - powiedziałem do barmana. - Zaraz wracam. Proszę przygotować podwójną whisky z wodą.

- Natychmiast - odpowiedział barman, jakby to on wygrał ten bieg.

Poszedłem do kasy. Blue Stocking obstawiano 9:2. Mogłoby być trochę więcej, jakieś 100:10, ale tak naprawdę, to tym razem chodziło mi o zwycięstwo tego konia, a nie o szmolec. Mimo

wszystko chętnie zainkasowałem 250 zielonych i parę mniejszych banknotów.

- Jak będzie pan obstawiał jutro? spytał barman po moim powrocie.

- Do jutra mamy jeszcze dużo czasu. No i przyjdą na świat zupełnie nowe konie! I to jest najważniejsze!!!

Wypiłem i zostawiłem mu dobry napiwek. Jednego dolara.

### 3

Wszystkie wieczory wyglądały podobnie. Jechałem wybrzeżem, wyszukując sobie restauracje, gdzie można było spokojnie i w ciszy zjeść kolację. Tam, gdzie było cicho, było też i dość drogo. W trakcie tych wieczornych wypraw wykształciłem w sobie ekstra zmysł podpowiadający mi gdzie warto, a gdzie nie warto bywać.

Nie wszędzie można było dostać stolik z widokiem na ocean, chyba, że było się gotowym odczekać przy barze czasami godzinę, a bardzo często dłużej. Ja bardzo lubiłem te stoliki. Ocean i księżyc zawsze nastrajały mnie romantycznie, wpatrzony w nie cieszyłem się życiem i tym, że potrafiłem żyć. Bardzo często więc czekałem przy barze na wolny stolik przy oknie. Mała sałata i duży stek, bo to ciągle zamawiałem, smakowały wtedy najlepiej. Obsługa, odpowiadając na moje uśmiechy, też się uśmiechała, ocierając się w przelocie o mnie, co dodatkowo podnosiło temperaturę spożywanych potraw. Tę sztukę uwodzenia obsługi w knajpach opanowałem perfekcyjnie w czasach, kiedy pracowałem w rzeźniach albo przemierzałem kraj, układając tory kolejowe, albo lepiałem z odpadów mięsnych ciastka dla psów, spałem na ławkach w licznych parkach, czy też wykonując wszelkie prace we wszystkich możliwych stanach Ameryki.

Po kolacji udawałem się na poszukiwanie motelu. I to zawsze trwało dość długo. Po drodze zatrzymywałem się w barach, piłem piwo i whisky. Omijałem motele oferujące pokoje z telewizorami. Szukałem prostego wyposażenia, wygodnego i czystego łóżku, gorącego natrysku, Komfortu, nigdy luksusu.

Życie może być cudowne. I tych jego cudowności było mi zawsze za mało.

### 4

Właśnie czekałem w barze na kolejny bieg i zobaczyłem tę kobietę. Bóg, czy coś podobnego, tworzy bez przerwy kobiety i wyrzuca je na ulice. Jedna ma za duży tyłek, druga za oszczędnościowe cycki, są bardzo szalone i mniej zwariowane, religijne i te, co wróżą z fusów, takie, które nie trzymają na wodzy swoich „wiatrów,” a także z za długimi nosami czy zbyt szczupłymi udami...

Ale od czasu do czasu pojawia się istota... boska? Kobieta pękająca w szwach... seks - maszyna, przekleństwo, początek i koniec Wszechrzeczy. Właśnie usiadła przy barze. Niestety,

nie obok mnie! Była mocno wstawiona. Barman nie chciał już jej niczego podawać. Zaczęła szemrać i głośno ryczeć, nawet kłać. Zadzwoniono na policję i te umundurowane polipy chwyciły ją za ramiona i ściągnęły ze stolika.

Wypiłem swojego drinka i zwróciłem się spokojnie do nich:

- Panowie! Panowie!

Popatrzyli się na mnie.

- Czy moja żona w czymś przesadziła?

- Przypuszczamy tylko, że jest bardzo mocno wstawiona. Chcieliśmy ją wyprowadzić na zewnątrz!

- Ma brać udział w następnej gonitwie?

Zaśmieli się z mojego durnego „cha cha cha - dowcipu”.

- Nie. Nie. Odstawimy ją na parking za torami.

- Ja sam to zrobię. Od tego jestem jej mężem. Także od tego!

- Nie zgłaszamy sprzeciwów. Prosimy zwrócić tylko uwagę na samopoczucie pańskiej żony.

Nie bawiłem się z nimi dłużej. Chwyciłem ją za rękę i usadziłem na stoliku.

- Niech Bogu będzie chwała, a i panu, skoro uratowaliście moje życie westchnęła.

Jej biodra musnęły okolice mojego pępka.

- Fantastycznie! Nazywam się Hank!

- A ja Mary Lou.

- Mary Lou - powiedziałem - kocham panią.

Roześmiała się.

- I mam nadzieję, że nie chowa się pani za kolumnami w operach?

- Nigdy niczego nie chowam - powiedziawszy to, zdecydowanym ruchem wypięła piersi do przodu.

- Chciałaby się pani czegoś napić?

- Zawsze! Ale ci tu nie chcą mnie już obsługiwać!

- Tu mają więcej barów, Mary Lou. Chodźmy na pierwsze piętro. Tylko nie krzycz i nie klnij.

To płoszy konie. Co pijemy?

- Wszystko i zawsze!

- Scotch z wodą?

- Natychmiast!

Piliśmy do końca biegów. Przyniosła mi szczęście. Wygrałem dwie gonitwy z trzech.

- Przyjechała pani samochodem?

- Tak. Z jakimś pokreconym, w krostach. Możemy o nim zapomnieć.

- Jeśli pani to potrafi, to ja tym bardziej.

W samochodzie rzuciliśmy się na siebie, a jej język wił się jak zagubiona żmija nerwowo szukająca wyjścia z pułapki. Jechaliśmy wybrzeżem w poszukiwaniu lokalu. Tego wieczora miałem szczęście. Stolik z widokiem na wodę był wolny. Wypiliśmy parę drinków, czekając na sałatę i steki. Wszyscy wlepiali w nią swoje ślepia. Zapaliłem cygaro, wiedząc już, że wyszukałem sobie kogoś rzeczywiście bardzo szczególnego. Każdy z gapiących się w naszą stronę wiedział, o czym ja myślę, Mary Lou też to wiedziała, a ja uśmiechałem się do samego siebie nad palącą się zapalką.

- Ocean - patrz, jak napiera, jak dobiera się do brzegu, i jak go zdradza, odpływając. A w nim miliony gatunków ryb, biednych stworzeń zwalczających się i pożerających się nawzajem. My chyba jesteśmy też takie rybki, tylko trochę wyżej, nad powierzchnią tej cudownej wody. A mimo to, jeden fałszywy krok, i po tobie. Czasami dobrze jest się nad tym zastanowić, nawet i przez krótką chwilę. Czasami wydaje się nam, że też opanowaliśmy sztukę pływania.

Wyciągnąłem następne cygaro i zapaliłem.

- Jeszcze raz to samo, Mary Lou?

- Tak jest, Hank.

## 5

Dojechaliśmy do hotelu. Stary budynek, elegancki, wlepiony w skarpe nad Oceanem. Dostaliśmy pokój na parterze, mogliśmy więc wsłuchiwać się w oceaniczną kąpiel, fale odchodzące i nadchodzące, mogliśmy wdychać zapach oceanu.

Nie przystępowałem do rzeczy od razu. Długo rozmawialiśmy, ostro grzejąc w żyłę. A potem usiadłem blisko niej i zaczęło się: rozebrałem się do naga, nie pozwoliłem zdjąć jej ani jednego własnego łaszka, zaniósłem ją do łóżka, wlałem na nią, policzyłem wszystkie jej żebra i najmniejsze chrząstki, rozbierając ją powoli, bez pośpiechu. A potem byłem w środku. Łatwe to nie było. Stawiała opór, na szczęście taktyczny, na szczęście długo to nie trwało. Dawno nie było tak wspaniale. Słyszałem wodę, słyszałem fale, słyszałem ją. Wydawało mi się, że robimy to tam, pod wodą. Trwało to wieczność. A potem stoczyłem się z niej, spocony i zmachany.

O ty Boże, co ty czynisz z ludźmi - wzdychałem - co ty z nami wyrabiasz! Kiedyś chciałbym się dowiedzieć, dlaczego właśnie w takich momentach Bóg zawsze pojawia się na samym końcu języka.

## 6

Następnego dnia pojechaliśmy zabrać jej rzeczy. Zostawiła je w którymś z bardzo licznych tu hoteli. Podejrzany typ z brodawką na nosie wyszedł nam naprzeciw. Nie powiem, że wyglądał

miło i ujmująco.

- I zabierasz się teraz z tym tu - zapytał Mary Lou, wskazując na mnie.

- Tak.

- Proszę! Proszę! Więc życzę ci dużo szczęścia!

Zapalił papierosa.

- Dziękuję ci, Hektor.

- Hektor, a co to za osrane imię?

- Po piwku - zapytał krótko.

- A jak - odpowiedziałem jeszcze krócej.

Hektor siedział na tapczanie. Poszedł do baru i przyniósł trzy butelki piwa. Niemieckie. Importowane. Nietanie. Nalał do szklanki i podał Mary Lou.

- Ty też ze szklanki? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Po chwili milczenia przecisnął przez ściśnięte wargi:

- Słuchaj, czy ty aby jesteś jednym z tych, co to wyobrażają sobie, że są wściekle samczo - męscy, a więc mogą pozwalać sobie na wszystko, nawet na wyryw obcej baby?

- Człowieku, nie mnie o tym sądzić. To jej sprawa. Jeśli woli być z tobą, to zostanie z tobą. Spytaj jej się sam!

- Mary Lou, zostajesz!?

- Nie, zmiotam z nim - odpowiedziała Mary Lou.

I wskazała na mnie palcem. Nagle poczułem się dowartościowany. Zwykle to ja musiałem odstępować innym kobiety. Tym razem było inaczej. Nie przeczę, było mi bardzo, bardzo przyjemnie. I dlatego postanowiłem uczcić to jeszcze jednym cygarem. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu popielniczki. Stała na toaletce.

Tylko przez przypadek zerknąłem w lustro, żeby zobaczyć jak dalece kac zdeformował mi twarz, i ujrzałem, jak on rzuca się na mnie, wymachując groźnymi pięściami. Na szczęście miałem w ręku butelkę z piwem. Zawirowałem nią i przywaliłem mu prosto w skrzywiony ryj. Poszły zęby, pociekła krew. Hektor upadł na kolana i zaczął wyć, trzymając ręce przy twarzy. I dopiero wtedy zobaczyłem sztylet. Nogą podsunąłem go do siebie i podniosłem. Długi. 22 centymetry. Nacisnąłem przycisk w rękojeści i ostrze wsunęło się do środka. Wsadziłem go do kieszeni. Silny kop w dupę powalił na podłogę cały czas wrzeszczącego Hektora. Przeszedłem koło niego i wypilem resztki piwa z jego butelki. Zbliżyłem się do milczącej Mary Lou i odwaliłem jej w twarz. Zaskrzeczała.

- Tandetna zdiro! Zwabiłaś mnie w pułapkę, tak! Chciałaś mnie sprzątnąć, razem z tym



cuchnącym gorylem, co! Za te marne i liche czterysta czy pięćset dolarów w moim portfelu, tak!

- Nie! Nie! - krzyczała.

Nagle obydwójce zaczęli drzeć się wniebogłosy.

Odwałem jej jeszcze jednego sierpa.

- Dziergasz się tak przez życie, szmirusko! Więcej wyobraźni, suko! Za parę setek rozpruła byś każdemu brzuch!

- Nie! Nie! JA CIĘ KOCHAM! HANK! JA CIĘ KOCHAM!

Chwyłem kołnierz jej niebieskiej sukni i pociągnąłem z całej siły. W strzępach pokazały się jej biodra. Nie nosiła biustonosza. Jak się ma taki cyc, jest to zupełnie zbędne.

Wyszedłem z hotelu, wsiadłem do samochodu i pojechałem na tory wyścigowe. Przez dwa czy też trzy tygodnie nerwowo oglądałem się za siebie. Myślałem, że znowu ujrzę jakiś sztylet. Nie ujrzałem. Mary Lou nie pojawiła się też więcej w barze. Hektora nie spotkałem nigdy więcej.

## 7

Gra na wyścigach przestała przynosić dochody. Wycofałem się z końskiego hazardu. Siedziałem w domu i czekałem na koniec mojego trzy miesiące trwającego urlopu. Nerwy nawalały bez przerwy. To wszystko przez te liczne pijaństwa. A i kobiety poczyniły mocne spustoszenie. One robią to bardzo skutecznie. I nawet wtedy, kiedy postanawiam sobie zamrozić na czas nieokreślony intensywność damsko - męskich podchodów, zawsze narobi się tak, że pojawia się taka jedna, i to właśnie ona nie daje nam odsapnąć. Wszystko zaczyna się raz jeszcze, ciągle od tego samego początku.

Wróciłem do pracy, a w kilka dni później natknąłem się na następną. Fay. Fay miała siwe włosy i zawsze była ubrana na czarno. Kolor ten miał stanowić wyraz jej protestu przeciwko wojnie. Nie miałbym nic przeciwko takim antywojennym demonstracjom, gdyby... Uprawiała pisarstwo, uczęszczała na odpowiednie kursy, a przede wszystkim zajmowała się tworzeniem własnej teorii ratowania od zagłady tego świata. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby ten świat chciała ratować dla mnie i tylko dla mnie... Żyła z alimentów przyznanych jej przez sąd na mocy wyroku w sprawie rozwodowej z jej byłym mężem. Mieli troje dzieci. Były mąż łożył na nie i na byłą żonę, czyli Fay. Jej matka od czasu do czasu wspomagała córkę przekazem pieniężnym albo czekiem. Fay pracowała może dwa czy trzy razy w całym swoim dotychczasowym życiu.

Janko, jak zwykle, zalewał mnie tonami swojego romantycznego i gównianego pisarstwa i potokami „intelektualnych” wynurzeń. Do domu wracałem z rozsądną od środka głową, którą bardzo trudno było mi donieść do łóżka. Do tego wszystkiego, prawie codziennie wyciągałem zaa wycieraczkę kary za niewłaściwe parkowanie. Wpadłem już w taką paranoję, że zaczęło mi

się wydawać, że za samo spojrzenie w boczne lustro zostaną ukarani mandatem, albo też wyprzedzony przez ciemny mundur na motocyklu, będę zaproszony do złożenia egzaminu kontrolnego.

Pewnej nocy wróciłem późno do domu. Walilem się z nóg. Nigdy jeszcze wyjęcie klucza z kieszeni i wsadzenie go w zamek nie kosztowało mnie aż tyle. Ostatkiem sił dotarłem do sypialni i zobaczyłem leżącą na łóżku Fay z buzią wyładowaną pralinkami, czytającą „New Yorkera”. Nawet się nie ruszyła. Nie powiedziała ani jednego słowa. Cudem dobiłem do kuchni, żeby wrzucić coś na język. Lodówka była opróżniona ze wszystkiego. Na stole i w całej kuchni przewalały się stosy brudnych garnków i naczyń. Odpływ w umywalce zatkany kompletnie. Wszystko pływało w ciemnej mazi resztek i odpadków, szklanki, kieliszki, przykrywki, a nawet papierowe talerze. Kwaśny smród wisiał w powietrzu.

Wróciłem do sypialni, gdzie Fay właśnie spożywała kolejną pralinę.

- Słuchaj, Fay - odważyłem się - ja wiem, że chcesz ratować świat. A czy nie mogłabyś zacząć tej wspaniałej akcji od własnej kuchni?

- Kuchnie nie mieszczą się w mojej koncepcji - odpowiedziała.

Chyba nie potrafię zdzielić po mordzie kobiety z siwymi włosami na głowie, usprawiedliwiałem się sam przed sobą. Poszedłem do łazienki. Napelniłem wannę wodą, gorąca kąpiel powinna uspokoić moje skołatane nerwy. I kiedy miałem już wejść do wanny, obleciał mnie nagle strach. Moje wymęczone ciało zeszywniało i zdrętwiało, i to tak, że nie odważyłem się wejść do wody. Bałem się, że utonę. W pokoju z trudnością udało mi się ściągnąć z siebie wszystko. Poczłapałem do sypialni i położyłem się koło Fay. Nie mogłem znaleźć sobie wygodnego miejsca. Najmniejszy ruch ciałem powodował niebotyczny ból.

Chinaski - wiesz o tym, że sam to ty możesz być tylko w drodze z pracy do domu i z domu do pracy.

Na brzuchu bolało najmniej, ale boleć nie przestawało. I tak zaraz będę musiał wstawać i znowu do roboty - myślałem - żeby chociaż zamknąć oczy, żeby przestały szczypać powieki, chociaż troszkę snu! Od czasu do czasu dochodził moich uszu szelest przerzucanych kartek i donośne mlaskanie językiem. Fay miała znowu jakiś wieczorny kurs. Czy ona wyłączy wreszcie to światło!

- Byłaś na kursie - spytałem, wciskając z bólu brzuch w materac:

- Martwię się Robbym.

- Aż tak kiepsko z nim - zapytałem. Co się stało?

Robby dochodził do czterdziechy i całe życie mieszkał z mamusią. Wspecjalizował się w strasznie śmiesznych, jak to mi opowiadano, nowelkach o katolickim kościele. Robb dowalał

katolikom, jak tylko i gdzie tylko potrafił. Mimo że jakieś kanadyjskie pismo opublikowało już te jego opowiadania, wojujące opowiadania, to gazety amerykańskie nie bardzo kwapiły się do wydzierania sobie prac tego autora. Jakoby nie dorosły jeszcze do tego! Raz widziałem Robba, w trakcie jakiegoś literackiego spotkania, gdzie Fay i on czytali na głos te swoje zapisane kartki, „Och, tam jest Robby - krzyknęła Fay - to właśnie on pisze te strasznie śmieszne i komiczne historyjki o katolikach”. Pokazała mi go palcem. Robby stał odwrócony do nas plecami. Szeroko dupiasty, z miękkimi pośladkami i zwisającymi gaciami. Czy oni tego nie widzą - pomyślałem.

- Może pójdziesz jeszcze raz na taki literacki wernisaż - obojętnie zachęcała mnie Fay.

- Może w przyszłym tygodniu...

Donośne mlaskanie znowu rozeszło się po pokoju.

- Robby ma problemy. Stracił pracę. Nie jest już kierowcą ciężarówek. Powiedział mi, że nie potrafi pisać, od kiedy wie, że nie ma stałej pracy. Potrzebuje bezpieczeństwa i finansowej niezależności. Nie może pisać!

- Jak niczego nie znajdzie - odpowiedziałem - mogę zapytać u nas.

- Co? co!

- W jednym z urzędów pocztowych, wiesz, tam na dole, zatrudniają ciągle nowych ludzi. Płacą całkiem w porządku!

- W URZĘDZIE POCZTOWYM!!! ROBBY JEST NA TO ZA WRAŻLIWY, ZA DELIKATNY! PRACA NA POCZCIE! NO WIESZ - TO DOWCIP!

- Nie, to szkoda - powiedziałem. - Myślałem, że mogę mu jakoś pomóc. Dobranoc!

Fay milczała. Czuli się dotknięci.

## 8

Piątki i soboty miałem wolne. Niedziela stawała się najgorszym dniem tygodnia. Także dlatego, że w niedzielę zamiast o 18.18 musiałem zaczynać pracę o 15.30.

W ostatnią niedzielę przenieśli mnie do sortowni gazet, oznaczało to osiem godzin harówki na nogach bez żadnej szansy wsunięcia sobie pod tyłek taboretu chociaż na chwilę. Nie tylko, że nie ustały bóle w całym ciele, to przypalały się coraz częstsze zawroty głowy. Wszystko nagle zaczynało się kręcić, robiło się coraz czarniej przed oczami, a potem mijało. W domu też nie było najprzyjemniej. A już ostatniej niedzieli szczególnie. Był to rzeczywiście bardzo brutalny dzień. Przyjaciele Fay zjawili się z wizytą; usadowili się na łóżku i świergotali, jakimi są wspaniałymi pisarzami i literatami, a nawet poetami, bez wątpienia najlepszymi w kraju. Zgodnym chórem uważali, że nie publikowano ich tylko i wyłącznie dlatego, bo nie ślali błagalnych listów z maszynopisami, do tych wyzyskiwaczy, wydawców. Przyjrzałem się im! Jeżeli tak pisali, jak wyglądali, jeżeli tworzyli tak, jak pili kawę i maczali w niej bułki, to

naprawdę byłoby wszystko jedno, czy śliliby te swoje błagalne listy do wydawców czy też od razu wieszaliby te swoje dzieła w publicznych sraczach. A nuż ktoś by rzucił na to okiem przed podarciem tyłka! Trzeba walczyć o czytelnika! Więc w niedzielę sortowałem gazety. Nagłe zachciało mi się kawy, a i głód też dawał znać o sobie. „Pilnowacze” stali w drzwiach. Czy tych nigdy nic nie boli? No jasne, że uniemożliwiali mi spokojny spacer do kantyny. Ukradkiem udało mi się jednak wymknąć ostatnimi, najrzadziej uczęszczanymi drzwiami w tyle korytarza. Musiałem, do kurwy nędzy, zrobić coś z tym „poniedzielnym” kacem. Kantyna była na pierwszym piętrze, ja na trzecim. W końcu korytarza, za sraczami, było wyjście na schody. Nad nimi zauważyłem duży napis:

**OSTRZEŻENIE!**

**PROSZĘ NIE KORZYSTAĆ Z TYCH SCHODÓW!**

Bawili się z nami. Grali w kotka i myszkę. Jebany trik. Ja i tak byłem od tych psów bardziej przebiegły. Przygwoździli to ostrzeżenie tylko dlatego, żeby takim cwaniakom jak Chinaski zabronić chodzenia do kantyny w czasie godzin pracy. Otworzyłem drzwi i zszedłem na dół. Drzwi trzasnęły za mną. Stałem przed drzwiami prowadzącymi do korytarza na pierwszym piętrze. Chwyciłem klamkę. Kurwa! Zamknięte. Wróciłem schodami na trzecie piętro. Nawet nie próbowałem podejść do drzwi prowadzących na korytarz drugiego piętra. Wiedziałem, że muszą być zamknięte. Podobnie jaki te na parterze. Tych parę lat przepracowało się przecież na poczcie. Jeśli już zabawiali się z nami w stawianie pułapek, to robili to bardzo solidnie i dokładnie. Szanse na kawę malały do zera. Kac zmienił mi przełyk w żwirową pustynię. Byłem na trzecim piętrze. Drzwi były też zamknięte. Na szczęście sracz był bardzo blisko. Zwykle ruch tam jak na targu. Co chwilę ktoś wchodził i wychodził. Tylko teraz wszystko zamarło. Czekałem. Dziesięć minut! Piętnaście minut! Dwadzieścia! **NAPRAWDĘ NIKOMU NIE CHCIAŁO SIĘ ANI SRAĆ, ANI SIKACĆ, ANI POSIEDZIEĆ TROCHĘ NA KIBLU!!! NIKOMU!** Po dwudziestu pięciu minutach pojawiła się wreszcie pierwsza twarz. Zacząłem stukać w metalową kratę.

- Hej, kolego! Kolego!

Nie słyszał albo udawał, że nie słyszy. Włazł do sracza. Siedział tam z siedem minut. Krótko?!

Potem nadbiegł ktoś inny.

Stukałem coraz energiczniej:

Hej... kolego... ty!... **PIERDOLONY GŁUCHY ONANISTO!**

Musiał to usłyszeć, bo nawet popatrzył tym swoim tępym i rozlazłym wzrokiem w moją stronę.

Powiedziałem:

- OTWÓRZ TE DRZWI! NIE WIDZISZ, ŻE STOJĘ ZA NIMI! NIE MOGĘ WEJŚĆ DO ŚRODKA! WALE TY! OTWIERAJ TE JEBANE KRATY!

Otworzył. Byłem na korytarzu trzeciego piętra. Facet wpadł w jakiś nie znany mi stan duchowego uniesienia i zachwytu. Ścisnąłem go za łokieć.

- Dziękuję koledze, dziękuję.

I znowu stałem przed sortownicą.

Po chwili przechodził obok mnie jeden z tych pilnowaczy, którzy biorą pensje za pilnowanie nas i egzekwowanie godzin naszej pracy. Zatrzymał się na chwilę, a mnie zdrętwiały palce.

- Wszystko w porządku, Chinaski?

Coś mu warknąłem, pomachałem gazetami, jakbym odpędzał nieobecne muchy, rozmawiałem sam ze sobą, uśmiechałem się nawet, ale nie do niego, aż sobie wreszcie poszedł.

## 9

Fay była w ciąży. Ale ten fakt nie zmienił ani jej, ani tym bardziej tak wyjątkowego stworu jakim była poczta amerykańska.

Ci, którzy naprawdę pracowali, pracowali nieustannie i bez przerwy, a ci, którzy nie pracowali, to rozprawiali wyłącznie o sporcie. Różnokolorowa drużyna składała się przede wszystkim z wielkich, czarnych postaci, zbudowanych jak zapaśnicy wagi ciężkiej, a ich głównym zajęciem były luzackie koci - koci - łapci ze sportem w roli głównej. Nowego zawsze przydzielano do tej drużyny. W ten sposób oszczędzono życie paru pilnowaczom. Zajmowali się, ale i tak nie przeszkadzało im to w międleniu ciągle takich samych tekstów, odbieraniu worków z listami z dowożących ciężarówek i transportowaniu ich przy pomocy wózków lub windy na wyższe piętra. To zabierało im pięć minut, pozostałe pięćdziesiąt pięć minut opierdalali się totalnie, wykrzykując cytaty ze sportowych gazet. Niekiedy, bardzo jednak rzadko, liczyli przesyłki, albo udawali że liczą. Robili to z zimną krwią i wyrachowaniem. Ale muszę przyznać, że długie ołówki, wsuwane przez nich za własne uszy, dodawały im czegoś szlachetnego, nawet intelektualnego. Sprzeczki i kłótnie wybuchały bardzo gwałtownie co parę minut. Każdy z nich uważał się za eksperta we wszystkich dziedzinach sportu, a wszyscy czytali z umiłowaniem ciągle tę samą gazetę sportową.

- Chłopczyk, obsraj te trzy klasy szkoły podstawowej i powiedz nam, kto był najlepszym na świecie graczem na polu zewnętrznym?

- Powiedziałbym, że Willie Mays, Ted Williams, Cobb.

- Co? Co?

- To jest jasne, jak dwieście jest trzysta, nie!

- A Babe Ruth? Tego już olewacie bokiem, tak!

- Okay, okay! A ty kogo typujesz, macherku!
- Bez żadnych zgrzytów Mays, Ruth i Di Maggio.
- Wam już wszystkim trzepnęło zdrowo w manianę! A Hank Aaron! Czy któryś z was słyszał to nazwisko?

Pewnego dnia ukazały się anonsy rekrutujące nowych ludzi do prac dotychczas wykonywanych przez tę kolorowo mieszaną drużynę. Wszystkie anonsy, plakaty i afisze zniknęły błyskawicznie ze ścian i tablic ogłoszeniowych. Kolorowo mieszaną drużyną wysyłała swoje bojówki z zadaniem mszczenia wszelkich inicjatyw dyrekcji, mogących zaszkodzić żywotnym interesom ugrupowania. Informacje wywieszano wielokrotnie, a one zniknęły też wielokrotnie w najbardziej tajemniczy sposób. Dyrekcja nabierała wody w usta i przestała werbować. Wszyscy dobrze wiedzieli, że droga z budynku na parking samochodowy była długa i ciemna. Szczególnie w nocy.

## 10

Zawroty głowy wracały regularnie. Czulem, jak nadchodzą. Stół zaczynał się wtedy kręcić. Trwało to minutę albo trochę dłużej. Listy stawały się jakoś ciężkie i nieporęczne. Ludzie wyglądali blado, szaro, coraz siniej. Ciągle spadałem ze stołka. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Ta kurewska praca zabijała mnie. Ponieważ przestałem kapować, co jest grane, poszedłem do lekarza i opowiedziałem mu wszystko. Postanowił zmierzyć ciśnienie krwi. I zmierzył.

- Nie. Nie. Ciśnienie jest w normie.

Przystawił też stetoskop do moich piersi.

- Nic godnego uwagi nie mogę znaleźć.

Postanowił wykonać specjalne badanie krwi. Polegać to miało na tym, że pobierano krew trzy razy w powiększających się odstępach czasu.

- Chce pan poczekać w poczekalni?

- Nie, nie. Nigdy! Wolę rozruszać trochę moje nogi. Zjawię się punktualnie.

- Tylko na pewno punktualnie!

Do drugiego badania krwi stawiałem się bardzo punktualnie. Trzecie miało mieć miejsce za dwadzieścia pięć minut. Wyszedłem na ulicę. Pusto. Martwo. Drętwo, Zajrzałem do kiosku i przerzuciłem parę gazet. Odłożyłem je i spojrzałem na zegarek. Przechodząc obok przystanku autobusowego zarejestrowałem kobietę siedzącą na ławce. Dziwne to było zjawisko i jakie niecodziennie! Niezwykle wspaniałomyślnie, i jak „hojnie,” rozwaliła te swoje niezłe nogi! Nie mogłem na to nie patrzeć! Wyhamowało mnie tak, że stanąłem i bezczelnie wpatrywałem się w tę kobiecą figurę nożną. Cóż za głębia obrazu - pomyślałem. Nagle wstała. Z wlepionym w jej mięsisty tyłek oczami maszerowałem za nią. Oślepiiony? Zahipnotyzowany? Wszystko jedno!

Weszła do budynku poczty. Ja za nią. Stała w długiej kolejce. Ja za nią. Kupiła dwie kartki pocztowe. Ja dwanaście kopert i znaczki za dwa dolary. Wyszła, i niestety nadjechał autobus. Udało mi się przez ułamek sekundy zobaczyć resztki tych wybornych kończyn dolnych w pełnej harmonii z kształtną pupką znikające za zamykającymi się drzwiami pojazdu komunikacji miejskiej.

Lekarz czekał.

- Dlaczego spóźnia się pan aż pięć minut.

- Nie wiem. Mój zegarek nawala.

- TO BADANIE KRWI WYMAGA NIEZWYKŁEJ DOKŁADNOŚCI I PRECYZJI.

- Nie mam nic przeciwko temu. A teraz niech już się pan dobiera do moich żył.

Dobrał się.

Kilka dni później dowiedziałem się, że test niczego nie wykazał. Nie wiedziałem, czy mam winić siebie za to pięciominutowe spóźnienie czy nie. Tak czy owak napady zawrotów głowy nachodziły mnie coraz częściej, a ich przebieg przyprawiał mnie o dodatkowy, bardzo silny ból głowy. Po czterech godzinach pracy miałem wszystkiego po dziurki w nosie, stemplowałem kartkę i wychodziłem, zaniedbując wielu czynności służbowych. Kiedyś byłem już o 11 wieczorem w domu. Fay, z brzuchem, leżała w łóżku.

- Co się stało?

- Nie wytrzymuję - powiedziałem - chyba jestem... za wrażliwy i za delikatny.

## 11

Chłopaki z urzędu pocztowego w Dorsey nie mieli naturalnie pojęcia, że ze mną nie było zbyt tego. Wchodziłem tylnym wejściem, chowałem sweter w urzędowym koszu do transportowania przesyłek i tak „zamaskowany” przesuwałem się możliwie najciszej do głównego wejścia, żeby ostemplować kartę.

- Bracia i siostry - darłem się do każdego spotkanego na korytarzu.

- Bracie Hank - odpowiadano mi.

Czasami też nie odpowiadano.

- Dobrej nocy w pracy!, bracie Hank - padało jakby przez przypadek.

Często graliśmy ze sobą w takie gierki. Czarni z białymi i odwrotnie. Musiało nas to bawić. Boyer podchodził do mnie, chwycił za łokieć i powtarzał ciągle to samo:

- Stary, gdyby mnie przemalowano na białą, dawno już byłbym milionerem i to bez długów w bankach.

- Jasne, Boyer, to, co jest rzeczywiście niezbędne, żeby móc rozrzucać banknoty przez okno samochodu, to jest biała skóra. Wszystko inne możesz wsadzić sobie w odbyty!

Hasła Boyera przyciągały zawsze małego, przysadzystego Hadleya. Opowiadał wtedy dowcipy: „Na statku mieli czarnego kucharza. To był jedyny czarnuch na pokładzie. Dwa czy trzy razy w tygodniu gotował na deser budyń z tapioki, a potem leciał ostro w konia nad garnkiem. Biała załoga jadła desery z tapioki bardzo chętnie chi, chi, chi. Pytali się go, jak on to gotuje, a on im opowiadał, że ma swój własny, okryty tajemnicą przepis chi, chi chi!!!” Wszyscy śmieli się. Nie pamiętam już, ile razy musieli tego słuchać...

- Hej, ty tam... biała mętna szumowino... chłopczku ujebliwy!

- Słuchaj człowieku, gdybym ja przemówił do ciebie „chłopczku,” miałbym już dawno nóż w jelitach. Więc nie wal tej piany i oszczędź sobie i mnie tych tytułów, kumaszu!

- Biały człowieku, czy nie mamy ochoty pospacerować sobie troszkę w sobotę. Jakaś biała, z blond włosami, wisi mi na pasku od tygodnia, i co ty na to!

- Na mnie leci czarna, też w porządku kobietka. Nie muszę ci nic opowiadać o jej zaroście, nie?

- Ty zdajesz sobie sprawę z tego, że ci twoi biali kołesie rznąli nasze kobiety od samego początku historii naszej rasy na tym kontynencie. Teraz my stajemy w zawody, z wami, o wasze białe i wilgotne dupy, trzeba wreszcie nadrobić i powetować sobie straty. Nie masz chyba obciachu, że ja pukać będę te wasze białe dziewczyny swoim grubym i czarnym narzędziem?

- Jak chce być pukana, to se pukaj, ile wlezie!

- Wypędziliście i wytrzebiliście wszystkich Indian.

- Jasne, że i w tym brałem udział!

- Nie zapraszacie nas nigdy do waszych domów, a jeśli nawet tak się już stanie, musimy wychodzić tylnym wejściem, żeby nikt nie dostrzegł koloru naszej skóry.

- Rzucę ci świeczkę, żebyś nie rozwalił sobie własnych jaj!

Z czasem stało się to nudne, nikt się więcej nie śmiał, ale nikt też nie odważył się powiedzieć, że ten „intelektualno - historyczny” boks ma głęboko w dupie.

## 12

Fay czuła się dobrze z brzuchem. Na jej wiek zdecydowanie wspaniale. Siedzieliśmy na kanapie i czekaliśmy na rozwiązanie. Ten dzień właśnie nadszedł.

- To nie będzie trwało długo - mówiła - nie chcę być tam za wcześnie.

Wychodziłem wtedy przed dom i sprawdzałem, czy samochód nie zrobi nam dowcipu wtedy, kiedy wszystko będzie musiało odbywać się w szybkim tempie. Jęczała, ale ciągle mówiła „nie”. Z tym jej spokojem, zimną krwią i opanowaniem może rzeczywiście mogłaby uratować świat. Tylko przed czym?



Byłem z niej dumny. Wybaczyłem jej stosy nieumytych garnków, „New Yorkera,” a nawet i to, że łąziła na te kursy pisarzy i autorów. Ta stara dziewczynka, targająca przed sobą brzuch, była tak naprawdę jedną z wielu samotnych istot w obojętnym i bezwzględym kotle ludzkich potworów.

- Powinniśmy już jechać - odważyłem się.

- Nie, nie, nie chcę tam siedzieć i beczynnie czekać. Ty też ostatnio nie czujesz się najlepiej, co?

- Zejdź ze mnie. Musimy już jechać!

- Nie, proszę, Hank.

Siedziała i nie ruszała się.

- Czy mogę zrobić coś dla ciebie?

- Nic!

I znowu minęło dziesięć minut. W kuchni napiłem się zimnej wody, a jak wróciłem, zapytała:

- Możesz jechać?

- No, jasne!

- Czy wiesz, gdzie jest szpital?

- Oczywiście!

Pomogłem ulokować się jej w samochodzie. Trasę do szpitala miałem opanowaną na pamięć, bowiem w zeszłym tygodniu przejechałem ją dwa razy na próbę. A teraz, kiedy wjeżdżaliśmy w bramę szpitala, nie miałem pojęcia, gdzie mógłbym zaparkować samochód.

Fay wskazała mi podjazd:

- Podjedź tam! Zaparkuj obok! A tu przejdziemy na piechotę.

- Natychmiast - odpowiedziałem.

Leżała w pokoju z widokiem na ulicę. Jej twarz marszczyła się i kurczyła z bólu i niecierpliwości.

- Trzymaj mnie za rękę - rozkazała.

Chwyciłem, jak pilny uczeń, jej dłoń.

- I to się teraz stanie, teraz? - zapytała pokornie.

Stanie się.

- A mnie się cały czas zdaje, że tobie jest wszystko jedno.

- Miły jesteś. Ale to pomaga.

- Byłbym jeszcze miłszy, gdyby nie ten zapyziały urząd pocztowy...

- Wiem. Wszystko wiem.

Popatrzyliśmy w milczeniu przez chwilę na ulicę.

- Widzisz tych ludzi za szybą. Oni nie mają najmniejszego pojęcia, co tu i teraz się rozgrywa. Idą i idą, po raz tysięczny tą samą drogą... czy to nie jest śmieszne?... że oni też zostali kiedyś urodzeni?... każde z nich... pojedynczo!

Nieoczekiwanie przyznała mi rację.

Trzymając ją za rękę coraz silniej i intensywniej czułem wszystkie, nawet nieznaczne ruchy, jakie wstrząsały jej ciałem.

- Ściśnij mnie mocniej - poprosiła nagle.

- Tak.

- Bardzo by mi się nie podobało, gdybyś odszedł...

- Gdzie jest lekarz? Gdzie oni wszyscy są? Dlaczego wszyscy tak się tu opierdalają?

- Oni zaraz tu będą.

I właśnie wtedy pojawiła się w drzwiach siostra. To był katolicki szpital. Pracowały w nim same niezwykle urokliwe Hiszpanki i Portugalki. Ciemne, ogorzałe słońcem twarze. Ta też była śliczna.

- Pan... proszę opuścić salę... musi pan natychmiast wyjść - powiedziała.

Ze sztucznie naciągniętym uśmiechem na twarzy, udało mi się jeszcze pokazać Fay, jak mocno będę trzymać kciuki. Nie sądzę, żeby dostrzegła to. Windą zjechałem na dół.

### 13

Lekarz niemieckiego pochodzenia, ten sam, który opieprzył mnie za spóźnienie na badanie krwi, podszedł do mnie, uśmiechając się.

- Gratuluję - powiedział i uściśnął mi dłoń. - Dziewczynka. Waga osiem i pół funta.

- A matka?

- Matka wspaniała. Żadnych trudności i komplikacji.

- Kiedy będę ją mógł zobaczyć?

- Niedługo panu powiem. Proszę zaczekać aż wywołają pańskie nazwisko.

I poszedł sobie.

Wcisnąłem nos w matową szybę. Siostra uniosła dziecko do góry. Było bardzo czerwone i wydawało mi się, że głośniej się drze niż pozostałe bachory. Cały pokój pełen był takich samych czerwonych i krzyczących niemowlaków. Aż tyle się ich narodziło? Chyba siostrze też podobało się moje dziecko. Moje dziecko? No, chyba było moje, chociaż kto wie? Trzymała dziecko, ta też śliczna siostra, dość długo w górze. A ja tylko się śmiałem. Nie wiedziałem, co mam z sobą zrobić. A dziecko jak się darło, tak się darło. Biedny - pomyślałem - biedny, mały, zdany na łaskę i niełaskę człowieczek. Skąd mogłem wtedy wiedzieć, że pewnego dnia z tej pieluchy

wyrośnie kawał niezłej dziewczuchy, i w dodatku podobnej do mnie - cha! cha! cha! cha! cha!. Machając zawzięcie rękoma, poprosiłem siostrę, żeby położyła dziecko do łóżeczka. Przed odejściem od szyby przesłałem obu paniom buziaka. Siostra była zachwycająca. Nogi dobre. Okrągłe biodra. Cyc w sam raz!

Fay miała kropelkę krwi w lewym kąciku ust. Wilgotnym ręcznikiem wytarłem ją. Tak. Kobiety stworzone są, żeby cierpieć. I nie ma w tym nic odkrywczego, skoro stale i bez przerwy żądają słów wyznaczających im wieczną i trwałą miłość.

- Chciałabym , żeby dali mi dziecko - powiedziała Fay. - To niedobrze, że oni nas rozdzielają.

- A jeśli mają te swoje medyczne powody, żeby tak robić...

- Wydaje mi się, że to nie jest ani słuszne, ani mądre!

- Tak, tak. Masz rację. Dziecko wyglądało wspaniale. Postaram się, żebyś najszybciej mogła je utulić w ramionach. Tych nowo narodzonych szczeniaków było ze czterdzieści. Wszystkie matki czekają. Prawdopodobnie dlatego, żeby mogły odpocząć przez chwilę po porodzie. Nasz szczył czy raczej sikawica ma bardzo solidny wygląd. I to jest nasz sukces! Niczym nie zawracaj sobie teraz głowy!

- Byłabym tak okropnie szczęśliwa, gdyby dziecko mogło być już ze mną.

- Wiem także i to. Ja już prawie wszystko wiem. A ty musisz być cierpliwsza.

Thusta, meksykańska siostra wtoczyła się do środka:

- Proszę natychmiast wyjść. Pańska żona musi odpoczywać.

Ścisnąłem dłoń żony i pocałowałem. Nawet! W policzki! Zamknęła oczy, natychmiast zapadła w sen. Nie zaliczała się już do najmłodszych. I jeśli teraz nie zajmowała się ratowaniem świata, to na pewno, w istotny sposób przyczyniła się do tego, że poczułem się w nim zdecydowanie lepiej. Ściągam czapkę z głowy, przed tobą, Fay, bo to, co zrobiłaś, jest tego warte.

## 14

Marina Luisa. Tak Fay ochrzciła nasze dziecko. W domu pojawiła się więc Marina Luisa Chinaski. Zajmowała łóżeczko pod oknem. Mogła wpatrywać się w liście drzew nad sobą i ich jasne słoneczne cienie, tańczące na suficie. No i darła się. „Przewiń dziecko! Porozmawiaj z nią!” Dziecko chciało cyca mamy, mama nie zawsze miała na to ochotę, a ja, mimo że nie płakałem, też byłem trzymany przez mamę na dystans. Cyc był dla nas nieosiągalny. Praca obrzydła mi już ostatecznie, a do tego wszystkiego w mieście wybuchały zamieszki i rozruchy. Jedna dziesiąta miasta stała w ogniu...

W windzie jadącej do góry byłem jedynym białym. Wokół mnie rozmawiano szeptem o awanturach na ulicy, odwracając się ostentacyjnie ode mnie. Czuję się nieswojo i dość osobliwie.

- Na rany Boga - rzucił przez białe siekacze kruczoczarny typ - no i jest ostra sprawa! Tamci zataczają się pijani! Wymachują butelkami whisky. Gliny przejeżdżają obok i nawet się nie zatrzymują. Te uwalone wywłoki nie przeszkadzają im! Oni im nie przeszkadzają! Ludzie w biały dzień jak oszaleli latają po ulicach z telewizorami, odkurzacami i całym tym kramem... to jest ostra sprawa!

- Człowieku, masz rację.

- Czarni właściciele sklepów powywieszali w wystawach sklepów szyldy: „JESTEŚMY WASZEJ KRWI”. A biali robią to samo. Ale nasi nie dadzą się na to nabrać. Wszyscy doskonale wiedzą, które sklepy do kogo należą. Tych należących do BIAŁYCH należy unikać!

- Człowieku, i znowu masz rację.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Wysiedliśmy, każdy z nas poszedł w inną stronę. Postanowiłem nie komentować nikogo i niczego.

Parę dni później szef naszego urzędu miejskiego wygłosił przemówienie. Przez radio.

„Uwaga. Cała południowo - wschodnia część miasta została odcięta. System barykad uniemożliwia jakąkolwiek komunikację. Tylko osoby zamieszkujące te dzielnice, po okazaniu odpowiednich dokumentów, będą przepuszczane. Po godzinie 19.00 nie wolno opuszczać domów. Przejścia do zabarykadowanych części miasta będą zamknięte. Barykady rozciągają się od Indiana St. do Hoover Street i od Washington Boulevard do 135 Place. Wszyscy pracownicy mieszkający w południowo - wschodniej części miasta, mogą opuścić stanowiska pracy i udać się już do domów”.

Wszyscy zaczęli gadać. Czarni porzucali pracę i wychodzili. Zostało nas paru. Oznaczało to kolejne godziny nadliczbowe.

Wychodzący stemplowali swoje karty pracy i opuszczali budynek. Postanowiłem zrobić to samo.

- Hej, ty! A ty dokąd?! - krzyknął jeden z pilnowaczy.

- Nie słyszał pan komunikatu - ja mu na to.

- Głuchy to ja nie jestem, ale pan nie jest... przecież nie!

Lewą ręką chwyciłem torbę.

- Co nie jestem? Co nie jestem?

Spojrzał na mnie.

- I co ty możesz wiedzieć, BLADZIUCHU!!!

Wyciągnąłem kartę, podstemplowałem w drzwiach wyjściowych i wyszedłem.

## 16

Bunt rozlaź się po kościach, dziecko uspokoiło się, a ja wypracowałem, w mozole, metodę unikania Janko i jego monologów. Tylko zawroty głowy dręczyły mnie zawzięcie i uporczywie. Lekarz zaaplikował mi długookresową kurację pastylkami librium. Pomagały, ale cud nie następował. Podczas którejś z nocnych szycht, wstałem i poszedłem napić się wody. Wróciłem, odwalilem kawał roboty, po czym zrobiłem sobie regulaminową przerwę w pracy. Dziesięć minut wolnego! Po trzydziestu minutach zapieprzania! Kiedy zasuwalem odświeżony po tym parominutowym nieróbstwie, przybiegł do mnie Chambers, jasnokakaowy murzyn.

- Chinaski! Tym razem uknęciście sobie stryczek na własny łeb! Przez czterdzieści minut nie było was na stanowisku!

Parę dni temu Chambers zwałił się nagle na podłogę, zaczął machać nogami i łapami wokół siebie, a z ust ciekła mu gęsta piana. Przyjechało pogotowie i wynieśli go na noszach. Następnego dnia, jakby nigdy nic, pojawił się znowu. W tym swoim pierdolonym krawacie, ale za to w nowej koszuli. A teraz próbuje grać ze mną w bambuko!

- Może pan się skupi przez chwilę, Chambers, i przez chwilę, nie dłużej, pozwoli popracować swoim własnym szarym komórkom. Wypiłem łyk wody, wróciłem do pracy, przepracowałem trzydzieści minut i zrobiłem sobie przerwę. Nie było mnie tu, w tym miejscu, tylko przez dziesięć minut!

- Uknęciście sobie stryczek na własny czerep, Chinaski! Nie było cię tu przez czterdzieści ostatnich minut. Siedmiu świadków może to potwierdzić.

- Tylko siedmiu?

- Dokładnie siedmiu! TAK JEST!

- Powtarzam jeszcze raz, przerwa trwała tylko dziesięć minut!

- Chinaski, teraz mamy pana! I dobierzemy się do pańskiego tyłka!

Nie chciałem już więcej słuchać ani tego bełkotu, ani oglądać tej facjaty, ani paprać się w takiej plugawej intrydze.

- W porządku. Nie było mnie przez czterdzieści minut. Proszę to zanotować w tym pańskim kapowniku. I proszę dobrać mi się do tyłka!

Chambers ulotnił się.

Po kilkunastu minutach pojawił się jednak znowu, tym razem w towarzystwie szefa dozoru, szczupłego małego chłopaka z małymi kępkami siwych włosów za uszami. Popatrzyłem na nich, a potem bezczelnie odwróciłem się, dalej sortując przesyłki.

- Panie Chinaski, zakładam, że znane są panu przepisy regulujące pracę na poczcie. Każdy zatrudniony tutaj ma prawo do dwóch dziesięciminutowych przerw, pierwsza przed główną pauzą przeznaczoną na spożywanie posiłków, a druga po głównej pauzie przeznaczonej na spożywanie posiłków. To jest panu gwarantowane przez Zarząd Poczty Amerykańskiej. Dwie przerwy po dziesięć minut! Te dziesięć minut...

- NA RANY CHRYSUSA! - strzeliłem przesyłkami o blat. - Przyznałem się już do tych czterdziestu minut, ale tylko dlatego, żeby ten nadłamany kutas dał mi święty spokój i odwalił się ode mnie. Ale ten namolny, nadłamany kutas pojawił się znowu i bruździ dalej! Cofam wszystko, co powiedziałem! Opuściłem to miejsce tylko na dziesięć minut! A teraz chcę zobaczyć tych siedmiu świadków. Dawać mi ich tutaj!

Dwa dni później byłem na torze wyścigowym. Rozglądałem się po twarzach tych wszystkich małych kombinatorów, i nagle dostrzegłem białe, znane mi uzębienie i znaną mi szerokość i serdeczność „przyjaznego uśmiechu,” a także gapiące się na mnie ślepka. Zaraz! Zaraz! Kogo przypominały mi te szeregi białych trzonowych? Popatrzyłem jeszcze raz. To był Chambers, stojący w kolejce do automatu z kawą i mrugającymi gałami. Do mnie. Wstałem z krzesła, trzymając piwo w ręku podszedłem do kosza na śmieci i nie odrywając od niego oczu splunąłem tak głośno i tak obficie, jak tylko mogłem. Wyszedłem z baru. Od tego czasu Chambers nie wyrażał już nigdy więcej ochoty, żeby dobrać się do mojego tyłka.

## 17

Dziecko pełzało po całym mieszkaniu i odkrywało świat. W nocy spało razem z nami. Pod kołdrą było więc nas teraz troje. Kot też nie chciał rezygnować ze swoich przywilejów. Często w nocy siadałem na łóżku i mówiłem sobie: „Ale ci przyszło, musisz wykarmić teraz te trzy gęby”. Lubiałem się wpatrywać w tę całą trójkę.

Dwa razy, jeden za drugim, zastawałem rano, po powrocie z pracy, siedzącą w łóżku Fay, studiującą gazety, a szczególnie strony z mieszkaniem do wynajęcia.

- To wszystko jest tak cholernie drogie - wzdychała.

- A jak może być inaczej - odpowiadałem.

Kiedyś, kiedy tak siedziała wśród tych gazet, zapytałem ją nagle:

- Wyprowadzasz się?

- Tak.

- W porządku. Jak chcesz mogę ci w tym nawet pomóc. Pojedziemy jutro samochodem, może coś znajdziemy w tej dzielnicy.

Zobowiązałem się dołożenia określonej, miesięcznie płatnej sumy na dziecko. Fay

zaakceptowała to.

Ona zabierała dziecko, a ja zostawałem z kotem.

Szybko i bez problemów znaleźliśmy pokój, osiem czy dziesięć ulic dalej od miejsca, gdzie teraz mieszkaliśmy.

Pomogłem im w przeprowadzce, pożegnałem obie panie i wróciłem do siebie. Marinę odwiedzałem dwa czy trzy razy w tygodniu, czasami nawet i cztery. Czułem, że jeśli będę mógł odwiedzać dziecko, fakt ich wyprowadzki nie będzie zbyt boleśnie wpływał na samopoczucie porzuconego ojca.

Fay ciągle jeszcze ubierała się na czarno, protestując w ten sposób, ciągle jeszcze, przeciwko wojnie. Namiętnie uczestniczyła w pokojowych demonstracjach, również w love - ins, zaciekle organizowała wieczory poetyckie, odwiedzała to swoje wieczorne i wieczne już kursy nauki „pisarstwa,” a także aktywnie pracowała na rzecz partii komunistycznej. Jednakoż najchętniej przesiadywała godzinami w jednej z tych bardzo modnych hippisowskich kawiarni. Dziecko zawsze zabierała ze sobą. Jeśli zostawała w domu, co zdarzało się bardzo rzadko, paliła dziesiątki papierosów, z nosem w ulotkach i odezwach. Czarna bluzka coraz bardziej była upstrzona niezliczonymi plakietkami i znaczkami, mającymi oznaczać protest, sprzeciw, opór i rewolucję. Aż tu pewnego dnia, zupełnie dla mnie nieoczekiwanie, drzwi do mieszkania nie były zamknięte, a ja zobaczyłem Fay jedzącą jogurt z pestkami słonecznika. Nauczyła się piec chleb, ale nie był to rekord świata.

- Poznałam Andy'ego - wyznała. - Jest kierowcą ciężarówek. Ale maluje obrazy. To jedna z jego prac.

Byłem zajęty dzieckiem, tylko na krótko spojrzałem na ścianę, na której Andy powiesił swoje dzieło. Nie umiałem wyrazić zachwytu.

- Wiesz - nagle przerwała ciszę - jego penis jest gigantycznych rozmiarów. Niedawno był tutaj wieczorem i zapytał mnie, czy chciałabym się z nim przespać, z nim i jego penisem. A ja mu odpowiedziałam: „Jeśli mam się kochać, to raczej z osobą kochaną przeze mnie, a nie z kutasem mierzonym na kilometry”.

- Propozycja godna niekwestionowanego światowca.

Pobawiłem się jeszcze trochę z Mariną i poszedłem do domu. Musiałem się jeszcze uczyć nowych tabel do następnego egzaminu.

Wkrótce po mojej ostatniej wizycie otrzymałem list od Fay. Informowała mnie w nim, że jest razem z dzieckiem w Nowym Meksyku i żyje w hippisowskiej wspólnotce, czy komunie? Słowo „pięknie” pojawiało się wielokrotnie, a Marina mogła wreszcie korzystać ze wspaniałego powietrza. Do listu dołączyła mały rysunek, narysowany przez córkę dla tatusia.

## ROZDZIAŁ V

1

ZARZĄD POCZT

DOTYCZY: OSTRZEŻENIE

ODBIORCA: Pan Henry Chinaski

Zostaliśmy zawiadomieni o zatrzymaniu Pana przez policję miasta Los Angeles w dniu 12 marca 1968 roku. Powodem zatrzymania było zakłócenie spokoju publicznego w stanie nietrzeźwym.

W związku z tym incydentem jesteśmy zmuszeni przypomnieć Panu jeden z przepisów regulaminu pracy numer ustępu 744.12 w brzmieniu następującym: „Urzednicy służb pocztowych wykonują publiczne zadania wynikające ze Statusu Poczty Amerykańskiej na rzecz całego społeczeństwa Stanów Zjednoczonych, i jako tacy podlegają niezwykle surowej dyscyplinie i kontroli przez powołane do tego organa. Kryteria i miary, jakie są stosowane w zakresie rozstrzygnięć dyscyplinarnych, nie ustępują podobnym kryteriom i miarom, jakie są stosowane w podobnych przypadkach w całym systemie prywatnej gospodarki narodowej. Od pracowników Poczty Amerykańskiej oczekuje się, że w procesie pracy i poza nią, zachowywać się będą w sposób nie powodujący szkodliwych i niekorzystnych następstw dla reputacji pracodawcy. Mimo że pracodawca nie ma prawa ingerować w sferę prywatnego i osobistego życia pracobiorcy, stwierdza się kategorycznie, że cały personel Poczty Amerykańskiej powinien cieszyć się szacunkiem i respektem naszych klientów, być rzetelnym, niezawodnym i godnym zaufania partnerem, a także być przykładem bezwzględnej podporządkowania się podstawowym zasadom współżycia społecznego”.

Jeśli nawet pański konflikt z policją miał miejsce z błahych i mało istotnych powodów, to nie ulega żadnej wątpliwości, że nabrał on charakteru takiego rodzaju zachowań, jakich nie możemy inaczej określić jak tylko szkodzące naszej reputacji. Tym samym prosimy potraktować to pismo jako napomnienie i ostrzeżenie; jeśli będzie miało miejsce kolejne złamanie przepisów tworzących nasz regulamin pracy czy też jakakolwiek nowa konfliktowa sytuacja z policją, Zarząd Poczty będzie zmuszony zastosować energiczne środki dyscyplinarne.

Jeśli pan sobie tego życzy, może pan przesłać na nasze ręce pisemne wyjaśnienie faktów, jakie legły u podstaw skierowania naszego ostrzeżenia pod pańskim adresem.



ZARZĄD POCZT

DOTYCZY: O ZAMIARZE PODJĘCIA KROKÓW DYSCYPLINARNYCH

ODBIORCA: Pan Henry Chinaski

Zgodnie z przewidzianym ustawowo terminem, informujemy, że zamierzamy zawiesić Pana w czynnościach pracownika Poczty na okres trzech dni, bez finansowego odszkodowania, a także o podjęciu innych środków dyscyplinarnych, jeżeli uzna się je za konieczne. Wyżej wymienione kroki będą podjęte w celu podwyższeniu wydajności pracy Poczty. Wchodzą one w życie w 35 dniu kalendarzowym po otrzymaniu tego pisma przez odbiorcę. Oskarżenie przeciwko Panu, a także powody formułowanego oskarżenia, brzmią jak następuje:

*PUNKT PIERWSZY OSKARŻENIA.*

Oskarża się Pana, że w dniach 13 maja 1969 roku, 14 maja 1969 roku i 15 maja 1969 roku nie był Pan obecny w pracy. Przyczyny tej nieobecności nie są nam znane.

Przyjmując, że wyżej wymienione oskarżenie będzie utrzymane w mocy, dodatkowa informacja z pańskich akt osobowych, o której niżej, będzie stanowiła część materiału obciążającego Pana i będzie skierowana przeciwko Panu.

Informacja ta brzmi:

Z powodu nie usprawiedliwionej nieobecności w pracy w dniu 1 kwietnia 1969 roku wystosowano do Pana ostrzeżenie w formie pisemnej.

Przysługuje Panu prawo odwołania się w formie pisemnej albo ustnej, albo w obu formach. Ma Pan również prawo korzystania z pomocy adwokata lub innego przedstawiciela prawnego. Wybór należy do Pana.

Odpowiedź na oskarżenie powinna nastąpić nie później niż w ciągu 10 dni od dnia otrzymania tego pisma. Przysługuje Panu również prawo do dołączenia wszelkich wyjaśnień dotyczących sprawy, złożonych pod przysięgą.

Jeżeli zdecyduje się Pan na pisemną formę odwołania, należy je przesłać pod adresem: Los Angeles, Kalifornia 90052, Zarząd Poczty.

W sprawie przedłużenia terminu złożenia odwołania należy przedstawić oddzielne podanie, wyliczając wszystkie powody, dla których jest to prawnie dopuszczalne.

Jeśli wybierze Pan ustną formę odwołania, proszę ustalić terminy spotkań z odpowiednim czasowym wyprzedzeniem - albo z p. Edwinem R. Gallaschem, przedstawicielem Kierownictwa Działu Kadr, albo z p. Donaldem J. Lucasem, specjalistą do spraw zatrudnienia. Obaj Panowie są osiągalni pod numerem telefonu 688 - 1240.

Po upływie dziesięciu dni wszystkie dostępne w pańskiej sprawie materiały, łącznie z odwołaniem, jeżeli wpłynę, będą skrupulatnie zbadane, po czym zostanie ogłoszony wyrok. Treść tego wyroku będzie Panu przesłana w formie pisemnej, a jeżeli zostanie uznana pańska wina, do sentencji wyroku zostanie dołączone uzasadnienie.

### 3

#### ZARZĄD POCZT

#### DOTYCZY: ZAWIADOMIENIE O WYROKU

ODBIORCA: Pan Henry Chinaski

Niniejszym, powołując się na pismo skierowane do Pana w dniu 17 sierpnia 1969 roku informujące o naszym zamiarze zawieszenia Pana w obowiązkach pracownika na okres trzech dni bez finansowego odszkodowania, a także o możliwości podjęcia innych środków dyscyplinarnych, jeżeli będą uznane za konieczne, a to w oparciu o punkt pierwszy oskarżenia zawarty w tym liście, stwierdzamy, że do dnia dzisiejszego nie wpłynęło do nas pańskie odwołanie.

Po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy zdecydowano utrzymać w mocy punkt pierwszy oskarżenia i zawiesić Pana w obowiązkach pracownika na trzy dni, bez finansowego odszkodowania. Tym samym dzień 17 listopada 1969 roku będzie pierwszym dniem zawieszenia Pana w obowiązkach pracownika, a 19 listopada 1969 roku dniem ostatnim.

W kwestii orzeczenia wyroku informujemy, że na prawach dodatkowej informacji, zostały wciągnięte do materiałów sprawy dane z pańskich akt osobowych dotyczące nie usprawiedliwionej nieobecności w pracy w miesiącu marcu 1969 roku.

Przysługuje panu prawo do odwołania się od wyżej wymienionego wyroku albo w Zarządzie Poczty, albo w Zarządzie Nadzoru Służb Pocztowych bądź też najpierw w Zarządzie Nadzoru Służb Pocztowych, w myśl następujących przepisów:

- jeśli zdecyduje się Pan odwołać od wyroku w Zarządzie Nadzoru Służb Pocztowych, nie przysługuje Panu prawo odwoływania się od wyroku w Zarządzie Poczty.

Odwołanie w takim przypadku należy kierować do Okręgowego Dyrektora Zarządu Nadzoru

Służb Poczтовых dla okręgu San Francisco, 450 Golden Gate Avenue, skrzynka pocztowa 36010, San Francisco, Kalifornia 94102, spełniając następujące warunki:

- odwołanie musi być przedstawione w formie pisemnej;
- odwołanie musi określać przyczyny kwestionowania wyroku i zawierać dowody uwiarygodniające prawomocność kwestionowania orzeczonego wyroku;
- odwołanie musi wpłynąć najpóźniej piętnaście dni przed datą orzeczonego zawieszenia Pana w obowiązkach pracownika, to znaczy przed 2 listopada 1969 roku.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi odwołanie od wyroku zostanie przeanalizowane przez Zarząd Nadzoru Służb Pocztowych z punktu widzenia formalno-prawnego przebiegu postępowania, chyba że złoży Pan oświadczenie pod przysięgą, stwierdzające w sposób jednoznaczny, że została Panu wyrządzona krzywda z powodów politycznych, nie jednak tych, o jakich stanowi Ustawa Zasadnicza, powodów rodzinnych lub też kalectwa, uniemożliwiającego Panu swobodę ruchu, mowy czy słuchu.

Jeżeli zdecyduje się Pan wnieść odwołanie do Zarządu Pocht, przysługuje Panu prawo wniesienia odwołania także do Zarządu Nadzoru Służb Pocztowych, ale tylko wtedy, kiedy odwołanie okaże się zasadne, a decyzja o tym zapadnie na najniższym szczeblu odwoławczym Zarządu Pocht. Dopiero po rozstrzygnięciu pańskiego odwołania na najniższym szczeblu odwoławczym Zarządu Pocht przysługuje Panu prawo albo skierowania odwołania do wyższych instancji Zarządu Pocht, albo skierowanie odwołania do Zarządu Nadzoru Służb Pocztowych. Jeżeli w ciągu dziesięciu dni od daty złożenia odwołania od wyroku nie zapadnie żadna decyzja na najniższym szczeblu odwoławczym Zarządu Pocht, ma Pan prawo zwrócić się bezpośrednio do Zarządu Nadzoru Służb Pocztowych, z pominięciem instancji odwoławczych Zarządu Pocht. Jeżeli w ciągu dziesięciu dni kalendarzowych, po otrzymaniu tego pisma, przedstawi Pan odwołanie od wyroku, zawieszenie Pana w czynnościach i obowiązkach pracownika będzie prolongowane do dnia orzeczenia decyzji przez Dyrektora Zarządu Pocht o przyjęciu lub odrzuceniu pańskiego odwołania od wyroku.

W innych przypadkach procedura dopuszcza przedstawienie odwołania od wyroku w dowolnym czasie, osobiście czy przez przedstawiciela prawnego. Ta sama procedura gwarantuje Panu dowolność w wyborze swojego przedstawiciela prawnego, nieograniczony dostęp do akt sprawy, bezstronność i obiektywizm przewodu sądowego, zaniechanie działania na pańską niekorzyść, a także przyznaje się Panu prawo do przygotowań, określając rozsądną liczbę dni koniecznych do ich zakończenia.

Odwołanie od wyroku orzeczonego przez Zarząd Pocht może nastąpić w dowolnym terminie, nie później jednak niż piętnaście dni od daty wejścia w życie zawieszenia Pana w prawach i

obowiązku pracownika.

Do odwołania od rzeczonego wyroku należy dołączyć podanie z prośbą o umożliwienie złożenia dodatkowych ustnych zeznań lub oświadczenie, że rezygnuje Pan z dodatkowych ustnych zeznań.

Odwołanie od wyroku należy przesłać pod adresem:

Okręgowa Dyrekcja Zarządu Poczty

631 Howard Street

San Francisco, Kalifornia 94106.

Własnoręcznie podpisany odpis odwołania od wyroku proszę przesłać w tym samym terminie i to niezależnie od tego, czy odwołanie zostanie złożone w Zarządzie Poczty czy też w Zarządzie Nadzoru Służb Pocztowych.

W sprawie dodatkowych informacji i pytań w materii procedury odwoławczej prosimy zwracać się do Roberta C. Jonesa, asystenta w biurze spraw kadrowych, pokój 2205, Budynek Zarządu Poczty, Przedstawicielstwo Stanowe, 300 North Los Angeles Street, w godzinach od 8.30 do 16,00, w dni robocze.

#### 4

#### ZARZĄD POCZTY

#### DOTYCZY: ZAWIADOMIENIE O POCZYNIENIACH KROKACH DYSCYPLINARNYCH

ODBIORCA: Henry Chinaski

Zgodnie z przewidzianym ustawowo terminem, informujemy, że zamierzamy zwolnić Pana z pracy, a także o podjęciu innych kroków dyscyplinarnych, jeżeli będą konieczne. Wyżej wymienione środki będą zastosowane w celu podwyższenia wydajności pracy Poczty. Wchodzą one w życie w 35 dniu kalendarzowym po otrzymaniu tego pisma przez odbiorcę.

Oskarżenie przeciwko Panu, a także powody oskarżenia brzmią jak następuje:

#### *PUNKT PIERWSZY OSKARŻENIA*

Oskarża się Pana, że bez podania przyczyn był Pan nieobecny w pracy w dniach

25 września 1969	4 godziny
28 września 1969	8 godzin
29 września 1969	8 godzin

5 października 1969	8 godzin
6 października 1969	4 godziny
7 października 1969	4 godziny
13 października 1969	5 godzin
15 października 1969	4 godziny
19 października 1969	8 godzin
4 listopada 1969	8 godzin
6 listopada 1969	4 godziny
12 listopada 1969	4 godziny
13 listopada 1969	8 godzin

Przyjmując, że wyżej wymienione oskarżenie będzie utrzymane w mocy, dodatkowe informacje z pańskich akt osobowych, o których to informacjach niżej, będą stanowiły część materiału obciążającego Pana i skierowane będą przeciwko Panu.

Informacje te brzmią:

Z powodu nie usprawiedliwionej nieobecności w dniu 1 kwietnia 1969 roku, wystosowano do Pana ostrzeżenie w formie pisemnej.

W dniu 17 sierpnia 1969 roku doręczono Panu zawiadomienie o podjęciu kroków dyscyplinarnych w związku z nie usprawiedliwioną nieobecnością w pracy. W wyniku przeprowadzonego dochodzenia został Pan zawieszony w prawach i obowiązkach pracownika Poczty, bez finansowego odszkodowania, w dniach od 17 listopada 1969 do 19 listopada 1969 roku.

Przysługuje Panu prawo odwołania się w formie pisemnej albo ustnej, albo w obu formach. Ma Pan również prawo korzystania z pomocy adwokata lub innego przedstawiciela prawnego. Wybór należy do Pana.

Odpowiedź na oskarżenie powinna nastąpić nie później niż w ciągu 10 dni od dnia otrzymania tego pisma. Przysługuje Panu również prawo do dołączenia wszelkich wyjaśnień dotyczących sprawy, złożonych pod przysięgą.

Jeżeli zdecyduje się Pan na pisemną formę odwołania, należy je przesłać pod adresem: Los Angeles, Kalifornia 90052, Zarząd Poczty.

W sprawie przedłużenia terminu złożenia odwołania należy przedstawić oddzielne podanie, wyliczając wszystkie powody, dla których jest to prawnie dopuszczalne.

Jeśli wybierze Pan ustną formę odwołania, proszę ustalić terminy spotkań z odpowiednim czasowym wyprzedzeniem - albo z p. Edwiem R. Gallaschem, przedstawicielem Kierownictwu

Działu Kadr, albo z p. Donaldem J. Lucasem, specjalistą do spraw zatrudnienia. Obaj Panowie są osiągalni pod numerem telefonu 688 - 1240.

Po upływie dziesięciu dni, wszystkie dostępne w pańskiej sprawie materiały łącznie z odwołaniem, jeżeli wpłynę, będą skrupulatnie zbadane, po czym zostanie ogłoszony wyrok. Treść tego wyroku będzie Panu przesłana w formie pisemnej, a jeżeli zostanie uznana pańska wina, do sentencji wyroku zostanie dołączone uzasadnienie.

## ROZDZIAŁ VI

### 1

Siedziałem obok młodej dziewczyny, której podobnie jak mnie, nie udało się nigdy opanować słynnych tabel bezbłędnie i na zawsze.

- A 2900 Roteford - pytała.

- Przegródka 33 - podpowiedziałem.

Pilnowacz stał przy niej i rwał ją, przeginając w tym pałę.

- Czy nie mówiła pani wczoraj, że urodziła się pani w Kansas City? Moi rodzice pochodzą z tamtych okolic!

- Niemożliwe!

Zwróciła się do mnie:

- A gdzie mam wetknąć 8400 Meyers?

- Wrzuć do osiemnastki.

Była trochę rozkojarzona i rozdygotana, czując obecność dwóch samców obok siebie. Była też ponętna i kusząca, tak jak ponętne i kuszące są dojrzałe i soczyste owoce spadające do pazernych łap ogrodnika. Postanowiłem spasować. Nie miałem ochoty, na razie, wdawać się w te przepychanki samczo - samicze. Pilnowacz dostawiał się do niej coraz nachalniej.

- Mieszka pani w pobliżu poczty?

- Nie.

- A podoba się pani u nas?

- Tak. Nie narzekam. Jeszcze.

Zwróciła się do mnie:

- A co z 6200 Albany?

- Do szesnastki.

Mój kosz, był pusty, wstałem i wtedy pilnowacz pokazał mi swoje prawdziwe zamiary.

- Chinaski, zmierzyłem czas! Posegregowanie przesyłek z tego kosza zabrało wam 28 minut!

Nie dawałem się sprowokować.

- Czy normy wam są znane, Chinaski?

- Nie.

- Chinaski, jak długo tu pracujecie?

- 11 lat.

- Jesteś tu 11 lat i nie znasz norm?

- Tak jest. Nie znam.

- Sortujecie przesyłki, ale wszystko inne macie w dupie, tak?

Dziewczyna siedząca obok mnie zaczęła razem ze mną, a jej kosz nie był nawet w połowie posortowany.

- I przeszkadzacie innym w pracy, zabawiając głupawymi rozmówkami tę siedzącą obok was damę.

Zapaliłem papierosa.

- Chinaski, podejdźcie tu na chwilę!

Pilnowacz wbił swoje obleśne ślepie w jakąś metalową puszkę, dając mi do zrozumienia, że powinienem zrobić to samo. W sali powstał lekki szum, przesyłki zaczęły szybciej, dużo szybciej niż zwykle, lądować w odpowiednich przegródkach, ramiona kolegów coraz zamazyściej i dynamiczniej cięły martwo dotąd wiszące nad nimi powietrze. Nawet moja sąsiadka dała się ponieść temu nagłemu przyspieszeniu, musiała sobie nawet przypominać dane z tabeli, bo przestała już mnie o nie pytać.

- Chinaski, widzisz tę liczbę w rogu, tu, na dole?

- No, jasne!

- Ta liczba, jak dobrze wiesz, określa liczbę przesyłek, które należy posortować w ciągu jednej minuty. Kosz o długości 60 centymetrów musi być pusty po 23 minutach. Pan, panie Chinaski, potrzebował pięciu minut więcej!

Wskazał palcem cyfrę 23.

- 23 minuty jest normą!

- To nic nie znaczy.

- A co to ma znaczyć?

- To znaczy tylko tyle, że jakiś przypadkowy gość przechodził tędy bawiąc się tubką pasty i z nudów wymalował to чудо!

- Nie, nie, Chinaski, takim przygłupem to chyba jeszcze nie jesteś. Ta norma jest całkiem nieźle wykombinowana. Oni to wiedzą. Ja to wiem i ty też to wiesz. A jak nie wiesz, to się dowiesz!

- I na co te przysrywki?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Muszę to zanotować, Chinaski. Czymś muszę zapełnić te rubryki w moich codziennych raportach, prawda? Zasłużyliście na nagane, właśnie udzielam jej tobie, a oprócz tego będziecie dodatkowo pouczeni na specjalnym spotkaniu z przełożonymi. W bardzo bliskiej przyszłości!

Wróciłem do stołu i usiadłem na nim. Jedenaście lat! Miałem dokładnie tyle samo pieniędzy w kieszeni, co wtedy, kiedy tu zaczynałem przed jedenastu laty. I mimo że każda z tych wielu



nocy wydawała mi się piekielnie długa, to te jedenaście lat minęło błyskawicznie, albo jeszcze szybciej. Może właśnie dlatego, że odwalałem tę robotę nocami, a może dlatego, że wykonywałem ciągle te same monotonne i wiecznie się powtarzające ruchy górnymi kończynami. Kiedyś, na samym początku, jak pracowałem u Stone'a, nie miałem nigdy pojęcia, co mi się nagle zwali na głowę. Tu, na etacie, nie było żadnych odlotowych zaskoczeń i niespodzianek.

Te jedenaście lat przekotłowało mi się przez głowę. Ci nieliczni, którzy zaczynali jeszcze ze mną, przypominali teraz wypatroszone indory, wiszące na hakach w przedśmiertnych drgawkach łysych odwłoków. Jimmy Potts z urzędu w Dorsey! Kiedy widziałem go pierwszy raz, był dobrze zbudowanym chłopakiem w podkoszulku. Teraz, wykończony i załatwiony, kiwał się na taborecie, żeby raz jeszcze nie zwalić się na pysk, zapierał się stopami o nogi stołu sortowniczego. Od trzech lat miał na tyłku te same spodnie, zmieniał koszulę dwa razy w tygodniu, chodził coraz ślamazarniej, był zbyt zmęczony, żeby iść do fryzjera i obciąć sobie włosy. Poczta powoli zabijała go. Miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, do emerytury zostało mu jeszcze siedem. - Nie dociągnę - powiedział kiedyś. Albo przypominali wypatroszone indory, albo tłuszcz wciskał się im we wszystkie możliwe zakamarki ich sflaczałych ciał, szczególnie w okolicach tyłków i brzuchów. Powód był bardzo prosty, ciągle siedzenie na taboretach, ciągle te same ruchy, ciągle te same głupie gadanie i paplanie. Ja nie byłem od nich gorszy, ale za to bogatszy w zawroty głowy, bóle ramion, pleców, w piersiach, prawie wszędzie. Spałem cały dzień, żeby móc zasnąć w nocy, a w niedziele musiałem jeszcze dodatkowo chlać, żeby nie myśleć o tym więcej. Przed jedenastu laty ważyłem 84 kilogramy, a teraz prawie dwadzieścia więcej. Brak ruchu nas wykańczał, jedyną częścią ciała poruszającą się przez te jedenaście lat, i to bez przerwy, było prawe ramię.

## 2

Wszedłem do biura. Miano mnie pouczać. Za biurkiem siedział Eddie Beaver. Miał szpiczastą głowę, szpiczasty nos, szpiczasty podbródek. Cały przypominał raczej psa rasy szpic, a nie człowieka.

- Proszę usiąść, Chinaski.

Trzymał w ręku jakieś papiery, czytał je cicho pod nosem.

- Chinaski, pan podobno potrzebuje 28 minut, żeby opróżnić kosz z przesyłkami. Jak pan dobrze wie, na tę czynność została ustalona norma 23 minut.

- Człowieku, jeśli chce pan mieszać łapą w nocniku pełnym gówna i udawać, że tak pachną bzy, to rób se pan to sam! Ja jestem zbyt zmęczony i nie mam na to ochoty.

- Słucham!

- Powiedziałem: „Człowieku, jeśli chce pan mieszać łapą w nocniku pełnym gówna i udawać, że tak pachną bzy, to rób se pan to sam!” Jeśli mam coś podpisać, podpisuję, a jeśli nie, to nie. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Chinaski, pan jest tutaj, ponieważ zarobił pan sobie nagany. Ja jestem po to, żeby pana pouczyć i udzielić nagany.

- No, dobra - westchnąłem już wal pan to wszystko naraz, aby szybko, zamieniam się w słuch.

- Chinaski, każdy z nas ma określoną dolną granicę wydajności pracy, związaną z rodzajem zajęcia jakie wykonujemy...

- Jasne!

- Jeśli pan zejdzie poniżej tej granicy, oznacza to, że ktoś inny będzie musiał sortować przesyłki, jakie powinien pan, w ramach ustalonych godzin i norm, wyjąć z kosza i wetknąć w odpowiednią przegrodę. Jeśli tak się stanie, powstaje konieczność uruchomienia dodatkowego, droższego systemu - to się nazywa nadgodziny!

- Czy chce mi pan teraz powiedzieć, że to JA jestem winny temu, że każdej nocy, bez pytania nas o zdanie, każecie nam pracować trzy i pół godziny dłużej, w ramach, jak wy to nazywacie, planu godzin nadliczbowych?

- Chinaski - tu chodzi tylko o to, że norma przewiduje 23 minuty na opróżnienie standardowego kosza, a wy potrzebujecie na to aż pięciu minut dłużej! To jest dowiedzione i zostało zanotowane w raportach dozoru.

- Chwileczkę! Tak pięknie to nie wygląda! I pan to też wie! Każdy kosz ma sześćdziesiąt centymetrów długości, ale w niektórych jest trzy, a nawet cztery razy więcej przesyłek niż w pozostałych. Kolesie łapią zawsze te „odtłuszczone”, jak oni je nazywają, kosze - a co się dzieje z tymi trochę pełniejszymi, z których przesyłki nawet się wysypują? Ktoś przecież musi je posortować, nie? Ale wy tego nie chcecie dostrzec, wy tylko wiecie, że kosz musi zostać posortowany w ciągu 23 minut, tak! Chcę panu tylko przypomnieć, że my nie wpychamy koszy w przegródki, tylko pojedyncze przesyłki!

- Nie... nie!... Chinaski, to wszystko zostało dokładnie przeanalizowane i obliczone!

- Być może! Ale ja te wasze analizy i koncepty... to pan już wie, gdzie ja to mam! Dlaczego sterczycie ze stoperem, odmierzając zawsze czas dla jednego tylko kosza... dlaczego nie mierzycie czasu wtedy, kiedy sortowacz posegregował już piętnaście koszy albo jest już po siódmej godzinie pracy... dlaczego tego nie robicie... bo to komplikuje wam życie... zmusza do wysiłku i myślenia... te wasze liczby stają się wtedy... nie tak optymistyczne?... co?

- Chinaski, wygadaliście się już? Więc może ja teraz coś powiem! Pan potrzebował 28 minut,

żeby wykonać pracę, dla której norma przewiduje 23 minuty! DLA NAS to jest decydujące! Jeżeli jeszcze raz dotrą do nas informacje, że nie mieści się pan w granicach dopuszczalnej normy, będziemy zmuszeni zaprosić pana na ROZSZERZONY CYKL ROZMÓW WYJAŚNIAJĄCYCH, POŁĄCZONY Z UDZIELENIEM PANU NAGANY DRUGIEGO STOPNIA.

- Brzmi to fascynująco, ale pozwoli pan, że zadam jedno pytanie.

- Słucham.

- Zakładając, że uda mi się dopaść „odtłuszczony” kosz. Czasami to się udaje. Wtedy trzeba mi tylko pięciu albo ośmiu minut. W myśl wykombinowanych przez was norm, oszczędzam na takim koszu piętnaście minut. Czy mam wtedy prawo zejść do kantyny i zjeść ciastko z kremem, a może nawet rzucić okiem na telewizor, a potem dalej odrabiać tę pańszczyznę, czy...

- NIE! POWINIEN PAN NATYCHMIAST ZACZAĆ SORTOWAĆ NASTĘPNY KOSZ!!!

Podpisałem jakiś papierek, na którym stało, że pouczenie odbyło się i że nagana została przyjęta. Czy ja ją przyjąłem, nikt się nie pytał. Szpic - Beaver zanotował czas mojego pobytu w jego gabinecie i kazał mi wyjść.

Odetchnąłem!

### 3

Koszmarne monotonia pracy dobijała nas, więc tym dłużej i intensywniej wspominaliśmy te krótkie chwile wydarzeń nieprzewidzianych i nieoczekiwanych. Jednego chłopaka nakryli na klatce schodowej, tej samej, w której zamknięto mnie kiedyś, z głową pod spódnicą dziewczyny ze stołówki. Po paru dniach ta sama dupodajka oskarżyła trzech sortowaczy i jednego pilnowacza o to, że pomimo wykonania usług doustnego zaspokojenia ich samczych chuci, nie uiszczono należnego jej honorarium.

Dziewczynę i trzech sortowaczy wywalono na zbity ryj, a pilnowacza zdegradowano o kilka stawek w dół w uposażeniu.

A potem podpaliłem urząd pocztowy!

Sortowałem cholerną liczbę masowych przesyłek, te miliony przeróżnych katalogów i reklam, na których poczta nabijała sobie nieźle kabzę. Chcąc sobie umilić walkę z tym „żywiółem”, paliłem dość kosztowne cygaro. Przerzucając te „luksusowe” szmaty z podręcznego wózka do odpowiednich przegród, usłyszałem nagle krzyk:

TY, TE TWOJE KATALOGI IDĄ Z DYMEM!

Odwróciłem się. Rzeczywiście. Mały, ale jary płomyczek ognia przeskakiwał coraz szybciej z jednej paczki na drugą, dobierając się do powierzonych Poczcie Amerykańskiej przesyłek. Prawdopodobnie popiół cygara musiał się gdzieś tam zawieruszyć.

O kurwa!

Plomień buchnął całkiem w porządku. I mimo, że starałem się go zdusić, waląc na oślep tymi powierzonymi pocztą katalogami, ogień przerzuczał się coraz szybciej. Iskry unosiły się do góry i opadały na coraz to inne paczki, wywołując rzadko tu widziane spustoszenie.

O kurwa!

Z tyłu dobiegł mnie współczujący głos kolegi:

- Ty, tu cuchnie ogniem!

- TO NIE CUCHNIE OGNIEM - wykrzyczałem.. - TO CUCHNĄ TE SKATALOGOWANE SUPEROKAZJE PO OBNIŻONYCH CENACH!

- O, kurwa, trzeba spierdalać - zawył drugi współczujący mi kolega.

- To spierdalaj - powiedziałem spokojnie. - TO SPIERDALAJ, I TO JUŻ!

Ogień parzył mi dłonie. Całym sercem oddawałem się ratowaniu tych bezwartościowych, luksusowych gówien, dzięki którym Poczta Amerykańska mogła mi płacić marne pieniądze.

Jakoś udało mi się opanować ten pożar. Nie poparzonymi jeszcze stopami zdusiłem resztki tłących się, szerniałych katalogów z drogiego, kredowego papieru.

Któryś z pilnowaczy pojawił się nagle na horyzoncie. Chciał mi coś powiedzieć. Ale nie powiedział nic. Bo co on mógłby powiedzieć, widząc mnie stojącego w kupie dymu, z palącymi się resztkami przesyłek w rękach? To, co się spaliło, odkładałem na bok, to, co można było przesłać, lądowało w odpowiedniej przegrodzie. Dopiero teraz cygaro wypadło mi z ust. Postanowiłem nie palić więcej cygar.

Dłonie zaczynały bardzo nieprzyjemnie szczypać i dokuczać. Zimna kąpiel w wodzie nie przyniosła oczekiwanego uśmierzenia bólu. Postanowiłem iść do pielęgniarki. Zgodę na to musiał wydać pilnowacz. I wydał!

Tej nocy dyżur miała taka jedna, co to często zaglądała do mnie, ni z gruchy, ni z pietruchy, pytając: „A na co dzisiaj mamy ochotę, Chinaski?”. I jak pojawiłem się u niej w gabinecie, naturalnie, że zadała to samo pytanie.

- Pani mnie sobie przypomina, co?

- No jasne, kilka samotnych nocy ma pan już za sobą, co?

- To prawda - odpowiedziałem.

- Przechowuje pan jeszcze jakieś baby u siebie w mieszkaniu?

- No, a jak! A pani chodzi jeszcze na targ i targa koszyk pełen chłopów?

- Panie Chinaski, na co pan właściwie cierpi?

- Spaliłem sobie dłonie.

- Proszę podejść bliżej. A jak to się stało? Kobieta?

- Czy to jest teraz aż tak ważne? Dłonie są spalone!

Czymś wysmarowała mi ręce, ocierając się o mnie wcale dobrze wyrośniętymi cycami.

- Więc jak to się stało, Henry?

- Cygaro. Sortowałem masówkę, popiół musiał gdzieś spaść, no i buchnęło!

Jej wcale niezłe cyce otarły się znowu o mnie.

- Proszę nie ruszać teraz rękami, proszę!

A potem prawie położyła się na mnie, wcierając w dłonie jakąś nieprzyjemnie wyglądającą maź.

Siedziałem na krześle.

- Co jest Henry, nerwy schowajcie na później!

- A to się da schować... no, Marthę... wiesz, jak to jest!

- Ja się nie nazywam Marthę. Ja jestem Helen.

- No to kiedy wychodzisz za mnie, Helen?

- Co!

- Pytam się, kiedy znowu będę mógł używać rąk?

- Jak się ma na to ochotę, zawsze można ich użyć!

- Co?

- W pracy! W pracy!

Przewiązała mi dłonie bandażem.

- Zdecydowanie lepiej - westchnąłem, patrząc jej głęboko w oczy.

- Nie powinien pan więcej podpalać własnego miejsca pracy.

- To była ta bezwartościowa masówka. Same reklamy!

- Wszystko musi dojść do adresata.

- No jasne, Helen.

Podeszła do biurka, a ja za nią. Wypełniła jakieś tam papiery. Śmiesznie wyglądała z tym czymś na głowie. Będę musiał coś wymyśleć, żeby znowu tu wpaść.

Przyłapała mnie na tym, jak łapczywie lustrowałem jej palce.

- No, panie Chinaski, mam wrażenie, że pan się śpieszy!

- Ach, tak?... dziękuję za wszystko.

- To są moje obowiązki.

- No jasne!

Tydzień później pojawiły się wszędzie napisy: PALENIE ZABRONIONE. Palić można było dalej, ale pod jednym warunkiem - w pobliżu musiała być popielniczka. Popielniczki były, ale pojawiły się także zupełnie nowe. Całkiem zgrabne. Nawet kłujący w oczy napis: WŁASNOŚĆ RZĄDU STANÓW ZJEDNOCZONYCH nie budził żadnych zastrzeżeń. W bardzo krótkim czasie

zniknęły. Używane były teraz w domach pracowników Poczty Amerykańskiej. Ja, Henry Chinaski, spowodowałem niezłą rewolucję w amerykańskiej instytucji rządowej.

#### 4

Pojawili się nagle i poodkręcali co drugi kran i to te, z których piliśmy wodę.

- Co do kurwy nędzy tu jest grane - pytałem się.

Nikogo to nie interesowało.

- I co tak trzymacie ryje na kłódki - krzychałem do kolegów z działu przesyłek masowych. - Ci kradną nam wodę!

Wszyscy nabrali wody w usta. Nie potrafiłem tego pojąć. Kategoriecznie poprosiłem, żeby przysłali do mnie przedstawiciela związków zawodowych.

Po paru dniach zjawił się Parker Anderson. Przed objęciem tej zaszczytnej funkcji Parker spał w porzuconych samochodach, a golił się i mył w sraczach na stacjach benzynowych. Próbował także robić jakieś niejasne interesy, bez sukcesu kantując paru też łotrów i szalbierzy. Nie wiem, kiedy zaczął pracę na poczcie, wiem tylko to, że chodził na zebrania, awansował do funkcji szefa zmiany, zbratał się z aktywistami związków zawodowych i został nieoczekiwanie wybrany do Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Pocht.

- Co to za afera, Hank! Dobrze wiem, że z pilnowaczami sam dajesz sobie dobrze radę.

- Tych tanich pochlebstw możesz sobie zaoszczędzić, baby. Od dwunastu lat płacę na was, nieroby, składki i niczego jeszcze nie chciałem.

- I tak powinno być! Hank, w czym jest problem?

- Chodzi o wodę.

- Brakuje jej wam?

- Jeszcze jej nie brakuje, ale wkrótce może. Odkręcają krany! Obejrzyj się za siebie i zobacz!

- Co mam oglądać? Gdzie?

- Tu!

- Niczego nie widzę!

- No właśnie. Tu był kran, a teraz go nie ma.

- Został odkręcony? Ach, Hank, jeden więcej, jeden mniej!

- Słuchaj Parker, oni likwidują co drugi kran, a jeśli nie będziemy się bronić, wkrótce zabiją dechami co drugi sracz!... a jak się jeszcze bardziej rozzuchwałą i rozochocą...

- Pięknie to ci się ułożyło na języku, Hank - stwierdził Parker. - Ale czego ty chcesz ode mnie? Co ja mam z tym wspólnego?

- Prosiłbym cię, żebyś nabrał powietrza w płuca, zreanimował ten swój martwy z beczynności płat mózgowy i wyniuchał, w którym interesie leży niszczenie tych kranów i

umywalek!

- To się da zawsze zrobić - skonstatował rzeczowo Parker.

- Więc napij się i wypnij! Od dwunastu lat uzbierało się 624 dolary z moich składek. Mogę was pozbawić tych pieniędzy!

Następnego dnia musiałem długo szukać Parkera. On, ze swojej strony, długo szukał w myślach, jak coś powiedzieć, żeby nic nie powiedzieć. Takich spotkań odbyło się kilka. Wreszcie powiedziałem mu, że mam tego dość, i że daję mu tylko jeden dzień czasu.

Tym razem on szukał mnie, i odnalazł w kantynie.

- No, i udało ci się przeniuchać całą sprawę?

- W 1912 roku, kiedy budowano ten dom...

- 1912? Przed pięćdziesięciu laty? Zawsze miałem wrażenie, że nie pracuję na poczcie tylko jestem w jednym z tych słynnych domów kobiecych figlów dla któregoś z cesarzy!

- Dobra, dobra, Chinaski! W 1912 roku architekt przewidział określoną liczbę ujęć wody. I dopiero teraz, podczas ostatniej kontroli stanu budynków, okazało się, że wykonano dwa razy więcej kranów, odpływów, umywalek i tych wszystkich innych urządzeń sanitarnych.

- I komu przeszkadza podwójna liczba kranów? Przecież zużycie wody przez to nie wzrasta!

- Oni też tak myślą, wiesz! Ale... jest jedno ale... krany odstają za bardzo od ścian! Ludzie często się o nie zaczepiają.

- To niech ludzie więcej uważają, gdzie leżą...

- Dobra, dobra! Ale wyobraź sobie, że jeden z naszych pracowników, namówiony przez szczerwanego adwokata ubezpieczyć się gdziekolwiek i to wysoko, na okoliczność zagrażających jego życiu wszelkich urządzeń sanitarnych, montowanych w ścianach, a odstających od tych ścian i utrudniających mu jego drogi służbowe. To nie wszystko! Wyobraź sobie, że taki ubezpieczony zasuwa pchając przed sobą wózek pełen przesyłek i zahacza o kran albo inną rurę...

Powoli zaczynałem to rozumieć. Kranów nie powinno być w ogóle, a poczta, za budowę wykonaną niezgodnie z planem, mogłaby być zaskarżona i musiałaby bulić niezłe odszkodowania.

- Dokładnie tak!

- Parker, składam ci podziękowanie za spóźnione, lecz wyczerpujące wyjaśnienie dręczącego mnie problemu.

- Związki zawodowe zawsze stoją do twoich usług, Hank!

Jeśli on tę bzdurę wymyślił, to była ona warta te 624 dolary! W „Playboyu” drukują słabsze i o ileż głupsze!

## 5

Po długim okresie doświadczeń na samym sobie doszedłem do wniosku, że zawroty głowy mijają, jeśli w regularnych odstępach czasu wstaję z taboretu i prostuję dolne kończyny. Mały spacer też robił swoje, i to bardzo skutecznie.

Fazzio, jeden z tych ambitnych pilnowaczy, zobaczył, jak w ramach uzdrawiającego mnie rozprostowywania kości, udałem się niby po wodę do jednego z bardzo już nielicznych kranów.

- Ty, Chinaski - huknął jak zwykle - zawsze kiedy cię widzę, leżysz na jakiś spacer!

- No i co z tego - odpowiedziałem. - A ja też odnoszę wrażenie, że pan nic nie robi tylko szwenda się dokoła.

- To jest część mojej pracy. Ja robię obchód i jestem za to opłacany. To są moje regulaminowe obowiązki.

- A wie pan co! - też huknąłem. - To, że ja teraz leżę w tamtą stronę, jest także częścią mojej pracy. Ja to muszę robić. Bo jeśli za długo kiwam się na tym taborecie, to nagle wskakuję na te jebane przegródki, zaczynam po nich biegać, czasami uda mi się wcisnąć w jedną z nich, a wtedy gwizdzą na palcach te wszystkie świńskie piosenki jakie poznałem w dzieciństwie. Wydaje mi się wtedy, że jestem bardzo groźny, może nawet za bardzo! Chyba odbija mi niezła szajba, co!!! A wydajność też cierpi na tym!

- Chinaski, nie mówmy już więcej o tym - zawsze odpowiadał tonem psychologa znającego wszystkie tajemnice każdej pracowniczej osobowości. Mojej chyba też!

## 6

Kiedyś nad ranem, wracałem z kantyny, do której udało mi się wśliznąć niepostrzeżenie po paczkę papierosów, cały napięty i skupiony na tym, żeby stać się niewidzialny i niesłyszalny, i nagle przed nosem zjawiła się znajoma twarz.

Tom Moto! Ten sam, z którym zaczynałem pracę pomocnika za czasów Stone'a.

- Moto, stary chuju - wyszeptalem.

- Hank! - odpowiedział.

Podaliśmy sobie ręce.

- Słuchaj, właśnie myślałem o tobie. Jonstone odchodzi w tym miesiącu na emeryturę. Chcemy mu zrobić pożegnalny bal. Wiesz, to ten, który tak chętnie łowił ryby. Wynajmujemy łajbę i wypływamy na jezioro. Może pojechałbyś z nami. Mógłbyś wreszcie popchnąć go za burtę! Może by utonął! Wybraliśmy już jedno bardzo piękne i bardzo głębokie jezioro.

- Ach, nie, nie rób mi tego stary, na tego wała nie mogę więcej patrzeć.

- Ale ty jesteś też ZAPROSZONY!



Moto wyszczerzył się w tym swoim długim i wąskim uśmiechu, sięgającym od tyłka aż po sterzące nad oczami brwi. I dopiero teraz spojrzałem na jego koszulę, a raczej na oznakę na niej. Był pilnowaczem!

- Tom - spytałem - to prawda!

- Hank - jak się ma czworo dzieci... a te ciągle są głodne!

- No to - strapiłem się, czy też tylko udałem strapienie! Odwróciłem się do niego plecami i odszedłem.

## 7

Przestałem się już zastanawiać, jak ludzie ciągnęli do końca miesiąca. Ja wiedziałem tylko tyle, że muszę płacić regularnie na dziecko, że potrzebuję forsy na picie, czynsz, koszule, skarpetki i te inne duperele. Tak jak wszyscy pozostali nie mogłem obejść się bez jedzenia, bez używanego samochodu i paru innych rzeczy, jak kobiety i zakłady na wyścigach konnych. Lecz w chwili, kiedy postanawia się ryzykować wszystkim, wiedząc że innego wyjścia nie ma, przestajemy się nad tym zastanawiać, bo to staje się mało ważne, a nawet zupełnie nieważne.

Zaparkowałem samochód naprzeciwko budynku Stanowego Zarządu Poczty, poczekałem chwilę na zielone światło i przeszedłem na drugą stronę. Obrotowe drzwi przeraziły mnie prędkością ruchu. Przyłgnęły do mnie, jakbym miał wszyty kawałek magnesu. Przez chwilę nie potrafiłem się z tym uporać. Wkroczyłem na pierwsze piętro, otworzyłem kolejne drzwi, i pojawili się oni. Urzędnicy tej instytucji. Pierwsza kobieta, którą tam namierzyłem, była młodą dziewczyną, biedne stworzenie bez jednej ręki, chyba zostanie tu już do końca - pomyślałem. Przegwizdana sprawa! No cóż - jak to mówili moi koledzy - gdzieś trzeba ten szmalec tłuc! I tacy jak ona, i jak ja, najczęściej nie mają wyboru. Muszą akceptować to, co im się daje!

- Ach, to taka przypadkowa refleksja białego niewolnika - pomyślałem sobie, i chyba byłem już pewien, że ja sam zaliczyłem się do tych niewolników. Młoda, czarna dziewczyna podeszła do mnie. Była bardzo dobrze ubrana i prawdopodobnie świetnie się czuła w tym urzędniczym świecie. Ja bym zwariował, ale ucieszyłem się, jak zobaczyłem jej szczerze zadowolony wyraz twarzy.

- Słucham pana - spytała wdzięcznie.

- Jestem pracownikiem jednego z urzędów pocztowych - odpowiedziałem. - Chciałbym złożyć wymówienie z pracy.

Wyciągnęła z biurka kupę jakichś formularzy.

- I ja mam to wszystko wypełnić?

Uśmiechnęła się.

- Mogę panu pomóc!

- Nie, nie, dam sobie jakoś radę sam.

## 8

Trzeba było wypełnić więcej papierów rezygnując z pracy niż podejmując pracę!

Na samym wierzchu leżał kiepsko skopiowany pożegnalny list szefa tej instytucji, zaczynający się od słów: „Bardzo żałujemy, że rezygnuje Pan z pracy z nami... itp... itp... itp...”.

A czego może on tak żałować? Nawet nigdy mnie nie widział!

A potem jakiś kwestionariusz z samymi pytaniami.

„Czy praca naszych służb kontrolnych w urzędach pocztowych znalazła pańską akceptację, czy nie? Czy nawiązał pan rzeczowy i przyjazny kontakt z przedstawicielami służb kontrolnych, nadzorującymi sprawność i wydajność pracy urzędników pocztowych?”

Tak - odpowiedziałem.

„Czy przedstawiciele służb kontrolnych, nadzorujący sprawność i wydajność pracy urzędników pocztowych, demonstrowali postawy rasistowskie, ranili uczucia religijne, publicznie wykorzystywali dane zawarte w kartotekach osobowych każdego urzędnika poczty?”

Nie - odpowiedziałem.

„Czy będzie pan radził swoim przyjaciołom i znajomym, żeby podjęli pracę na poczcie?”

Oczywiście - napisałem.

„Jeżeli ma pan jakieś uwagi, skargi, spostrzeżenia czy zażalenie odnośnie pracy w naszej instytucji, proszę przedstawić je na odwrocie tego formularza, w możliwie jasny i krótki sposób”.

Żadnych skarg ani zażaleń - odpowiedziałem.

A potem ta uśmiechająca się, czarna dziewczyna zjawiała się znowu.

- Już pan wszystko wypełnił?

- Tak.

- Nikt tego w takim tempie jeszcze nie zrobił!

- Prędko.

- Prędko? - zapytała. - Nic nie rozumiem.

- To znaczy, co robimy dalej?

- Proszę za mną.

Wcale nie szedłem za nią, tylko za jej tyłeczkiem, zwinnie przemieszczającym się między biurkami, w przeciwną stronę, tam gdzie stało jeszcze jedno biurko.

- Proszę siadać - zaprosił mnie jakiś mężczyzna.

Wczytywał się pilnie w wypełnione przez mnie formularze. A potem skierował swoje szeroko otwarte oczy na mnie.

- Czy mogę pana zapytać, dlaczego składa pan wymówienie? Czy powodem pańskiej decyzji są dyscyplinarne kary, jakie zostały panu słusznie wymierzone?

- Nie.

- Więc jaki jest powód, że pan nas opuszcza?

- Umówiłem się z karierą, a ona czeka na mnie jeszcze!

- Kariera?

Popatrzył na mnie. Do moich pięćdziesiątych urodzin brakowało jeszcze ośmiu miesięcy. Wiedziałem, co on tam sobie pomyślał.

- Czy wolno mi pana zapytać, jaka to ma być kariera?

- Mogę panu wszystko opowiedzieć. Sezon na zastawianie pułapek u ujścia Missisipi rozpoczyna się w grudniu, a kończy się w lutym. Jeden miesiąc mam już, niestety, do tyłu.

- Jeden miesiąc? Przecież pan pracował tu jedenaście lat!

- Nie będę się z panem kłócić. Zgadzam się z panem, zmarnowałem te jedenaście lat. Tam, na Południu, w trzy miesiące, mogę zarobić parę tłustych tysięcy!

- Ale co pan chce tam robić?

- ZASTAWIAĆ SIDŁA! Piżmowce, nutrie, norki i wydry... potrzebuję tylko małej łodzi. Dwadzieścia procent od moich dochodów płacę za prawo odłowu. Za jedną skórkę piżmowca inkasuję 1,2 dolara, 3 dolary za skórkę norki, 4 dolary za skórkę młodej norki, 1,5 dolara za nutrię, a 25 dolarów za wydrę. Za obdartego ze skóry piżmowca, od jednej sztuki minimum 30 cm długości, płacę 5 centów w fabryce żarcia dla kotów, od nutrii można nawet dostać 25 centów. W ogródku potrzynam prosiaki, kury i kaczki. Łowię ryby. Panie, żyć nie umierać. Ja...

- Chinaski, wystarczy, już wszystko wiem.

Wkręcił formularz do maszyny i zaczął walić w klawisze.

Na karku poczułem, że ktoś stoi za mną i gapi się w moją łysinę. Odwróciłem się. To był Parker Anderson, przedstawiciel mojego związku zawodowego, wieloletni mieszkaniec rozwalonych samochodowych trupów, obszczywacz bezpłatnych toalet, i nie tylko!, uśmiechał się do mnie, jak wielu z tych głupowatych polityków, wykorzystujących każdą, nawet najmniejszą okazję do łapania zwolenników i wyborczych głosów.

- Dajesz stąd dyla, Hank? Ty już nam grozisz tym od jedenastu lat!!!

- Nhmmm... „bierę kiecę i lecę”... do Luizjany... pozbierać, trochę banknotów!

- Mają tam tor wyścigów konnych?

- Co ty, w durnia grasz? Fair Grounds jest najstarszym torem konnym w tym kraju!

Obok Parkera stał jakiś biały chłopaczyna, jeden z tych neurotycznych przedstawicieli klanu bezradnych i zagubionych, z oczami pełnymi łez. Te łzy można było policzyć na palcach, w

lewym i w prawym oku była ich taka sama ilość. One nie spływały po policzkach. One nieustannie nabrzmiewały. To było fascynujące i magiczne. Prawdopodobnie chłopak wpadał w pułapki, chętnie zastawiane przez wiarusów poczty amerykańskiej, nie mógł dać sobie rady i szukał pomocy u Parkera. Już Parker coś wymyślił pomyślałem, współczując chłopaczynie.

Mężczyzna za biurkiem dał mi jeszcze jeden papier do podpisania, a ja chętnie złożyłem ostatni autograf... i z radością opuściłem pokój.

- Niech ci się wiedzie, stary gracie - krzyknął Parker, kiedy przechodziłem obok niego.

- Dziękuję ci, baby!

To, że wziąłem rozwód z Poczta Amerykańską nie spowodowało we mnie żadnych emocjonalnych trzęsień ziemi. Czuję się tak, jakby nic się nie stało. Mimo to wiedziałem, że wkrótce, tak jak nurek za szybko wyciągnięty z głębi morza, będę poddany bardzo szczególnemu procesowi wyrównywania się ciśnień wewnętrznych i zewnętrznych, i że to może być bolesne, a na pewno nie zawsze przyjemne. A teraz wiedziałem, że jestem jak ta przeklęta przez Joyce papużka falista, która spędziwszy całe życie w klatce, ma w sobie tyle odwagi, a może i braku wyobraźni, żeby skorzystać z przypadkowo otworzonych drzwiczek od klatki i wyfrunąć, jak strzała w stronę nieba. Nieba?

## 9

Chłanie. Chłanie. Chłanie. Rano i wieczorem. Tygodniami upierdolony do samego końca. Pewnej nocy przyłożyłem sobie już nóż do gardła, ale trzęsa mi się ręka i chyba tylko dlatego zacząłem myśleć, chociaż wcale tego nie chciałem, że może kiedyś moja jedyna córka będzie chciała iść ze mną do ogrodu zoologicznego. Budki z lodami, szympanse, tygrysy, zielone i czerwone ptaki, promienie słońca padające na jej główkę, jasne włosy pełne moich pocałunków... czekaj, czekaj, trzeba dać sobie szansę... czekaj, ty stary uchłany kutasino!

I jak udało mi się otworzyć oczy, co nie było wcale takie proste, zobaczyłem, że jestem w jakimś pokoju, zupełnie mi nie znanym. Palący się papieros zgasilem na własnym nadgarstku, splunąłem zdrowo na dywan i wtedy wstrząsnął mną potężny wybuch śmiechu. Śmiałem się i śmiałem. Zwariowałem? A potem znowu się śmiałem i tak rzucany o ściany kolejnymi falami śmiechu, dostrzegłem tego młodego studenta medycyny. Między nami, na nocnym stoliku, stał słoik po konfiturach, a w nim było serce jakiegoś człowieka. Na szkle była widoczna etykieta z imieniem byłego właściciela organu, Francis, a dokoła, wszędzie, piętrzyły się puste butelki whisky, olbrzymi zbiór opakowań szklanych po innych trunkach oraz puszki po piwie, popielniczki i masa różnych śmieci i resztek. Od dwóch tygodni nie miałem nic w ustach. Nie kończące się tłumy ludzi przewalały się przez ten pokój. Osiem czy dziesięć orgiastycznych przyjęć zostawiło swoje widoczne ślady na podłodze i wszystkich ścianach, a ja darłem się na

cały głos: „Dolewać! Dolewać! Zalać mnie! Może się utopię w tym boskim nektarze!”. Wydawało mi się, że jestem w drodze do nieba. Tamci gadali, dyskutowali, krzyczeli, obmacywali się, jęczeli z rozkoszy, a ja ciągle byłem w drodze do nieba.

- Chyba w nim byłem - powiedziałem studentowi. - Czy masz do mnie jakąś sprawę?

- Zostanę pana osobistym, domowym lekarzem.

- Nie mam nic przeciwko temu, panie doktorze, żądam tylko, żeby natychmiast sprzątnął pan ten słoik z resztką Francisa!

- Nie. Nie.

- Co?

- Serca się nie tyka!

- Ja nawet nie wiem, jak pan się nazywa.

- Wilbert.

- Słuchaj, ty, Wilbert, ja nie wiem, jak się tutaj przyplątałeś i po co, ale tego Francisa zabierz ze sobą.

- On zostanie z panem.

Zaczął majsterkować przy małym, ciemnym pudełku, a potem wyciągnął z niego gumową rurę z gruszką na końcu, podwinął moje rękawy od koszuli do góry i wpompowywał powietrze w gumowy pas wokół przedramienia.

- Ma pan ciśnienie jak dziewiętnastolatek - powiedział.

- Sram na to. Czy to jest zgodne z prawem i zwyczajem, żeby ludzkie serce zamykać w wecku i nosić w lekarskiej walizce?

- Pojawię się tu znowu i wtedy go zabiorę. A teraz zrób głęboki wdech!

- Zawsze myślałem, że to poczta zrobiła ze mnie oszołoma. Teraz patrząc na ciebie, zmieniam zdanie.

- Wdech!

- To, czego ja teraz potrzebuję, to jest kawał chrupiącej dupy, panie doktorze, i nic więcej.

- Czternasty krąg nie jest tam, gdzie powinien być, Chinaski. Zmiana położenia tego kręgu powoduje napięcia, nieoczekiwane i nieprzewidywane napady szału, często prowadzące do stanu zwanego imbecyлизmem.

- Sram na to - powiedziałem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ten dżentelmen opuścił moje mieszkanie. Obudziłem się o 13.10. Było bardzo gorąco. Śmierć stała przede mną i siedziała za mną, a promienie słońca przenikały przez porwane żaluzje padając na słoik po konfiturach. „Francis” spędził ze mną całą noc, chłodząc się w roztworach substancji konserwujących, pływając w lepkich wydzielinach,

będących produktem rozkurczu serca. I to wszystko pod moim nosem!

Biedny „Francis” wyglądał jak kupa nieszczęścia albo jeszcze gorzej. Ostrożnie chwyciłem słoik, przeniosłem go do szafy i zakryłem podartą koszulą. Potem musiałem szybko pobiec do łazienki, bo chwyciły mnie wymioty. A jak skończyłem rzygać, a szybko to się nie stało, popatrzyłem na własną twarz, pokrytą coraz gęściejszą, czarną szczecina. I wtedy złapał mnie skurcz żołądka, ledwo zdążyłem usiąść na kiblu... czym miałbym srać, skoro od dwóch tygodni nic nie jadłem. Trwanie na kłocie zaliczyłem do jednych z najmilszych przeżyć w moim życiu. To było zawsze odprężające, człowiek czuł się lżejszy i czystszy od środka.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Wytarłem sobie szybko tyłek, założyłem jakieś stare łachy i otworzyłem drzwi.

- Tak, proszę!

Jakiś młody gość z długimi jasnymi włosami, sztywno się uklonił, a obok niego czarne dziewczę, nieprzerwanie czkające i śmiejące się na przemian, jak mocno zaawansowana w przypadłości wariatka.

- Hank!

- Hnnn. A wy kto jesteście?

- Nie przypominasz sobie? Byliśmy na party. A teraz przynieśliśmy ci kwiaty.

- No coś podobnego. Właźcie, właźcie!

Wnieśli te swoje kwiaty do środka, czerwone i pomarańczowe na jednej zielonkawej lodydze. Udało mi się odnaleźć jakiś wazon, wstawiliśmy kwiaty do niego, cudem było w domu trochę wina, które postawiłem na nocnym stoliku.

- Nie możesz sobie jej przypomnieć? Mówiłeś przecież, że miałbyś ochotę przelecieć ją czy nawet puknąć!

Śmiała się.

- Pomysł wcale dobry, tylko błagam, nie teraz.

- Chinaski, a jak ty dasz sobie radę bez poczty? Czy ty to wytrzymasz?

- Nie wiem. A może cię jednak puknę! Co? Albo ty mnie, co? Kurwa, już sam nie wiem.

- Zawsze się możesz u nas przekimnąć, wiesz, z braku laku dobra i podłoga, co?

- To będę mógł was podglądać, jak się tam gziecie?

- No jasne!

Wino wypiliśmy bardzo szybko. Jej imię przypomniałem sobie, a później zapomniałem. Pokazałem im serce w słoiku. Prosiłem, żeby wzięli z sobą ten pływający eksponat. Nie potrafiłem go, ot tak, wyrzucić na śmietnik. Może ten student potrzebuje go jeszcze na jakimś egzaminie albo zgłosi się do mnie, kiedy upłynie termin oddania „pomocy naukowej” do

pracowni preparatów anatomicznych, albo sam już nie wiem co. A potem zeszliśmy na dół do nocnego klubu, obejrzelśmy striptiz, tankowaliśmy, śmieliśmy się, wrzeszczeliśmy. Nie pamiętam, kto płacił za to wszystko, ale myślę, że to on miał forszę. Wreszcie udało mi się pochłać za cudze pieniądze! Rechotaliśmy wszyscy bez ustanku, ja dowiedziałem się wszystkiego o zgrabnym tyłku i foremnych łydkach dziewczyny, całowaliśmy się, nikomu to nie przeszkadzało. Tak długo jak masz pieniądze, tak długo nic nikomu nie przeszkadza!

Odprowadzili mnie do domu. Ona nie została ze mną. Bo i po co! W drzwiach pożegnałem się z nimi, włączyłem radio, znalazłem butelkę scotcha, wlałem wszystko w siebie, śmiałem się coraz głośniejsze, czułem się coraz lepiej, mogłem się wreszcie rozluźnić i uspokoić nerwy, byłem wolny, nadpaliłem sobie palce niedopałkiem papierosa, udało mi się odnaleźć tapczan, doszedłem do jego krawędzi i upadłem ryjem w poprzek materaca i spałem, spałem, spałem...

Następnego ranka, po nocy nie było już ani śladu, a ja jeszcze żyłem.

Może napiszę książkę - pomyślałem.

I napisałem.